
UNIVERSITY OF TORONTO DUPL
3 1761 00283475 2

DŻINGIS-CHAN ZMARTWYCHWSTAŁY

TOM II.

DR. STANISŁAW ZDZIARSKI

DŻINGIS-CHAN ZMARTWYCHWSTAŁY

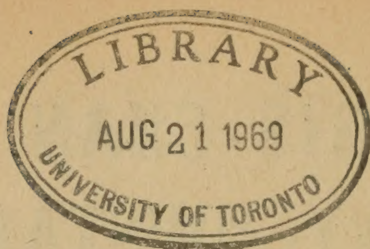
STUDJA Z PSYCHOPATOLOGJI ROSYJSKIEJ

TOM II.

Vince in bono malum
(Rom. XII. 21.)



POZNAŃ 1919
NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA


LIBRARY
AUG 21 1969
UNIVERSITY OF TORONTO

III.

Eugenjusz Czirikow.

...»Przyszedł prorok! Wszyscy prześladowani ludzie różnych plemion idą za Marksem... Ślepi i głusi niech czekają, kiedy ich poprowadzą do Jerozolimy«... oto zasada neo-żydostwa rewolucyjnego rosyjskiego, które uznało za godnego następcę proroków Starego Testamentu — pana Czirikowa, co stanął od razu na koturnach kuglarskich, by z ich znikomej wysokości szerzyć i tak już nadto rozpowszechnioną w Izraelu wiarę w moc zwycięską rozkładczego żywiołu semickiego. I w tym względzie Czirikow okazał się potomkiem nieodrodnym rozmaitych *sui generis* nieuznanych genjuszów, głoszących uporczywie nie mniej ani więcej, jak tyle tylko, iż Izrael jest na świecie wszystkiem i jego jest panowanie nad wszech-narodami ziemskiemi!...

Lecz... jeżeli Czirikow, który wyszedł już dawno z lat młodzieńczych, kiedy to najłatwiej pociągają ku sobie utopje najrozmaitszych gatunków, przylgnął sercem całem do zasad socjal-rewolucyjnych — trudno mu to poczytywać za lekkomyślność karygodną.

Pomimo bowiem ogłoszenia manifestu październikowego, położenie żydostwa na obszarach imperjum rosyjskiego nie uległo żadnej zmianie zasadniczej. Osławiona »granica osiedlenia«, minimalny procent uczniów pochodzenia żydowskiego w szkołach, żeby nie wymieniać drobniejszych przepisów, zaostrzają-

cych nieznośność bytowania, pozostały nadal w całej swojej rozciągłości i mocy. Manifest październikowy nie dał żydom pełnego uprawnienia, tak samo, jak nie dał go innym nie-rosyjskim narodowościom, jakkolwiek one, razem wzięte, stanowią większość zaludnienia, nieporównanie przewyższającą żywioł rdzennie rosyjski.

Być może, a nawet wydaje się bardzo prawdopodobnem, iż osiągnięciu całej pełni praw obywatelskich zaszkodzili najwięcej sami żydzi. Boć przecież — publiczna tajemnica — za ich pieniądze organizowano drużyny terorystyczne, fabrykowano bomby i machiny piekielne, z ich funduszów utrzymywano prasę rewolucyjną oraz wydawnictwa nielegalne, oni wreszcie wydali ze swego łona tysiące zdecydowanych przewrotowców, dla których zniszczenie powszechne i zbrodnie najpospolitsze były ideałem najwyższym!

Nie miejsce tutaj na rozsądzanie, o ile sami zawinili? Że jednak waga grubsza winy leżała po ich stronie — to pewna.

Okaże się to najdowodniej na Czirikowie, który jest żydem z pochodzenia i z przekonań...

Skoro tylko tedy nastała doba, przestająca pociągać autorów za bylejakie słowo drukowane do odpowiedzialności karnej, Czirikow występuje z całym szeregiem utworów, przeważnie w formę dramatyczną ujętych, mających być, że się tak wyrazimy, czynem politycznym pisarza.

Zacząwszy od zobrazowania dążności i pragnień tych mas, z jakich sam wyszedł, t. j. ghetta żydowskiego, postąpił Czirikow szybkim krokiem ku opisaniu rewolucji w ogólności, upatrując w niej jedynie drogę, wiodącą do uzyskania wolności prawdziwej.

Poza kwestję żydowską, oraz ruchy rewolucyjne wyjść nie potrafił, jak gdyby obydwie te sprawy stanowiły decydująco o przyszłości.

To — być może własnowolne — zacieśnienie ram twórczości, nie wywoływałoby żadnych podejrzeń, gdyby nie nasuwająca się całą mocą wątpliwość, czy zacieśnienie takie było wskazane motywami wewnętrznemi, uchylającemi się z pod kontroli krytyki, czyli też zostało spowodowane bezpłodnością autora w innych dziedzinach natchnienia? Tem gorzej dla pisarza, że druga alternatywa okazuje się o wiele prawdopodobniejszą, a nawet da się wcale poważnie uzasadnić.

* * *

»Sławę« europejską zyskał Czirikowowi czteroaktowy dramat p. n. »*Żydzi*«.

Ale to olbrzymie wrażenie, jakie wywołał wszędzie, nie zostało spowodowane bynajmniej wysoką wartością artystyczną utworu. Wszak został ogłoszony bezpośrednio po osławionych pogromach żydowskich, a nadto odsłonił rąbek zasłony tajemniczej, jaką zakryta była dusza izraelska tłumów, pozostających pod panowaniem rosyjskiem. W dramacie tym — poza faktem niezaprzeczalnego ucisku żydowskiego — zostały wprowadzone na widownię żywe typy działaczy współczesnych, ścierających się zawzięcie o zasady społeczne i programy polityczne, tak że sztuka Czirikowa otrzymała poniekąd charakter wiarygodnego dokumentu życiowego, tem bardziej, że występują w niej najrozmaitsze kategorje żydów, zarówno pod względem stanowym, jak i przekonaniowym. Obok starego zegarmistrza Lejzora, marzącego nieustannie tylko o ziemi obiecanej, mamy antytezę starego pokolenia w osobach jego dzieci. Student Boruch został wydalony z uni-

wersytetu za uczestnictwo w zaburzeniach, razem z siostrą Lają. Małamed Nachman — to syonista najczystszej wody, Izerson — to nawpół uświadomiony robotnik socjalistyczny; dr. Furman wreszcie, żeby nie wspominać figur podrzędnych, — to arcytyp sytego dorobkiewicza żydowskiego, który utracił wiarę w Boga, bo zamiast Jehowy obrał sobie pieniądz za bożyszcze, czci warte.

Rozbieżność kierunków polityczno-społecznych, pomiędzy młodem a starem pokoleniem, zaakcentowana tu nader jaskrawo i dobitnie, ujawnia się już od samego początku dramatu Czirikowa w całej swojej sile i mocy.

Jakże odmienny jest świat myśli pokolenia starego?... Wszakże ten stary zegarmistrz Lejzor wraz z pomocnikiem swoim Szlojmą nie mogą odpędzić ani na chwilę od siebie marzeń o powrocie narodu żydowskiego do Palestyny! Myśl ta gnębi Lejzora wielce, gdyż starzec nie spodziewa się dożyć tego szczęścia. To też pociesza się tylko nadzieją, iż może ktoś potem »przywiezie z Palestyny garstkę świętej ziemi — i wtedy na grób mój rzucą także garstkę«... Dla Lejzora zresztą życie nie przedstawia żadnej wartości, gdyż z powodu rozruchów antyżydowskich trzy razy tracił w życiu wszystko i musiał trzykrotnie rozpoczynać życie na nowo. »Ja — powiada z ciężkiem westchnieniem — jak pszczoła, zbierałem miód po kropli, a kiedy w moim ulu nazbierało się dosyć miodu, to mi go rozbijali i wybrali wszystko, co zgromadziłem«... Życie jego było, jak Joba biblijnego, którego synów i córki wiatr wielki pustynny zgubił. Gdybyż bodaj miał stary Lejzor pociechę z dzieci!... I chociaż one są uzdolnione — uważa, iż »bardzo mądrym być jest tak samo źle, jak być zupełnie głupim«. Tymczasem syn jego chce, żeby ludzie żyli podług jakichś

nowych praw, »nie chce wiedzieć, że Bóg dawno stworzył prawa dla ludzi«. Wszak syn jego nazywa marzenia o powrocie żydów do Palestyny bajką! W tem właśnie — powiada Lejzor — »wielka bieda zrobić dzieci swoje tak mądremi, że nie wierzą w te bajki. To wielka bieda, bo jeżeli żyd nie wierzy w te bajki, to bardzo prędko przestaje być żydem«... I czyliż nie widoczna to kara boska, że Borucha wypędzili z uniwersytetu?...

Wyrzekania te starca przerywa kłótnia, tocząca się pomiędzy młodzieżą, obojętną dla ideałów narodowościowych, z wyjątkiem jedynego Nachmana, który jest fanatykiem, zagorzałym syonistą:

— »Borys Łazarewicz — powiada Nachman ze złością — wskazał na Niemcy, na Francję... Ależ wy, panowie, nie wiecie, czem są żydzi w Niemczech i we Francji. Tam, gdzie nam, żydom, dają pewne prawa, tam zabierają nam duszę... Jacyż tam żydzi? Oni wstydzą się swojego żydostwa i tańczą, jak im zagrają... Ukrywają swoje uczucia, tłumią je w sobie... i oszukują i drugich i siebie... W Niemczech żyd — Niemiec, we Francji — Francuz, to znaczy, że ani Niemiec, ani Francuz, tylko żyd, który udaje to Niemca, to Francuza... Oni źle robią... Ale wy ich nauczycie, jak mają zostawać żydami«... To też znienawidziwszy wszystko, co nieżydowskie, nie żąda żadnych praw, gdyż kieruje się logiką, ale nie tą, którą się ma w głowie. Bo jego »logika — w sercu!«

Wywodom tym doktrynerskim kładzie dopiero koniec westchnienie starego Lejzora, który od dziesięciu lat chce, ażeby wszystkie zegary u niego biły równocześnie, a jednak nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. One, jak ludzie, nie mogą zgodzić się...

Akt drugi — to dramat, rozgrywający się w duszy córki Lejzora — Lai.

W mieście rozchodzą się głuche wieści o zamierzonym pogromie żydowskim. To też w sercu Lai, która czuje, że jest sama żydówką, budzi się gwałtowna nienawiść do Rosjan, a zarazem łączność z żydostwem całem, której w zwykłym czasie nie odczuwa.

A wszakżeż Laja kocha gorąco wypędzonego studenta Berezina, który, jakkolwiek jest Rosjaninem, wzrastał z nienawiścią i lękiem niewolniczym przed wszystkimi bogatymi, strojnymi i silnymi. Przecież prześladowano go przez całe życie, począwszy od ławki szkolnej, na każdym kroku dawano do zrozumienia, że jest biedny i że każdy krwawo zapracowany przez niego grosz jest dobrodziejstwem wszystkich tych »sytych i możnych plugawców«, którzy »zgnębili mu duszę, podcięli jej skrzydła, podsycali w nim nikczemne tchórzostwo, prześladowali go za każdą pokusę, za każdy poryw ku wolności. Nie mam silnej woli — wyznaje — ale nienawiści dla nich dużo...«

Laja kocha Berezina całem sercem i nie wahałaby się pójść za niego za mąż.

— »Mnie nie wzrusza nasza religja i dużo w niej wydaje się mnie niedorzecznem. Ale czasem, gdy słyszę, jak ojciec odmawia swoje sobotnie modlitwy, coś nagle odzywa się w duszy, daleko, daleko, gdzieś tam, przypomina się coś swojego, bliskiego, rodzinnego, jakiś żal się budzi«.

Ale ochrzcić się nie mogłaby, bo cała jej istota sprzeciwia się temu, i zdaje się jej, że jeżeli to uczyni — zgubi siebie i kochanka. W poglądzie takim utwierdza też Laję zakochany w niej do szaleństwa Nachman, który na wieść o zamierzonym pogromie wykrzykuje:

— »Nie wyprę się swojego narodu, nie zawieszę na szyi krzyża i nie wezmę w ręce ikony, żeby

się schować za plecy waszego Boga! Nie! Jeżeli trzeba będzie umrzeć — umrę jako żyd! Będę ich przeklinał, będę ich bił także, dopóki moje ręce nie upadną wraz ze mną! Wezmę w rękę rewolwer i będę bronił mojego narodu, mojej religji i samego siebie! Mam wiernego obrońcę! Jemu wszystko jedno: czy jestem żyd, czy chrześcijanin!«

Nachmanowi, który na widok Lai zapomina o świecie całym, życie dało dobrą szkołę. Dziecięctwo jego — to istne pobojowisko. Wcześnie zostawszy sierotą, do 25 lat nie wiedział, co to młodość, gdyż ciągle uczył się i żył nie z ludźmi, tylko z książkami. Kiedy zaś pokochał Laję, widzi brak wzajemności z jej strony. Ale on gotów znieść i ten zawód mężnie, gdyż żyd powinien wszystko znosić bez łzy. Łez bowiem nigdy człowiekowi nie wystarczy. Odchodzi tedy z rezygnacją — bez słowa skargi.

Ale staremu Lejzorowi nie tajne jest, iż myśl córki błądzi gdzieś daleko poza domem. Postanawia tedy wyzyskać chwilę przygnębienia, w jakiem znajduje się teraz córka i wydostać od niej tajemnicę jej serca. Ale tajemnica ta uderza weń, jak grom z pogodnego nieba, dowiaduje się bowiem, że ukochany jego córki — to *goj*. Czyżby Bóg chciał tak ciężko doświadczyć pobożnego Lejzora?!... Niechby wybranym był chociażby niewierzący, ale żyd! Kiedy zaś córka odpowiada mu śmiało, że Bóg u wszystkich jeden, starzec wybucha wulkanicznie:

— »Jeżeli u wszystkich jeden, to dlaczego, kiedy goj pokocha żydówkę, ona musi się ochrzcić? Dlaczego goj nigdy nie zrobi się żydem?... Dzieci twoje wyśmiewać się będą z żydów, a ty będziesz bała się powiedzieć im: »nie śmiejcie się, ja także — żydówka!« Twoje dzieci będą się uczyły swojej religji

i będą mówiły: »przeklęci żydzi, zabili naszego Boga!« — i ty będziesz milczała! A twój mąż wstydzić się będzie, że ma żonę — żydówkę i także będzie milczał!... Czy oni nie wiedzą, że ich Bóg był na ziemi żydem i że matka ich Boga była żydówką?«

Laja dostaje napadu histerji skutkiem tej sceny. Przerażony Lejzor posyła po lekarza Furmana, po owego niedowiarka, który tłumaczy starcowi, a nie mniej rozwydrzonemu teorjami pseudopostępowemi Borysowi wcale dowcipnie:

— »Wy chcecie urządzić się na cudzej ziemi, ale z tego nic nie będzie. Potem, jeżeli wam się coś uda zbudować, jakąś szopę ogólnego szczęścia, to wam, żydom, powiedzą: »zabierzcie się precz z cudzej ziemi!« I pokaże się, że znów nic nie będziecie mieli, nawet i tej szopy. Wy, panowie, sami sobie powtórnie zadajecie te same egipskie trudy, od których uciekliście ongi, dzięki Mojżeszowi... A nie trzeba zapominać, że my, żydzi, nawet u szczytu naszej politycznej potęgi byliśmy tylko religijno-narodową agregacją. Bez religji niema u nas narodowości... Wykształcony żyd wraz z religją traci narodowość. To prawo ewolucji historycznej narodu żydowskiego! Nasze żydostwo silne tylko religją. A któż z wykształconych żydów może nazwać się religijnym? Ja takich nie znam, nie spotykałem. Nic żydowskiego bardzo prędko w nim nie zostaje... I cóż należy robić? Chcą, żebyś się wychrzcił — wychrzcij się! nie na długo! Śmieją się przy tobie z żydów, — śmiej się i ty, bo głupio jest płakać; przychodzi biednemu żydowi umierać z głodu, — staraj się zrobić bogatym, bo umierać żyd nie ma ochoty, tak samo, jak każde inne rozumne stworzenie! A potem, kiedy zrobisz się bogatym, to tobie, żydowi, kłaniać się będą i ty, żyd, śmiać się z nich będziesz!... Ot, i cały sekret życia«...

Tymczasem przychodzi wiadomość wiarygodna o rzezi kiszyniewskiej — w liście do Nachmana. Dom Lejzora pogrążony w trwodze, gdyż po mieście zaczynają przebąkiwać na dobre o planowanych pogromach żydowskich. »Ludzie wszystko najgorsze na świecie przypisują żydom — rozumuje Lejzor. Żyd—szachraj, żyd—lichwiarz, żyd nie ma żadnego sumienia«. Wszystkiemu zaś winni tacy niespokojni utopiści, jak syn jego Boruch, łudzący się nadejściem bliskiem jakiegoś fantastycznego braterstwa wszechnarodów. Ale Lejzor jest za stary, iżby mógł uwierzyć w takie mrzonki.

— »Urodziłeś się — rozumuje — na obcej ziemi, w biedzie, i od dnia twego urodzenia i, może być, do dnia śmierci swojej, byłeś i będzieś otoczony nienawiścią i pogardą! I jeżeli pójdziesz do nich i będziesz im służył całą duszą, oni ci nie uwierzą! Powiedzą, że robisz sobie z tego geszeft, dlatego, żeś żyd!«...

Dramat kończy się rozgromem sklepu starego Lejzora i samobójstwem Lai z obawy dostania się w ręce rozwydrzonej tłuszczy. I tu przypominają się słowa fanatycznego Nachmana: »Ludzkość! Ludzkość! Co to jest ludzkość? Nigdy jej nie widziałem«...

Ciągiem dalszym niejakoś owej walki przekonaniowej pomiędzy starem pokoleniem a młodem, jaką widzieliśmy w »*Żydach*«, są obrazki z życia wiejskiego, odtworzone przez Czirikowa w czteroaktowym dramacie p. t. »*Mużyki*«. I tutaj walka skończy się tragedją... dla tych właśnie, którzy mieli najlepsze zamiary względem proletarjatu małorolnego.

Proletarjat ten też, cierpiący wiecznie głód ziemi, widzący w panach jedyną przyczynę swojej nędzy, obałamucony hasłami anarchistycznemi, ciemny i pier-

wotny w swoich instynktach i pożądaniach, jest właściwym bohaterem dramatu.

Do wsi zapadłej doszły głuche wiadomości o wydaniu manifestu konstytucyjnego. Zaciekawienie co do treści tego aktu jest wśród włościaństwa ogromne, ale bynajmniej nie pod względem swobód obywatelskich. Chłopom marzy się nowy nadział ziemi, podobny do tego, jaki miał miejsce razem ze zniesieniem poddaństwa. O wolnościach jakichś żaden z nich nie myśli, bo i cóż z wolności, kiedy niema co jeść?

Kiedy zatem do wsi zajechał nareszcie naczelnik ziemski i kazał zgromadzić się chłopom, — oni od wczesnego rana rozłożyli się taborem na podworcu dworskiem, wyczekując z niecierpliwością tego, co im obwieści władza? Tymczasem słonko oznajmiło już zbliżające się południe, urzędnik zaś ani myśli wyjść do zgromadzonych. Pośród chłopów budzą się podejrzenia, czy to nie dziedzic stara się skłonić naczelnika ziemskiego, iżby zamilczał o akcie wspaniałomyślności ze strony monarchy? Chwilowo następuje uspokojenie, kiedy kuzynka gospodarza domu, panna Lipa, oznajmia chłopom, iż skoro tylko jej brat przyjedzie, wydzierżawi im grunta swoje za niskim czynszem oraz wybuduje szkołę i łaźnię. Uspokojenie to jednak pryska niebawem. Zniecierpliwieni oczekiwaniem chłopi podają sobie z ust do ust najnieprawdopodobniejsze pogłoski o zamierzonych rzekomo przez władzę projektach, mających na celu polepszenie bytu włościańskiego. Według tych wersji manifest monarszy postanawia udzielenie zapomóg pieniężnych *in natura* w zbożu i koniach wieśniakom małorolnym. Zajęci rozmowami na ten temat, puszczają mimo uszu rozmowę, jaką prowadzą z sobą opodal pan Gorodieckij z ziemskim naczelnikiem:

— »Bynajmniej nie twierdzę — powiada naczelnik — jakoby chłopi byli syci. Zwracam tylko uwagę na ostrożność, z jaką należy rozdzielać zapomogi skarbowe. Przecież to — ostatecznie — zamieni się w zwyczaj. Koniec końców — oni wyobrażają sobie, że skarb jest obowiązany ich karmić« — konkluduje jak najsłuszniej urzędnik, pomimo wyraźnego sprzeciwu ze strony dziedzica, przestrzegającego przed następstwami, mającemi wyniknąć z chwilą, w której nędza i choroby, panujące nagminnie, doprowadzą chłopstwo do rozpaczy krańcowej.

To też tłum znużonego oczekiwaniem chłopstwa wyprowadza wprost z równowagi treść odczytanego przez naczelnika ziemskiego rozporządzenia gubernatora, zalecającego, wobec ciągłych klęsk głodowych, gromadzenie zapasów zboża w magazynach gminnych. »W modlitwie i pracy — brzmiały końcowe słowa odezwy — podstawa waszego dobrobytu. Ten, kto pracuje usilnie, w dni świąteczne chodzi do cerkwi, nie złorzeczy, a do szynku drogę zapomniał — nakarmi beztroskliwie i siebie i rodzinę, a nawet na czarną godzinę cośkolwiek odłoży«... padały zdania w tłum osłupiały, który zupełnie czego innego oczekiwał.

A już, niczem grom z nieba jasnego, podziałały nań zapewnienia naczelnika ziemskiego, iżby nie dawano wiary agitatorom wędrownym, którzy teraz włóczą się od wsi do wsi, głosząc wszędzie o mającym rzekomo nastąpić nowym nadziale ziemi i rozmaitych innych reformach. »Ludzie ci — są waszymi wrogami. Podburzają was, korzystają z waszej głupoty, niedoświadczenia i łatwowierności... Nie nastawiać uszu, buntowników nie słuchać! Jeżeli taki człowiek pojawi się we wsi, chwyćcie go i prowadźcie do urzędnika!...

Chwilowa złuda rozwiała się. Chłopstwo ogarnęła czarna rozpacz.

Do wymiany zdań w rodzinie pana Gorodieckiego przychodzi dopiero w akcie drugim z chwilą przybycia wypędzonego studenta uniwersytetu, a kuzyna pana domu — Pawła Iwanowicza, który poznał już nie tylko kryminał, ale i zesłanie sybirskie:

— »Kiedym był studentem i siedziałem w więzieniu — wynurza się — przyszła raz do mnie w odwiedziny panienka, która przedstawiła się jako moja narzeczona, chociaż mnie nie znała... Była u mnie tylko raz jeden, — przyniosła mi fijołków i więcej już nigdym nie zobaczył jej«...

Paweł Iwanowicz to jeden z tych licznych fantastów, którzy chcieli widzieć w chłopie rosyjskim brata-obywatela, niepomni tego, iż chłop ów znajduje się jeszcze w stadjum pierwotności... To też pozostaje głuchy na rozsądne rozumowania Gorodieckiego:

— »Niema niczego głupszego od sentymentalizmu z chłopami! Wasze natchnione rozmowy o ziemi wydały już pewne rezultaty... Oni myślą, zdaje się, jakobym nie miał prawa rozporządzać swojemi łąkami tak, jak się mnie podoba i jak mi wygodniej... Jeżeli podarujecie swoją ziemię chłopom — tem samem spowodujecie ich do oczekiwania tegoż ode mnie, od drugiego, trzeciego... Teraz trzeba być ostrożniejszym. Chłopi fantazjują... Każdy fałszywy krok może pociągnąć za sobą duże nieprzyjemności. Dalej? Okropne! Niczego lepszego, oprócz chałatów aresztanckich, nie można ostatecznie przewidzieć. Każdy dzień przynosi wiadomości o rabunkach, bójkach, grabieżach, a wy tutaj... Życie z programem nigdy nie może zgodzić się w szcze-

---

[1]) Opis dokładny tej sceny powtórzy Czirikow w noweli p. t. »Na porukach.«

gółach... I tylko ludzie, znający to życie z książek i z za krat więziennych, mogą rozumować tak... naiwnie i po prostu!... Trudno zachować spokój, skoro tam zrabowano zboże, w innem miejscu wyrąbano las, w trzeciem... A tu jeszczeście wy z waszemi utopijnemi projektami!... Jam nie zacofaniec!... Zgadzam się na to, że lud jest biedny, nędzny, że on sługa i wszystko, co się komu podoba... Ale zgódźcie się, państwo, że nie podarkami i nie łaźniami można poprawić położenie ekonomiczne ludu!«..

Kuzynka Lipa wszelakoż, będąc zagorzałą chłopomanką, w rodzaju tych fantastów, co to ongiś szli »*w narod*«, daleką jest poglądów trzeźwych. Wszakżeż chłop — powiada — nie ma za co kupić sobie ziemi, a powtóre jest przekonany, że ziemię dostanie za darmo od rządu. Pocóż ma zatem kupować?... Zapomniała wszelako, że mrzonki tego rodzaju obudziła ona sama w ciemnych mózgach chłopskich.

Objaw uwagi godny, — że jakkolwiek panna Lipa liczy już 26 lat, przecież nie chce dać posłuchu temu, co mówi doświadczona Serafima Giergiejewna: »Im lepiej z nimi postępować, tem gorsi oni. Zdaje się, już robisz dla nich wszystko: i odraczasz zapłatę długu i ulgi i karmisz i zarobek dobry dajesz i leczyć się do mnie przychodzą!... A przecież!... Zupełny brak wszelkiego poczucia wdzięczności! U Winnogradowych nie szczędzą ich: za wszystko — kara, i u nich — lepiej«...

War sprzeczki zasadniczej wzmaga się z przybyłym właśnie synem gospodarstwa, studentem uniwersytetu Włodzimierzem. Teraz dopiero w domu tym — co głowa — to inny program polityczno-ekonomiczny. Syn — demokrata, kuzyn — socjalista, teść — zacofaniec... Cała orkiestra, ale bardzo kakofoniczna.

Zdaniem bowiem Włodzimierza — wystarczy dać chłopu kawałek ziemi, ażeby z niego zrobił się zasadniczy wróg wszelkich reform! Chłop rosyjski — powiada on — rodzi się już socjalistą... Ale w powiedzeniu tem nie ma słuszności. Chłopa bowiem robi socjalistą ciemnota umysłowa, o czem dowodnie przekonuje nas Starzec, wyrzekający w akcie trzecim na niepłodność ziemi, której przyczynę upatruje w grzechach ludzkich, lub też w złem nasieniu, a nie w tem, że chłop chciałby, iżby mu zawsze stokrotne plony ziemia dawała, on jej zaś za to nie był obowiązany sił rodzajnych kompostem podsycać!...

Nie dziw też, jeśli ciemnota popchnęła lud do gwałtów i grabieży, o jakich krążą wieści po wsiach...

Co gorsza — chłop ten nieoświecony ma swoją fałszywą teorję wytłumaczenia wszelkich możliwych nieszczęść:

— »I wtedy było tak — opowiada starzec... dwoje u nas istotnie własną śmiercią skończyło: umarli, tak umarli.. resztę zaś oni uśmiercili... Żeby zaraza nie dotarła do miasta... Idzie lud do miasta z głodu, a panowie boją się, że on ze sobą przyniesie zarazę... I słyszałem, że w tym roku znowu zaczną cholerę puszczać, — przygotowania rozmaite robią... Na wojnie stracili wiele ludu, a przecież jeszcze ciasno, ot i wymyślili oni... Mnożą się ludzie, a ziemi nie przybywa... A ot, powiadają jeszcze, że ziemia zaczyna, ot jak, ubywać: niby to morze-ocean z brzegów wychodzi i coraz więcej ziemi zalewa«....

Z wieści zaś, podżegających do gwałtów przeciwko obywatelom, pochwycić zdołał starzec również sporo mętów:

— »Na co Pan Bóg stworzył ziemię?... Dla nich jednych, co? W Piśmie św. powiedziano: »rozmnażajcie się i napełniajcie ziemię«, a my bez chleba!... Powiadają, że w Petersburgu obliczenie teraz do-

konuje się: ile dusz i ile wszystkiej ziemi... Naszego wójta wzywano do miasta i zapytywano, dlaczego naród tak cierpi... Tylko że wójt przerzucił się na ich stronę«...

Wśród ludu krążą nawet pogłoski, jakoby po wsiach chodził następca tronu, pragnąc dowiedzieć się prawdy z ust samego włościaństwa i wymierzyć raz nareszcie sprawiedliwość. I chociaż wiadomo, że następca tronu ma dopiero dwa lata, a zatem nie mógłby sam chodzić po wsiach, lud trwa w zapamiętaniu jakiemś czarodziejskiem.

Skutkiem agitacji i powyższych legend tłum wiejski wzburzył się przeciwko panu Gorodieckiemu, któremu wójt powiada wyraźnie, iż lud postanowił odebrać ziemię dworską przemocą. Chłopi w okamgnieniu opanowują dwór cały, szydząc bezlitośnie z tych, których uważali dotąd za swoich dobrodziejów. Nie oszczędzają nawet istotnego swego przyjaciela Pawła Iwanowicza, który stara się opanować sytuację i przyprowadzić do opamiętania rozszalałe instynkty.

Tłum nie chce wchodzić z nikim w paktowanie, lecz przez usta wójta domaga się bezwarunkowego i natychmiastowego podpisania cesji następującej: »Wszyscy, niżej podpisani, którzy dobrowolnie, bez przymusu, postanowiliśmy spełnić wolę włościan, zostawiamy sobie na własność: sad, ogród i gospodarstwa dziesięć dziesięcin, lasu dwie dziesięciny budulcowego i dwie dziesięciny łąk. A resztę ziemi, łąki i las, który znajduje się w naszem posiadaniu bezprawnie z woli cesarza Aleksandra II. zgadzamy się zwrócić włościanom... Na znak czego podpisujemy się«...

W chwili, kiedy obecni mają przystąpić do aktu, sporządzonego w ten sposób dobrowolnie(!), rozlega się na dworze salwa karabinowa. To przy-

jechali strażnicy ziemscy, zawezwani przez pana Gorodieckiego przeciwko zbuntowanej czerni. Chłopstwo widząc, że jest zgubione, że wszystkie nadzieje wzięły w łeb, rzuca się w szalonym gniewie na rodzinę dziedzica, by jej krwią zaspokoić swoje pragnienie ziemi. Pierwszym pada prorok fałszywy — nieszczęsny chłopoman Paweł Iwanowicz...

Taki jest koniec tragedji Czirikowa, tragedji instynktów najpierwotniejszych, kiedy motłoch najpospolitszy śmiał głosić całej Europie cywilizowanej, iż on jest »królem-Duchem« Rosji odradzającej się, iż on jest »lud-car«... Tymczasem nie spodział się, jak rychle zlatywał na złamanie karku do przepaści, w której nań śmierć nieuchronna czyhała, głodna krwi i mięsa... Pionierzy nowych haseł sądzili początkowo, że wraz ze zniszczeniem kultury dokonają dzieła epokowego, którem świat zadziwią. Na szczęście skończyło się na zawodnych majaczeniach: ów wichr, jaki powionął od Wschodu, był zbyt słaby, iżby mógł zwarzyć kwiaty cywilizacji zachodniej, kwitnące wśród narodu, zmuszonego fatalizmem dziejowym do współżycia z barbarzyńcami.

Europa — za naszym przykładem — odwróciła się od takiego ruchu wolnościowego — tyłem...

Tymczasem nastała smutna nad wyraz wszelki doba zamieszek ulicznych, jakie napróżno chciało ochrzcić wielu zapaleńców niedorzecznem mianem »wielkiej rewolucji wszechrosyjskiej« — i Czirikow oddał się w zupełności na usługi literaturze agitacyjnej, wyłączającej poza nawias kwestje narodowościowe. Z tego okresu pochodzi szereg utworów drobniejszych, zabarwionych tendencją jednolitą, kiedy to ludzie, jak ćmy nocne do ognia, lecieli ze wszech stron ku marze wolności, póki nie dostali się do więzienia.

Tłem i treścią nowelki p. t. »Towarzysz« są właśnie wypadki z pierwszych dni manifestacyj »konstytucyjnych«, kiedy to wszystkie więzienia były podobne do zwierzyńców, w których zgromadzono wszelakie potwory zwierzęce wszystkich części świata. Razem z prawdziwymi apostołami nowego życia dostawali się do cel ludzie pospolici, razem z orłami gęsi domowe, pragnące naśladować orle loty... Więzienia przypominały minjaturowe miasteczka: siedzieli w nich bowiem ludzie najrozmaitszych stanów i zawodów: mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Więzienie było przepełnione do tego stopnia, że zarządcę ogarniała wprost czarna melancholja, kiedy zawiadamiano go o nowej partji aresztowanych. Nie wiedział bowiem biedak, gdzie ich pomieścić. Większość zaś lokatorów, jako nieprzyzwyczajona do życia więziennego, zasypywała go skargami dla ladajakiego najbłahszego powodu, jak gdyby zapominała o tem, że to nie hotel, tylko kryminał!... Zresztą niezwykły skład przestępców politycznych wprawił w zdumienie starego służbistę, który za istotnych przestępców uważał tylko: młodzież uniwersytecką i robotników. Do nich też jedynie stosował jak najściślej wszystkie przepisy więzienne. Nie wiedział wprost, jak mówić do »politycznych«? A już w rozmowach z jenerałem tracił doszczętnie nietylko rezon, ale nawet głowę, zupełnie jak gdyby jenerał nie był więźniem politycznym, ale przełożonym więzienia, który ma prawo czynienia wymówek nieprzyjemnych.

Pośród więźniów rozeszła się tymczasem pogłoska, że w celi nr. 5 siedzi jakiś generał. Młodzi przestępcy polityczni w celach 4 i 6 przypuszczali, iż sąsiad ich nie jest wcale generałem, lecz nosi tylko takie przezwisko partyjne. Wystukiwali tedy w ścianę zapytania alfabetem, powszechnie znanym

w więzieniach rosyjskich, ale nie otrzymując odpowiedzi, zaczęli przypuszczać, że w celi tej zarząd więzienny umieścił z umysłu szpiega. Wszelkie inne próby porozumienia się pozostały również bez wyniku dodatniego, gdyż więzień milczał.

Aż razu jednego zaprowadzono generała, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, na przesłuchanie, które prowadzić miał oficer żandarmerji. Generał przywitał oficera protekcjonalnem skinieniem głowy, ale wnet stracił fantazję. Prowadzący śledztwo bowiem nie mógł w żaden sposób uwierzyć, iżby generał prawdziwy, za jakiego podawał się oskarżony, mógł brać udział w manifestacjach pospólstwa. Kiedy zaś fotograf sądowy przystąpił do zdjęcia podobizny oskarżonego — generał zgasł, rażony apopleksją.

— »Tej nocy w więzieniu panował niepokój: do samego świtu śpiewano marsza pogrzebowego, a rankiem przybył oddział żołnierzy w zupełnej gotowości bojowej« — kończy Czirikow swoje opowiadanie.

Istotnie — o ofiary pomyłki nie było trudno w czasach rozruchów pokonstytucyjnych. Ale, czyliż nie mylili się równie często przewrotowcy?...

Stąd już krok jeden tylko do powieści p. n. *Matieżniki*, boć i tutaj napotkamy apoteozę — tym razem zbrodni istotnej, wylęgłej w ciemnych głowach chłopstwa rosyjskiego, co wcale nie potrzebowało *woli*, tylko *ziemli*. Występuje tutaj nie małorolny proletarjat rolniczy, ale chłopstwo, łaknące zwiększenia nadziału rolnego, jedynie dlatego, że orząc sposobem odwiecznym, wyzyskałą siły produkcyjne posiadanej gleby docna, o meljoracjach zaś rolnych nie chce wcale słyszeć. Przesunie się przed nami szereg typów, stojących pod względem kulturalnym na jednym stopniu z ludami dzikiemi

Afryki południowej, jakich pełno było we wszystkich procesach o rozruchy agrarne, kiedy to t. zw. »czerwony kogut« zapiał donośnie nawet nad najżyźniejszemi dzielnicami rdzennej Rosji.

Skąd przyszły wieści alarmujące?... któż wyjaśnić zdoła!

We dworze dziedzica mówiono, że uwijają się po wsiach źli ludzie, którzy opowiadaniami o życiu bez panów i *naczalstwa*, bez płacenia podatków, podburzają najspokojniejszych nawet dotąd włościan. Czyniono poszukiwania za takimi agitatorami, starano się o ich przytrzymanie, tak samo starano się dowiedzieć, kto rozpowszechnia po wsiach broszury i gazetki nielegalne? Wszystko napróżno. Sprawcy pozostawali niewyśledzeni. Wszystkie zaś dochodzenia, prowadzone przez urzędnika policyjnego, przyczyniały się tylko do tem większego wzburzenia wśród masy włościańskiej, która nienawistnem okiem spoglądała na budynki dworskie.

Ależ — bo dwór posiadał niebylejakie dostatki. Wszerz i wzdłuż ciągnęły się łąki, stare lasy i bezbrzeżna przestrzeń roli urodzajnej; należał wreszcie do dworu staw zarybiony, na którym gnieździły się stadami dzikie kaczki. Chłopi zaś mieli tylko skąpe działki ziemi, otrzymane po uwłaszczeniu, ale nie mieli ani lasu, ani pastwiska dla bydła, ani ryb nie było wolno im łowić. Spoglądali tedy z nietajoną zazdrością na otaczające ich dary boże i z tem większą nienawiścią obracali oczy, pełne złości, w stronę dworu, zwłaszcza, że 70-cioletni staruszek Eljasz, któremu skutkiem wieku osłabła pamięć mieszała prawdę z czczym wymysłem, opowiadał dziwy o dobrobycie za czasów pańszczyźnianych, pocieszając zazwyczaj chętnych słuchaczy, że doczekają z pewnością lepszych czasów, kiedy to »prawda boża zstąpi na ziemię«...

Kiedy zaś rozeszły się wieści o manifeście monarszym, stary Eljasz zaczął często odwiedzać miejscowego popa, pragnąc dowiedzieć się bodaj przed śmiercią, czy byt chłopski polepszy się znacznie. Wobec tego zaś, że od popa nie mógł otrzymać upragnionych wiadomości, zaczynał pseudo-rozumowania teologiczno-społeczne, na które jednakowoż otrzymywał odpowiedzi wcale nie podług swojej myśli karłowatej.

Ale bajkom o nowym nadziale ziemi nie było końca. Przynosili je różni ludzie do wsi. Bajki zaś te odbierały wprost sen spragnionym zwiększenia stanu posiadania dotychczasowego. Wyczekiwano z niecierpliwością ogłoszenia manifestu. Niedziela za niedzielą mijała, ale pop nie odczytywał jakoś w cerkwi upragnionego aktu. A tu wszystkim pachła ziemia pańska i las i łęgi skarbowe.

I podczas gdy wśród wszystkich chłopów panował jednaki duch i jednakowe oczekiwanie polepszenia losu, jedynie miejscowy właściciel kramu był wrogo usposobiony względem tych nowych porządków, o jakich przebąkiwano półgłosem.

Kramarz zmienił się w krótkim czasie od założenia sklepiku do niepoznania. Zarzucił zupełnie dawny strój chłopski, przebrał się na pół po mieszczańsku i stał się wielce pobożnym. Nie mógł znieść głupich mędrkowań chłopskich, osobliwie, kiedy wyśmiewały one dziedzica, krytykowały czynności popa, lub przepełnione były grubemi wymyślaniami przeciwko naczelnikowi ziemskiemu. Za całe nieszczęście niezadowolenia, wybuchłego wśród warstwy chłopskiej, o czem dowiedział się z gazet, uważał — całkiem słusznie — pijaństwo, połączone z brakiem chęci do pracy uczciwej. Wszakże on sam zaczął handel od domokrąžstwa, a przecież powoli dorobił się pieniędzy!...

Nareszcie do zapadłej wioski dotarł manifest konstytucyjny. Późnym wieczorem, dróżkami polnemi, ukradkiem zebrali się włościanie nad brzegiem jeziora. Tutaj przy świetle łuczywa odczytał zgromadzonym jeden z chłopów tekst ukazu, w którym wszelako — ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich — nie było bodaj drobnej wzmianki o ziemi. Obietnica zwołania dumy państwowej nie wywołała u chłopów najmniejszego wrażenia. Rozchodzili się tedy do domów w przygnębieniu.

Chłopstwo zaczęło przebąkiwać, że to »panowie« umyślnie sfałszowali manifest najwyższy. Przypuszczenia tego rodzaju nabierać zaczęły tem większego prawdopodobieństwa, jako, że we wsi sąsiedniej uwięziono dwu parobków za rozpowszechnianie książek zakazanych, oraz jakichś odezw niedozwolonych. Winę tego zwaliła fantazja na mieszkańców dworu. Zaczęto tedy wyciągać z zapomnienia »grzechy pańskie«, a nawet przodków obecnych właścicieli wsi. Dziadek Eljasz zaś podsycał ten płomień zarzewia opowiadaniem, jak to za czasów pańszczyźnianych panowie zmuszali kobiety wiejskie do karmienia własną piersią szczeniąt...

Nie wiadomo — kto rzucił hasło puszczenia z dymem sadyby pańskiej?...

Kiedy dowiedziano się o tem we dworze, spokój znikł bezpowrotnie z murów pańskich. Obecnie po raz drugi pani została sama, gdyż mąż musiał wyjechać do miasta, celem wzięcia udziału w zgromadzeniu obywatelskiem, mającem na celu obmyślenie środków zapobiegawczych przeciwko zamierzonym rozruchom włościańskim. Sen nie imał się samotnej gospodyni, drżącej ze strachu nawet wtedy, gdy zdaleka doszło wycie psa, chociaż wszystkie wejścia były zamknięte, okna zaś pozabijane deskami. Popadła w straszny rozstrój nerwowy, tak,

że nawet ciche trzeszczenie sprzętów lub stuk zagadkowy uważała za coś groźnego. Nie rozstawała się tedy z rewolwerem.

Za powrotem męża zaszła pewna zmiana. Oto do wsi przyjeżdżali rozmaici urzędnicy, którzy jęli tłumaczyć zgromadzonym włościanom, że ci ludzie, co obiecują im ziemię i wolność — są wrogami cara i władzy, dążącymi do pochwycenia steru rządów we własne ręce. Chłopi jednak nie dawali posłuchu tym radom, przypominając sobie za każdym razem cięgi, otrzymywane od rozmaitych urzędników. O ziemi jednakowoż ani o manifeście monarszym żaden z nich nie wspomniał, choćby nawiasowo!...

Chłopi zaś nie pomyśleli, coby zrobili z ziemią w razie otrzymania nowego jej nadziału. Boć przecież ziemia nie jest chlebem, żeby ją było można jeść! Ziemia wymaga dobrego, racjonalnego gospodarstwa, nawozu, bydła, a bylejako uprawiana nie da plonów, a tylko zachwaści się!

Bogatszych zaś gospodarzy niepokoiły zaburzenia rolne, jakie rozprzestrzeniały się szybko po gubernji całej, niepokoiły podpalania i grabieże oraz wieści, jakoby tam lub ówdzie czyniono starania o równy podział ziemi pomiędzy ludność. »Daj im wolność — mawiali — a ostatnią parę spodni przepiją!«... Niepokój rósł w duszach z dniem każdym coraz to więcej, zwłaszcza, gdy obywatele z sąsiedztwa zaczęli opuszczać czemprędzej swoje domostwa i chronili się do miast gubernjalnych, gwałtom zaś ze strony chłopstwa nie było końca.

Przez całe dwie noce było widać na horyzoncie czerwoną łunę dalekiego pożaru. Chłopom, zgromadzonym na pagórku, serca wzbierały na ten widok radością, we dworze zaś rosła trwoga, która zmniejszyła się nieco, skoro z gubernji przysłano strażnika z nieograniczonemi pełnomocnictwami. We

wsi zaś stało się cicho i bezludnie, a tylko w duszach milczących rosła nienawiść i wyczerpywała się cierpliwość.

Wkrótce też znienawidzono strażnika, który nie tylko wjeżdżał konno na grządki, czyniąc szkody w ogrodowiźnie, ale też zalecał się wcale ochoczo do bab i dziewcząt.

Uważał też pilnie strażnik na niektóre chaty, osobliwie zaś na chatę starego Eljasza, którą uważał za kuźnicę wszystkich pogłosek o nowej wolności, nie tyle z powodu niebezpieczeństwa owych pogłosek, ile dlatego, że mieszkała tam urodziwa kobieta, żona sołdata. Kiedy zaś nie udało mu się nawet przemocą pozyskać względów upatrzonej, zaczął knuć plan zemsty srogiej. Pobity podczas rewizji nocnej przez brata owej sołdatki, wysłał strażnik depeszę do gubernatora. Na skutki nie potrzeba było długo czekać, zwłaszcza, że sami właściciele wsi, przerażeni napadem na strażnika, wyjechali pokryjomu do miasta.

Następnego już dnia o świtaniu przybył do wsi »stanowy«. Zaczęło się energiczne śledztwo przy akompanjamencie obelg i bicia po twarzy badanych, która to zniewaga nie minęła nawet wójta miejscowego. Tłum aresztowanych zapełnił wkrótce całą szopę. Wszelako nocą tłum chłopów odbił uwięzionych. Zawezwano kozaków, przyjechał nawet *isprawnik* wraz z rotmistrzem żandarmerji.

Dla wsi przeznaczonej na zagładę nastał sądny dzień!...

Uległ też Czirikow nagminnej chorobie, jaką zostali nawiedzeni wszyscy prawie piewcy rewolucyjni, symbolistyce, zamglonej ponad potrzebę istotną, w trzyaktowej fantazji dramatycznej p. n. »*Czerwone ognie*«, drapowanej nawet w wiersz biały. Oprócz dwojga istot świata zmysłowego, wyprowadza poeta

cały legjon przeróżnych fantastycznych stworzeń, mówiących nieco za wiele w stosunku do treści realnej, jaką przynieść mogą ich słowa. I ów sejm duchów ma położyć koniec dotychczasowemu porządkowi rzeczy...

Sam Czirikow odczuł widocznie najlepiej, że terenem najudatniejszych jego popisów dramaturgicznych może być nie jakaś mistyka, lecz życie żywe, bijące tętnem młodości, niepohamowanej w swoich porywach. To też w ostatnich swoich dramatach zwrócił się ku problematowi, poruszonemu poniekąd, chociaż z innej strony, w »*Żydach*«, zwrócił się ku smutnym wypadkom, jakie spowodowały wykolejenie się dziesiątków tysięcy młodzieży rosyjskiej, ku politykomanji, jaka ogarnęła umysły niezrównoważone, co gorsza nieprzygotowane teoretycznie do racjonalnych prac obywatelskich, kiedy hasła przewrotu radykalnego śmieli uważać za prowadzące do celu!...

Smutneż tedy jest opowiadanie p. n. »*Na poręce*« boć żal za zmarnowanem pokoleniem ogarnąć musi serce... żal tem sroższy, że politykomanja pochłonęła i z pośród n a s aż nadto wiele sił młodych, obiecujących w przyszłości...

Na dworzec kolei żelaznej w niewielkiem mieście prowincjonalnem chodziła od pewnego czasu dzień w dzień staruszka — żona jednego z niewielkich czynowników miejscowych. Milczącą w zamyśleniu głębokiem i pogrążoną w troskach o syna, budził dopiero z zadumy łoskot nadchodzącego pociągu. Staruszka ożywiała się na chwil kilka, szukając pośród przybyłych pasażerów swego syna. Napróżno!... Codziennie tedy odchodziła z dworca ogromnie zgnębiona, pocieszając się po drodze kruchą nadzieją, że może w ścisku nie zauważyła syna, że może go zastanie w domu. Złudna nadzieja!...

Niekiedy zdawało się biedaczce, że już nigdy nie zobaczy syna. Przecież tyle razy już opowiadał znajomy czynownik Ardeljon Michajłycz, przyjaciel serdeczny jej męża, o więzieniu, w którem za pociśnięciem mechanizmu umyślnego woda zalewa celę i topi znajdującego się tam przestępcę. To też mąż jej zwykł był mawiać, że lepiej już nie oczekiwać powrotu syna, boć on przecież dostał się do więzienia za sprawki »polityczne«. Staruszków oboje na myśl samą o możliwości takiego faktu ogarniała rozpacz krańcowa, sen z powiek spędzająca.

Wszelako raz przed południem, gdy mąż był w biurze, a stara Marja Tymofjejewna krzątała się w kuchni, zajechał przed dom staroświecki powóz. Marja Tymofjejewna wyjrzawszy przez okno, upuściła z rąk naczynie. Bo oto — obok powozu stał student i choć był odwrócony tyłem, tak że twarzy dojrzeć nie było można, stary kufer, z którym mozolił się teraz woźnica, powiedział starowinie-matce, kto przyjechał. Rzuciła się bez namysłu ku synowi, nie wierząc wprost oczom, że Mikołaj jej najdroższy powrócił żyw i zdrowy.

W domu zastał Kola wszystko po dawnemu, choć już dwa lata minęły od jego wyjazdu do Kijowa. Nawet na podwórzu gęś wodziła dumnie, jak za dawnych czasów, młode, a w pokrzywie, obok chlewu, spał, poruszając tylko od czasu do czasu uszyma, okazały wieprz. Wydało się Koli, że te gęsi i wieprzka widział nie dawniej, jak wczoraj, boć i wróble tak samo świegotały wesoło na krzewach, a na oknie konały roje much, schwytanych na lep słodyczy papierowej. Od strony ulicy nie było słychać najlżejszego bodaj szmeru. To też Mikołajowi stanęło żywo przed oczyma miasto ogromne, kipiące życiem. A tutaj?... ani śladu życia!...

Z tych dumań wywołało go przybycie ojca. Po krótkiej rozmowie okazało się, że stary nie może zrozumieć młodego, syn zaś ojca.

Nad domem zawisły chmury... Po upływie tygodnia zawezwano Stefana Nikiforowicza na policję. »Isprawnik«, który był chrzestnym ojcem wykolejonego młodzieńca, żalił się, iż zdany obecnie na jego łaskę i niełaskę młodzieniec, nie uznał za stosowne odwiedzić go choćby raz. W biednej wszelako głowie niedoszłego »bohatera« rewolucyjnego nie mogła pomieścić się myśl, iż — bądź co bądź — prosta towarzyska forma wymagała spełnienia tego, czego się domagał ojciec chrzestny. Nic dziwnego. Rewolucjonista bowiem rosyjski jest zazwyczaj w skrajnej niezgodzie z najprymitywniejszemi zasadami logiki i zdrowego rozsądku. Inaczej — trudnoby mu było być rewolucjonistą!...

Ostatecznie, ulegając coraz natarczywszym żądaniom ojcowskim, zdecydował się Mikołaj odwiedzić znienawidzoną policję. Znalazł się tam w sposób, urągający najprymitywniejszym pojęciom o zasadach jakiego takiego wychowania. Ha! Alećrewolucjoniści rosyjscy plują na takie drobnostki, jak n. p. dobre wychowanie. Stado pierwotne z okresu kamienia łupanego!...

Chciał nawet ojciec chrzestny wyrobić chrześniakowi pozwolenie na powrót w mury uniwersyteckie. To też, kiedy dowiedział się, iż ojciec zamierza wnieść podanie w tej mierze, nieszczęsnemu chłopakowi wydało się, że otrzymał wyrok śmierci. I jak gdyby sądząc, że dokona czynu bohaterskiego biedny Kola kończy samobójstwem, jak zwykli czynić bankruci moralni czy ideowi. A czem on sam był?...

Wyprawiono mu pogrzeb wspaniały. Za trumną postępował sam *isprawnik,* podtrzymując napoły

obłąkaną z rozpaczy matkę-staruszkę. Chór cerkiewny śpiewał wspaniale, wtórzyły tym echom żałosnym ptaszki po krzewinach, nad otwartą mogiłą pożegnano szaleńca, co paraliż sprowadził na znękanego ojca, pożegnano słowem, jakiego wart nie był. A kiedy trumnę zasypano ziemią, na mogile pozostała matka-staruszka, przeklinająca tych, co jej syna wtrącili w mogiłę. Dlaczego jednak zapomniała w swoich przekleństwach o winowajcach właściwych, którzy rozpolitykowali młodzież, rzucając ją bez wyrzutów sumienia na pastwę Molochowi pseudorewolucji rosyjskiej?

Wieleż, wieleż tragedyj takich przeżyła Rosja za lat pierwszych konstytucji? Winowajców zaś nie szukano tam, gdzie należało...

Są łzy niewypłakane po sam świata koniec, są łzy, cięższe i od łez sierocych, zwłaszcza w szalejącej Rosji — *sunt lacrimae rerum...*

Albo — gdyby zapytać się, czyją jest winą, że dziecko nieletnie »*Na progu życia*« spotkać się musiało z okropnościami, co rzuciły cień na całe życie może? I czyliż Czirikow da na takie pytanie odpowiedź jasną i prostą?

Maleńki Wania przebudził się w nocy. Cóżby to mogło znaczyć, że pomimo tak późnej pory w pokoiku jego sypialnym chodzi kilku nieznajomych, jacyś wojskowi i dozorca domu? Dlaczego przerzucają w szafie jego zabawki? Dlaczego mama na to zezwoliła?... Na podłodze leży koń drewniany, książki z obrazkami, pudełka z grami dziecinnemi. A mama popłakuje zcicha?... Co to za niespokojni goście?... I o czem tak głośno rozprawiają w pokoju starszego brata Aloszy, który ich łaje, chociaż mama zabrania mówienia niegrzecznych słów do osób starszych? Dlaczego tyle hałasu i krzyku?... Dlaczego mama znowu zaczyna płakać?...

Maleńki Wania wylazł pocichu z łóżeczka, podkradł się pod drzwi i odchylił je ostrożnie odrobinę. Scena, jaką ujrzał w pokoju brata, zdumiała go. Brat żegnał się z wszystkimi, jak przed jakąś daleką podróżą. Czyliżby on na prawdę gdzie wyjeżdżał?...

Nazajutrz dowiedział się malec od matki, że Alosza pojechał istotnie gdzieś bardzo daleko. Nie mógł się wszelako ani teraz, ani później dowiedzieć od matki, dlaczego brat tak niespodziewanie, po nocy, wśród zgiełku wyjechał? Uważał tylko, że ilekroć pytał o to matkę, oczy jej zachodziły łzami. Kiedy zaś zapytał o przyczynę odjazdu brata rówieśników zabaw podwórzowych, nie mógł wprost dać wiary temu, co usłyszał. Powiedziano mu bowiem, że brat będzie powieszony, bo jest socjalistą. Kłócił się tedy, że to nieprawda, a gdy kłótnią nie mógł nic zdziałać, biegł do matki z zapytaniem, na które również nie otrzymywał jasnej odpowiedzi gdyż łzy zaiewały matce słowa w gardle. Wania, nic teraz nie rozumiał...

Pewnego dnia matka pożegnała się z Wanią gdyż miała pojechać na kilka dni do Aloszy, zostawiając malca na opiece ciotki. W mieszkaniu zapanowała cisza i nuda, zwłaszcza, że ciotka całemi wieczorami popłakiwała pocichu. Dlaczego jednak płakała?

A kiedy matka powróciła — nie było końca płaczowi. Łzy lały się potokami z oczu matki i ciotki, tak że Wani na płacz się zbierało. Dlaczego jednak matka przywiązała do kapelusza długi, czarny welon i ubierać się zaczęła czarno?... Dlaczego modli się długiemi wieczorami na klęczkach?... Nareszcie powiedziała dziecku ciotka, że Alosza zachorował śmiertelnie. Więc i maleńki Wania zaczął co wie-

czór modlić się po dziecinnemu, słowami niewymyślnemi o zdrowie dla brata:

— »Jezu Chryste! Spraw, żeby Alosza wyzdrowiał!... Kochany Jezu Chryste! Powiedz Ojcu swojemu, iżby się nie gniewał na Aloszę... Alosza bardzo dobry chłopczyk... Niech Alosza powróci do zdrowia, a tamci niechaj zasłabną i pomrą... Alosza im nic złego nie uczynił, a oni wsadzili go do więzienia... Więc niechaj pomrą... Tak się im należy... Kochany Jezu Chryste! Obym czem prędzej wyrósł i stał się bardzo silnym... Silniejszym od Waśki stróża!... I tak dzielnym. jak bohater... Wtedy ja im pokażę..., Ulituj się nad mamą, nade mną i nad Aloszą, daj papie wieczne odpoczywanie, a ich poślij do piekła... Niechaj tam żyją razem z djabłem... Niechaj w ogniu męczą się i oby im pić nie dano...«

Pewnego dnia przyszła znowu policja. Przyniesiono rzeczy Aloszy. A potem matka płakała, ilekroć spoglądała na rzeczy. I Wani zbierało się na łzy, bo mama zaniemogła ciężko i leżała sama w pokoju, w którym kryło się coś tajemniczego, niepojętego dla umysłu dziecka. A tu na dobitek wyśmiewali się chłopcy podwórzowi z Aloszy, więc mały Wania skombinował związek zachodzący pomiędzy chorobą matki a losem brata i nienawiść zawładnęła sercem pacholęcem niepodzielnie, nienawiść ku wszelkiej władzy!

Kiedy zaś niepodobna było dłużej ukrywać przed dzieckiem smutnej prawdy, i matka powiedziała Wani, że Alosza umarł, — maleńki chłopczyk powiedział wprost do wizerunku Ukrzyżowanego, że go nie kocha ani odrobinę, bo gdyby Bóg nie był pragnął śmierci Aloszy, Alosza byłby żył dotąd. Do takich wyników doprowadził chłopię nieletnie nihilizm, zaszczepiony atawistycznie we krwi!...

Raz rano, ledwo Wania zdążył przetrzeć powieki — oznajmiła mu kucharka o śmierci matki. Nie zmartwiła wcale ta wiadomość chłopczyny; owszem, ucieszyła, gdyż ostatecznie bodaj teraz mama zobaczy się z Aloszą. Żałował tylko, że jemu nie dane jest widzieć się teraz z matką i bratem. I znowu w umyśle dziecka zaświtała myśl, że temu wszystkiemu, co się stało, winni są jedynie ci, co uwięzili brata:

— »Oby wam Bóg zesłał śmierć rychłą!« — przeklinało dziecko z błyskami nienawistnemi w oczach. — Jezu Chryste! Obyż i u nich wszystkich pomarli ojcowie i matki... I niech ich także nazywają sierotami, jak teraz Wanię nazywa kucharka!«

Przekleństwem zaczynało dziecko najwcześniejsze dni życia nędznego... Przekleństwem strasznem, co spada na głowy złorzeczących!...

— »Wszystko przeminie, pójdzie w niepamięć ale tych kilka dni życia — przenigdy!« — kończy z emfazą Czirikow.

Minęło lat dziesięć, a Wania późną nocą pochylony nad książkami nagle oderwie się od pracy i utonie myślą w wspomnieniach, jak gdyby ktoś niewidzialny targał mu serce, dopominając się wspomnienia. »I płomień miłości, wzniecony przez padłe z książki do duszy iskry, splata się z płomieniem zemsty... naprężając wszystkie muskuły twarzy młodzieńczej nieodstępną myślą złowieszczą«. I Wania młodzieniec przysięga w noc ciemną przed portretem matki i brata zemstę straszliwą tym, którzy zawinili ich śmierci...

* * *

Gloryfikacja zbrodni i deprawacji duchowej przewija się przez wszystkie bez wyjątku »utwory« Czirikowa, jak gdyby przez niego przemawiał

krwi jego przodków, dla których niemal przykazaniom boskim równa była zasada pierwotnością swoją potworna: »Ząb za ząb, oko za oko!« W spuściźnie po tych, którzy wyznawali teorje, możliwe tylko u hord pierwotnych, wziął Czirikow wszystko.

Kultura stuleci przeszła obok niego mimo, nie pozostawiając na duszy pisarza uszlachetniających swoich śladów. Aleć wolno żądać od pana Czirikowa, jako od teoretyka rewolucyjnego, wyjaśnienia, dlaczego takiemi torami życie pójść musiało, jakie on mu wyznaczył?

A że na tego rodzaju pytanie darmoby szukać w utworach Czirikowa odpowiedzi konkretnej i uzasadnionej logicznie, więc, choć nieproszony — ze względu na czytelników — muszę go wyręczyć. Otóż, te wszystkie tragedje, jakich idealizowaniu oddał swoje pióro, stać się musiały, gdyż niema na świecie państwa bez porządku i wolności, bez ładu społecznego. Chyba, jeśli pan Czirikow nie ma pojęcia o wolności. Bo być wolnym, nie znaczy jeszcze... nie mieć i nie uznawać praw nad sobą samym!

To bowiem, co on mówi o solidarności, o braterstwie, o walce biednych z bogatymi, o pogardzie każdego istnienia lepszego — jest, niestety, w a l k ą z ł a d e m i p o r z ą d k i e m, jest, mówiąc dobitniej — a n a r c h j ą...

IV.

Ogarki rewolucyjne

Natura rosyjska, nawskróś pierwotna, ale zarażona odpadkami pseudocywilizacji, jak gdyby gdzieś z epoki przedhistorycznej kamienia łupanego przeniesiona żywcem na początek XX wieku, ujawniła się nie tylko w całym tak zwanym »ruchu wolnościowym«, ale pozostawiła po sobie ślady niezatarte w literaturze, roszczącej sobie pretensje do miana »pięknej«, jak gdyby »pięknem« były nieuleczalne choroby społeczne...

Rozpasanie instynktów najniższych, bandytyzm pospolity, zbrodnie wszelakiego rodzaju, te jedyne widoczne owoce pseudorewolucji pokonstytucyjnej, nie pozostały bez wpływu na umysły pisarzy-sympatyków anarchji na każdem polu. Stąd też w literaturze generacja najmłodsza zaczęła sławić: rabunki, mordy i pożogę krwawą, szerząc wokoło chuligaństwo duchowe, szalone rozpasanie instynktów, potwornością swoją przerażających, — wszystko, co w zbydlęconej naturze ludzkiej jest najnędzniejszego, najhaniebniejszego, a wcale nieideowego, bo o artyźmie raczej zamilczeć trzeba.

To, co w duszach, nietkniętych cywilizacją, przewala się burzliwie, bez celu i planu określonego, co kłębi się w nich chaotycznie i brutalnie bez potrzeby koniecznej, a jedynie dla zaspokojenia żądz i pożądań płytkich i banalnych, a co się da znakomicie określić mianem — chamstwa uczuciowego i myślowego, nihilizmu ideowego i erotomanji wyuzdanej, — to miało pchnąć literaturę nadobną

na nowe drogi, o jakich nie śniło się genjuszom »zgniłego Zachodu«.

Anarchizm, chociażby nie praktycznie pojmowany, lecz jako teorja, jest sam przez się płytki i banalny i reakcyjny w stopniu najwyższym. Czyliż więc można się dziwić, że w porównaniu ze sztuką Tołstoja i Dostojewskiego chociażby, produkcja twórcza takiego Gorkiego i Andriejewa była aż nadto wsteczna? Jaką zaś miała i musiała być »sztuka« epigonów czy satelitów tych dwu heroldów anarchji?...

Bo, jakkolwiek — nie da się zaprzeczyć — Gorkij i Andriejew operowali komunałami, dawno na Zachodzie podanemi w zapomnienie sprawiedliwe i zasłużone, — przecież imponowali początkowo niepospolitym rozmachem i siłą, z jaką umieli wyrazić protest, nawet najbardziej problematyczny. A jednak!... Kiedy przyszedł okres nie słów porywających, lecz czynu, kiedy pseudo-rewolucja wypełzła z swoich nor podziemnych, okazało się, że hasła one wszystkie górnolotne rozpadły się, jak łachmany spłowiałe i zleżałe, bo nie pochodziły z duszy człowieczej, ale ze zwierzęcej pożądliwości.

Jeśli zatem owi mistrze nowej szkoły pisarzy rosyjskich zakończyli bankructwem, cóż stało się z satelitami ich, którzy od wielkiego Maksyma otrzymali chrzest na genialność, a zarazem zostali rzuceni na łaskę losu w chwilach najsmutniejszej likwidacji haseł przeogromnych?...

Otóż — kiedy reakcja wzięła górę w całem społeczeństwie rosyjskiem, które za każdą cenę pragnęło uzyskać chwilowy bodaj spokój i uwolnić się od chaosu, nie pozwalającego na skupienie myśli, pisarze owi epigoniczni — nie mogąc czerpać z ponurej a szarej rzeczywistości — cofnęli się do wspomnień lat niedawnych, rozbudzając bodaj na papierze rozpędy rewolucyjne, a kiedy i te rychłemu uległy

wyczerpaniu, zwrócili się z całą ordynarnością zmysłową w ciemnie źródła, z którego zawsze w czasach najcięższej reakcji czerpała dusza rosyjska zapomnienia strugi. W seksualiztmie wyuzdanym zaczęto szukać pociechy i ukrzepienia... Zepsuta Tatarszczyzna, bo niestylowa, wyszła tutaj na jaw w całej pełni...

I.

Semen Juszkiewicz.

Typ to pośredni pomiędzy Gorkim i Andriejewem z jednej strony, a Sołłogubem i Briussowem z drugiej. Bosiactwo bowiem i hasła anarchistyczne *par excellence* łączą się w jego utworach nierozerwalnie z orgjazmem płciowym, tylko że orgjazm ów ma za podkład nędzę ekonomiczną i rzekomy wyzysk klas pracujących przez pracodawców, z których każdy musi być bezwarunkowo — sytym brutalem.

A dzieje się u niego wszystko na tle miasta, któremu Juszkiewicz, z umysłu niewątpliwie, nadaje kształty jakiegoś potwora mitycznego, żądnego wiecznie krwi i mięsa robotniczego. Podług teorji Juszkiewicza — miasto przedstawia się, jako siła dusząca brutalnie, gniotąca bezwzględnie, przeobrażająca człowieka każdego w nicość... Pod jej wpływem więdnieje i zamiera rychło wszystko, co jest ludzkiego na świecie: pojęcie honoru, czci osobistej, miłości, wstydliwości itd. Pomimo to dzień w dzień tysiące ciągną tłumnie do wielkiego miasta, bo je przyciąga ku sobie zewnętrzny blichtr jego, powierzchowność oślepiająca. A zgnębi i zniszczy tych ludzi brak w niem miłosierdzia, jego pragnienia, nienasycone nigdy, pragnienia życia i użycia jak najszczodrzejszego.

Upadek kobiety, to jeden z najczęstszych tematów, jakie Juszkiewicz wyzyskiwał do dna, dla wykazania siły niszczycielskiej miasta, czy to

w »*Prologu*«, czy w dramacie p. t. »*Czużaja*«, w »*Dinie Glank*«, najdobitniej wreszcie w »*Głodzie*«, a częściowo nawet w komedji p. n. »*Siemja*«, jakkolwiek ostatnia nie ma nic wspólnego z rozpustą wielkomiejską, ani też z interesami klas robotniczych. Wszelako godzi się przyznać, iż motywy tych licznych upadków są za każdym razem inne i — co niemało ważne — najzupełniej ugruntowane, o ile — naturalnie — abstrahuje się od teoryj ekonomicznych Juszkiewicza, który pod tym względem okazuje się skrajnowcem.

Bodaj, czy cały ten zawiły problemat o niwelacyjno-deprawatorskiej sile miasta nie został rozwinięty najobszerniej w najmłodszem dziecku talentu Juszkiewicza, o tytule nadzwyczaj trafnie i już *a priori* zapowiadającym, co stanowić będzie treść i jaka będzie tendencja dalszych utworów tego pisarza, — w sporej powieści, nazwanej »*Prologiem*«, choć smutny jest on nad wyraz i złowróżbny.

W pociągu kolei żelaznej, zdążającym do wielkiego miasta portowego, aż kipi od rozgwaru rozmów. Zwłaszcza pasażerowie trzeciej klasy przepełnieni są dziwną wiarą w lepszą przyszłość, jaka im lada dzień zaświta, kładąc koniec dotychczasowemu nędznemu życiu. Robotnicy rozmaitych zawodów, chłopi, wygnani nędzą z pod własnej strzechy, baby z niemowlętami na rękach, wszyscy powtarzają sobie nawzajem bajeczne opowiadania o cudach wielkiego miasta, w którem — zdawało się z ich słów — nie było biednych, a pieniądze walały się na ulicach, jak kamienie, bo nie było ich komu zbierać, skoro wszyscy byli dostatni. Tłum biedaków ogarnęła gorączka febryczna, tak, że w oczach ich było można widzieć błyski niezdrowe, jak gdyby rękoma dosięgali już owych skarbów złotych. Im bardziej zbliżano się do miasta, tem ciaś-

niej robiło się w wagonach, gdyż ogromne miasto, jak jakaś olbrzymia latarnia o nadzwyczajnie silnem świetle, wabiło ku sobie wyniszczonych nędzą długoletnią i pracą znojną, niczem ćmy nocne. To też — skoro tylko nowa fala podróżnych zapełniła na najbliższej stacji wagony, gwar rozmów wzmagał się odrazu i znowu śniły się tłumowi na jawie sny czarowne o życiu beztroskliwem, dostatniem. O przeszłości nie wspominano ani słowem, jak gdyby się lękano, żeby nie psuć złudy o tak bliskiem już szczęściu, w którego przyjście wierzono równie, jak w to, że po nocy dzień nastąpić musi. Wiara ta gorzała w piersiach starców i młodzieży, ona zwyciężała zdrowy rozsądek, wzruszała serca do głębi, a to, że wszystkich czekała jednakowa dola, zbliżało ku sobie ludzi zupenie obcych.

Niedostatek wygnał też wysłużonego żołnierza Nikitę ze wsi do gwarnego miasta, gdzie znalazł pracę i nowych znajomych w jakimś podłym szynku. Znalazł też w szynku szczęście, skoro go miasto dać nie mogło. Nędzarze razem z wyrobnikami dziennymi znajdowali tutaj przez chwil kilka to, czego nie dawało im straszne życie. Knajpa rozbrzmiewała hałaśliwym rozgwarem głosów pijanych, śpiewami ochrypłemi, tańcami i fałszywemi dźwiękami harmoniki.

Kiedy Nikita przybył do miasta — władnęła nim całym niepodzielnie jedna tylko myśl — o otrzymaniu pracy. Zdawało się mu, a nawet wierzył w to, że odetchnie tutaj raz prawdziwie. Zdawało się mu, że zapomni o wszystkich doznanych przykrościach w tem wielkiem pięknem mieście. I jakżeż zawiódł się srodze!... Co prawda — zapomnienie znalazł, — ale dopiero w szynku obrzydliwym przy kieliszku śmierdzącej wódki... A przy wódce znalazł jeszcze miłość w sercu robotnicy

Elżbiety, którą to Elżbietę przed laty zgwałcili bosiacy pijani i która już obznajomiona była dobrze z aresztem, jako że odsiadywała niejednokrotnie karę za kradzież...

Po długiem poszukiwaniu otrzymał ostatecznie ciężką robotę w porcie przy wyładowywaniu kamieni. Niedługotrwałe było to zajęcie. Z nastaniem zimy port zamarzł, więc i praca zdarzała się tylko dorywcza, kilkudniowa najwyżej, z której nikt nie potrafiłby wyżyć. Kradziono tedy, co się nawinęło pod rękę:

— »Inni — uspakajał sumienie Nikity towarzysz Fiodor — kradną materjał i sprzedają i tak już żyjemy, że wszyscy kradniem, gdzie się da. Ot, ja na przykład. Dzisiaj ty mnie chociażby setką oczu podpatruj, a ja dwadzieścia funtów żelaza ukradnę. I nie potrzeba właściwie, ale ukradnę. Pracodawca dusi, a my skrycie kąsamy go. Niema wyrachowania żyć inaczej... Bez rachunku żyjemy. I jaki tu, do djabła, rachunek?... Nie rozumiesz i głupstwa pleciesz. Pijemy wprawdzie z przyzwyczajenia, ale więcej z powodu nędznego życia. Bez wódki dawno port roznieśliby w kawałki. Ale weźmy nawet i tak. Dajmy na to — przestałem pić. Przecież za moje pieniądze ubrania nie kupisz. A z wódką żyjesz spokojniej, — nie brykasz. Najlepszem ona lekarstwem w naszem życiu«...

Jakiem jednakowoż stała się lekarstwem dla Nikity, to okazało się rychlej, niżby tego spodziewać się było można. Podchmielony, nawiązał stosunek z Elżbietą, od której nabawił się choroby nieuleczalnej. Leczył się u znachorki, więc choroba gangrenowała gwałtownie cały organizm i tak wyniszczany systematycznie ciężką pracą i niedostatkiem, który stał się nieodstępnym towarzyszem z chwilą za-

marznięcia portu i przerwy kilkumiesięcznej w robocie.

Pod wpływem bezrobocia i głodu robotnicy stracili do reszty panowanie nad sobą. Jedni rzucili się ku grabieżom nocnym, pragnąc zimę spędzić w więzieniu; inni, ostrożniejsi, trudnili się kradzieżami, z których łupy sprzedawali pokryjomu za byle co, a za uzyskane z takich transakcyj pieniądze urządzali szalone pijatyki. Całe życie masy robotniczej zmieniło się nie do poznania i stawało się z dniem każdym coraz mniej podobne do ludzkiego. Głód i pijaństwo przeistoczyły do tego stopnia ludzi, że z pozoru można ich było uważać za szczęśliwych i zadowolonych ze swego losu.

Tak wszelako było tylko początkowo. Niebawem w dalszym ciągu nastąpiło zwycięstwo braku pracy, który pokonał resztki cierpliwości i sumienia. Głód bezustanku uderzał swoim niewidzialnym młotem i osłabli w walce, nie czując się na siłach do przetrwania długich zimowych miesięcy, kończyli samobójstwem. Każdy zaś poszczególny wypadek samobójstwa wstrząsał do tego stopnia tłumem, że biedacy ze wzmożoną energją rzucali się w wir pijaństwa, byle tylko w wódce znaleźć zapomnienie straszliwego jutra. Rozpacz krańcowa, podsycana stale alkoholem, prowadziła do częstych morderstw — i ludzie płacili za chwilę szału dożywotnią katorgą. Najcięższe zaś było położenie chorych, których w zimie namnożyło się tylu, że tylko nieznaczna ich cząstka mogła znaleźć pomieszczenie w szpitalach. Gorączkując, z suchotniczym blaskiem w oczach, grzali się w knajpie, pokaszlując z cicha, — milczący, zrezygnowani... Wieczorem, wyżebrawszy gdzie kilka groszy, szli do przytułku noclegowego, a jeśli i tych kilku groszy brakowało, nocowali w pustych

wagonach lub zaułkach, skąd niejednokrotnie śmierć ich zabierała.

Nikita, przeziębiwszy się, dostał zapalenia płuc i znalazł się w szpitalu, gdzie przeleżał dwa miesiące. Kiedy zaś wyszedł, morze było już wolne od lodu. Nie brakło zarobku dla nikogo, więc wódka lała się potokami. Jeden tylko Nikita nie brał udziału w tej szalonej orgji pijackiej i spoglądał z żalem na rozpasany tłum. Bieda zaś i ciemnota umysłowa tłumu były dla niego jakiemś hasłem magicznem, które kierowało jego wolę w kierunku ściśle określonym, zwłaszcza że kierunek ów wskazał mu jeden z współtowarzyszów niedoli w szpitalu.

Tymczasem Nikita był analfabetą. Ale los mu sprzyjał. Kiedy bowiem wypędzony brutalnie z budowy przez podmajstrzego, wyrzekał na swoją niedolę, — znalazł przypadkowo człowieka prostego, ale oświeconego:

— »O słuszną sprawę powadziłem się dzisiaj — opowiadał nowemu znajomemu — a gospodarz kazał mnie wypędzić. Czyliż to słusznie? Człowiek przy twojej robocie nogę sobie uszkodził, a ty się z nim, jak z psem, obszedłeś. Drugiego, który ujął się za tamtym — wypędziłeś. A czy o tem piszą w gazecie? Dajmy na to, — pijaństwo. Dlaczego nasz brat wszystko powinien przepijać? Pije on — powiedzmy — z powodu swego życia, a w jakiż sposób życie uczynić lepszem? Czyliż piszą o tem w gazecie? Jak zimę przetrzymali — wiadomo ci. A gdzie się podziała robota? W lecie — ciepło, dobrze — robota jest, w zimie — źle, roboty niema. A człowiek musi także w zimie żyć. Piszą o tem w gazecie, czy nie?«

Na bezpłatnego nauczyciela sztuki czytania ofiarował się Nikicie robotnik Djak. Mieszkał on w do-

mu ogromnym, podobnym do koszar, którego mieszkańcy znajdowali się w mocy silnych wrogów, jakimi były: wódka, syfilis, rozpusta i nędza. I nie oszczędzały one nikogo. Cały dom wrzał od intryg, niewinnych lub podłych i nie było w jego murach ani jednej prawie dziewczyny, którąby nie zeszła na manowce, ani jednej żony, którąby nie zdradzała swego męża, uprawiając stosunki na wszystkie strony. Dziewczęta w większości wypadków stawały się prostytutkami, zawodowemi albo tajnemi, życie zaś takie zaczynały w wieku lat 10 do 12, przeszedłszy szkołę zepsucia u Turków lub u Greków, zamieszkałych licznie w tej dzielnicy miasta.

W skromnej izdebce tego domu mieszkał Bazyli Djak ze swoją kuzynką, 17-letnią Annuszką. Djak patrzył na życie trzeźwo, więc rozumiał dobrze, iż każdy człowiek pierwotny, a zatem także i Rosjanin, puszczony bez wędzidła, samopas, »więcej złego uczyni, aniżeli wściekły pies«... Na dobitek — człowiek-analfabeta!... To też z zapałem zajął się nauką Nikity. Nauka ta wszelako miała się stać przyczyną nieszczęścia młodzieńca, w którego sercu zrodziło się uczucie miłości do Annuszki. A i dla niej Nikita nie był obojętny. Wyznanie było u dziewczęcia na ustach niemal, więc płakała po nocach długich, nie wiedząc, w jaki sposób ulżyć sobie. W snach nawet widywała Nikitę. Marzeniom końca nie było. Usta wszelakoż obojga milczały czas długi uparcie. Aż raz w lecie spełnił się akt miłosny podczas przechadzki zamiejskiej...

Nikita odtąd zamieszkał u Djaka w charakterze — zresztą powszechnym w Rosji całej — męża prawowitego Annuszki, choć nieślubnego. Ale rzekome szczęście minęło aż nadto rychło. Annuszka, nabawiwszy się od męża nieuleczalnej choroby płciowej, poroniła i musiała się udać na kurację do szpitala.

A kiedy powróciła stamtąd po kilku tygodniach — próby wskrzeszenia dawnego życia, okazały się wprost niemożliwością zwłaszcza, że Nikita stracił był właśnie zarobek i poczuwał się w skrytości serca do ciężkiej winy wobec Annuszki. Miłość, oparta wyłącznie na zadowoleniu zmysłowem, pierzchła z chwilą, kiedy ustały pocałunki i pieszczoty, a razem z niemi skończyły się marzenia i nadzieje.

Annuszka pozostawała w ciągłem osamotnieniu. Choroba jej wymagała nieustannej kuracji, to też nieszczęśliwa chodziła regularnie do szpitala, gdzie w oczekiwaniu swojej kolei, w otoczeniu kobiet chorych równie, jak sama, dowiedziała się o właściwej przyczynie cierpień, a dalej o rozpuście wyuzdanej. Opowiadania zaś te cynicznie bezwstydne oddziaływały na nią, niczem mocne wino, spowijając jej myśli w coraz to grubszy brud. Uległa pragnieniu zapomnienia całkowitego o wszystkiem, co minęło, a nie mniej też o teraźniejszości szarej, zwłaszcza, że Nikita unikał jej pilnie i przesiadywał, nawet bez roboty, poza domem po całych dniach.

Zrozpaczona Annuszka za przykładem i pouczeniem sąsiadek rozpustnych, poszukała pocieszenia w swojem nieszczęściu na dnie kieliszka.

— »Nie wiem — zwykła była mawiać jej sąsiadka — jakbym mogła żyć bez wódki? Bez ojca — ot, mogę, — bez matki, mogłabym, ale bez wódki nigdy. Wódka leczy ze wszystkiego, z głodu, z nieszczęścia, — wypij ze mną!...«

Historja cała miała koniec bardzo smutny. Mianowicie sąsiadka sprzedała pijaną Annuszkę bogatemu kupcowi. Kiedy nawpół przytomna Annuszka powróciła do domu, Nikita zbił ją niemiłosiernie, pobitą zdeptał okrutnie nogami, sam zaś poszedł w świat, kędy oczy poniosą:

— »My dzienni wyrobnicy — rzekł mu Djak na odchodnem — pijacy i innego życia nie potrzebujemy. Tyś orzeł — i sam siebie zamęczyłeś i wszystkich zamęczyłeś. Odejdź stąd, a my znowu zaczniemy żyć spokojnie. Annuszce przebaczę — ty nie przebaczysz — i jak sen okropny wspominać będzie ona ten rok życia z tobą«...

Nie inny temat, bo orgjazmu płciowego, jest przedmiotem trzyaktowego dramatu p. n. »*Czużaja*“, w którym gangrena rozpusty, jaka do dna przeżarła duszę i szpik wszystkich bez wyjątku warstw społeczeństwa rosyjskiego, występuje w całej swojej potworności.

Żona pięćdziesięcioletniego Obmienowa, który skutkiem życia wyuzdanego postarzał się przedwcześnie, okazuje się równą swojemu mężowi rozpustnicą. Że jednak ani lata ani uroda nie pozwalają jej na utrzymywanie stosunków miłosnych, szuka tedy zaspokojenia instynktów zmysłowych na innej drodze. Wszelako stępionemi jej zmysłami targnąć są zdolne dzisiaj jedynie wrażenia najgrubsze. Do wywoływania takich osobliwych wrażeń ma posłużyć prosta dziewka wiejska Iryna, której edukację zaczyna pani domu — Nadzieja Jermołajewna — od nauki kankanu. »Ot, grzech — powiada podczas jednej z takich lekcyj — a ty walcz... ze wszech sił walcz. Przyjdzie djabeł i zacznie kusić, a ty nie poddawaj się, pędź słowem, goń rękoma«... moralizuje pozornie.

W Irynie rozpoczyna się faktycznie walka zacięta pomiędzy cnotą a opanowującemi coraz to więcej jej ciało żądzami lubieżnemi. Przecież Iryna pracuje od długiego szeregu lat ciężko, jak jakie pospolite bydlę robocze, podczas gdy koleżanki jej — Pasza i Grusza — żyją w dostatkach, gdyż cnotę dziewczęcą bez najmniejszego żalu umiały spienię-

żyć za dobrą monetę. A czyliż ona potrzebowałaby tak ciężko pracować na kawałek chleba?... Czy cnota da jej co na starość?... Czy powróci siły stracone?.... Dla chlebodawcy swego — pana Obmienowa — nie jest Iryna obojętną, o czem wiadomo jej doskonale. Od pół roku już wynurza się chlebodawca przed nią kryjomie, przedstawiając, jak wygodną przyszłość mogłaby sobie stworzyć, gdyby zechciała tylko... gdyż teraz wszystko zależy od jej postanowienia... Nawet mieszkanie dla niej znalazł o trzech pokojach przy ulicy zacisznej, pomieszkanie urządzone elegancko. Byle tylko zechciała oddać się mu — będzie żyć bez trosk, bez pracy, a wygodnie i dostatnio, będzie własną panią. Mogłaby nawet być szczęśliwa, gdyż Obmienow przyrzekł ożenić się z Iryną po śmierci swojej żony, która przecież jest stara, ba, nawet nie zabrania Irynie mieć innego kochanka obok siebie.

Wszelako w sercu prostaczem Iryny tli jeszcze odrobina zdrowego rozsądku i nieskażonego sumienia, z którem przychodzi do bardzo częstych walk.

— »Dlaczegoż nie chcę, o Boże, dlaczegoż nie chcę? — zapytuje sama siebie. — Odpowiadaj, dlaczego nie chcesz, przeklęta? Dlaczego mnie męczysz, łudzisz, a nie poddajesz się? Niech będzie stary, niechaj będzie rozpustnik, i wstrętny, a tobie co do tego? Odpowiedz, co ci do tego? Dla Paszy i Gruszy nie było to wstrętne, ażeś się ty, królowa, znalazła. Jutro byłabyś panią, w jedwabiu i atłasie chodziła, a wszyscy dokoła popękaliby z zawiści. Sługi trzymałabyś i litowała się nad niemi. Dlaczegoż więc nie chcesz? Przecież tylko bodaj w myślach dopuść, na jedną tylko chwilę dopuść, a będziesz zaraz, jako nowy człowiek. Wprawdzie grzech wstrętny i obrzydliwy grzech, ale przecież raz tylko, jeden raz, a tam już będziesz czystą i wierną. Nie

chcesz? A ot, dzisiaj na przekór tobie, pobiegnę na ulicę. Być może — tam lepiej. Może w rozpuście lepiej? Wszak nie wiesz, a wstrzymujesz, ale poco, dlaczego?«...

Z pomocą tego rodzaju rozumowaniom przychodzi stara rozpustnica Marja, która radaby naraić za pieniądze Irynę jakiemuś młodemu oficerowi:

— »Nie masz zupełnie litości nad sobą, Iryno, nie żal ci duszy swojej, grzesznej duszy, męczącej się napróżno, nie żal ci swego ciała. A lata, Iryno, biegną, biegną i żadne nogi nie dopędzą ich. Ile masz lat? Do trzydziestu. Otóż to właśnie. Trzydzieści lat, Iryno, pomyśl tylko, ile to przepadłych miesięcy, dni?«...

Pomimo to Iryna znajduje w sobie na tyle siły woli, iż bronić się potrafi skutecznie wobec nastawionych na nią sieci, pomimo zwątpień chwilowych. Lecz w jej sercu rwie się wszystko w strzępy. Całe swoje życie wyczekiwała na męża, całe życie snuła marzenia o życiu rodzinnem, o dzieciach. Pracowałaby chętnie, jak najciężej, na utrzymanie domu i rodziny. Tymczasem oczekiwany mąż nie przychodził, wszyscy zaś mężczyźni, wśród których obracała się, byli żądni tylko jej ciała. Ciało jej nie dawało im spokoju. Gdzie tylko była, gdzie służyła, od młodych i od starszych, od biednych i od bogatych nie słyszała nigdy o niczem innem, jak tylko o swojem ciele. Nagabywania te nieustanne tak ją już wyczerpały, że obecnie nie wie, co począć?...

Ba, przychodzą właśnie do niej w odwiedziny Pasza i Grusza. Obydwie wesołe, zadowolone najzupełniej ze swego losu, przechwalające się bezwstydnie kochankami oraz dostatkiem, jakim oni je otoczyli. Tymczasem Iryna musi tak ciężko pracować od rana do nocy... co gorsze — tańczyć kankana nie tylko przed swoją panią, ale nawet w obec-

ności gości. I cóż ma za to wszystko? Chyba tylko tyle, że stary Obmienow narzuca się jej codziennie ze swojemi propozycjami miłosnemi, których nie obwija wcale w bawełnę, owszem ponawia je za każdym razem brutalniej i cyniczniej.

To też w chwili gwałtownego osłabnięcia woli, Iryna postanawia rzucić się w odmęt rozpusty ulicznej. Bo i cóż czeka ją ostatecznie?.. Kochał ją raz młody student, nachodził nieustannie i błagał ze łzami w oczach o wzajemność, wynurzali się jej ze swojemi uczuciami rozmaici ludzie, ale ona pędziła ich precz od siebie. I tak teraz została sama jedna. Na wypadek choroby — nawet pies jej nie odwiedzi, jeśli zapłacze — któż ją pocieszy, kto da dobre słowo w smutku, kto ukoi w żalu? Chyba powiesić się wypadnie, cóż bowiem warto życie takie, w którem niema nic — oprócz udręki bezkresnej?...

W akcie drugim jesteśmy świadkami nocnego życia rozpustnego ulicy wielkomiejskiej. Fragmentaryczne te i niepowiązane ze sobą w pewną organiczną całość sceny, przedstawiają dla nas pewną wartość o tyle, o ile przyczyniają się do oświetlenia psychiki Iryny, która przedstawia się nader mętnie i niejasno Możnaby nawet stąd wysnuwać wnioski co do stanu jej umysłowego, który wykazuje wszelkie cechy, nieodłączne od lekkiego pomieszania na tle wybitnie histerycznem. Iryna bowiem wyszła na ulicę z zamiarem stanowczym oddania się pierwszemu nagabującemu ją mężczyźnie. Rzeczywiście starają się nawiązać z nią stosunki starzy i młodzi, Iryna jednakowoż, wbrew pierwotnemu postanowieniu, ucieka czem prędzej z powrotem do domu, gdzie bez namysłu kończy z rozpaczy samobójstwem przez obwieszenie się.

W postaci Iryny wyobraził Juszkiewicz istotnie typ czysto rosyjski. W duszy bowiem rosyjskiej

brak miejsca na pojęcie walki z grzechem, walki bezwzględnej aż do ostatka tchu. Na to Rosjanin jest za słaby. A zatem: albo ucieczka od grzechu na pustynię odludną, gdzie nie znajdzie żadnych pokus, albo — kończy — również bez walki — samobójstwem. Ileż w takiej zasadzie samounicestwiania się — czystej, nieskażonej mongolszczyzny?!... I czyliż smutnemu końcowi nieszczęsnej dziewczyny winne jest miasto? — jak tego chciałby Juszkiewicz..

W dramacie znowuż p. n. »*Dina Głank*« jest również miasto, — ale jak gdyby gdzieś daleko, na uboczu. Mówi się wprawdzie o niem, lecz bardzo niewiele. Wobec tego czytelnik musi pomagać sobie reminiscencjami tego, co autor dawniej napisał.

Kto zwichnął życie głównej bohaterki utworu — Diny, która handluje ciałem własnej córki, jak byle jakim codziennego użytku towarem i na jej sprzedajnej miłości buduje gmach szczęścia i dobrobytu rodzinnego? Temu znowu winne — podług teorji Juszkiewicza — miasto.. Ale o tem, że Dina jest potworem, pozbawionym nie tylko uczuć macierzyńskich, ale nawet ludzkich — Juszkiewicz nie chce wiedzieć.

I czyliż temat ten, wywlekający na jaw same tylko żądze lubieżności człowieczej, godzien jest naprawdę uwagi? Boć przecież połączoną z nim kwestję społeczną sam autor wyłączył od roztrząsania w założeniu swojego utworu.

Odpowiedź na to pytanie musi wypaść przecząco, gdyż pozostaje najzupełniej poza sferą oddziaływania miasta, głodu i rozpustnej atmosfery płatnej rozkoszy płciowej. A zatem, wobec tego — Dina nie ma sensu. Bo autor skupił całą uwagę wyłącznie na psychologji indywidualnej, podczas gdy właściwym celem jego było wykazanie wpływu wa-

runków bytu społecznego. Toż tu jasne przeciwstawienie celów i środków!...

Sprzeczność jest aż nadto oczywista i jasna dla każdego.

Jakież więc wobec tego należy zająć stanowisko — naturalnie co do Diny?

Czy traktować ją, jako pospolitą przestępczynię, czy jako istotę zwyrodniałą, której jednak przysługuje prawo, abyśmy jej współczuli?...

Tylko w tym brudzie rozpatrzyć się — to trud herkulesowy!... Historja bowiem Diny Głank — to istna kałuża brudu i deprawacji krańcowej, o jaką trudno nawet w mieście miljonowem. Tutaj zaś napotykamy ją w niewielkiem miasteczku prowincjonalnem.

Stara Dina bowiem sprowadza swoją córkę prześliczną Sonię na drogę rozpusty, oddając ją do domu publicznego. I potworna ta matka nie tylko nie czuje sama wyrzutów sumienia, lecz nawet nie chce, czy nie może zrozumieć rozpaczy nieszczęśliwego dziewczęcia:

— »Mamo — wyrzuca jej Sonia — jak możesz patrzyć na mnie, jak możesz siedzieć ze mną przy stole? Ze mną?... Gdybyś była moją córką, wypędziłabym ciebie z domu. Widziałaś mnie tam? Czujesz, jak drżę, kiedy tam siedzę?... Jeszcze drżę!«...

Dina jednakowoż pozostaje głucha na te rozpaczy pełne wyrzekania. Bo i z czego ma utrzymać rodzinę całą, kiedy ojciec już od roku jest bez posady. A żyć przecie trzeba! Przecież — rozumuje — jeżeli ludzie kradną, grabią, zabijają, kłamią — to czynią tak dla podtrzymania swojego bytu. W Dinie zaś pociąg do życia wygodnego i beztroskliwego jest aż nadto silnie rozwinięty, silniej od wszelkich zasad moralnych. Wpływ takiej teorji nie pozostaje bez śladu na Soni, zwłaszcza

kiedy widzi, że matka byłaby gotowa sprzedać także młodszą swoją córkę Ewę, gdyby tego zaszła potrzeba.

Z dziwnym bowiem jakimś, iście wschodnim fatalizmem wierzy Dina upornie, że świat cały ma się coraz więcej ku gorszemu. To też mimo uszu jej przechodzą słowa młodego nauczyciela Bojma o zbliżającem się odrodzeniu ludzkości, jak niemniej marzenia fantastyczne Bera o tem, że niebawem wszyscy, którzy kradną, przestaną kraść, którzy krzyczą, przestaną krzyczeć, a płaczący — płakać zaniechają... Dla Diny wszelako, pragnącej jedynie życia wygodnego, człowiek przedstawia się tylko w postaci zwierzęcia. Istotnie — zwierzęcość starej Diny jest wprost potworna. Odebrała córce wstyd dziewiczy, odebrała jej zakochanego Arna, odkrywając przed nim bezwstydnie całą prawdę, a teraz, kiedy Sonia ma zostać sama matką, stara się pogrążyć ją w bezdeń rozpusty. Ba, teraz już nawet młodziutką Ewę zamierza wymienić na brzęczącą monetę, byle za nią uzyskać dla siebie w domu ciszę, spokój i dostatek. Nawet przed mężem nie chce ukrywać prawdy haniebnej...

Tymczasem przychodzi na świat dziecko Soni, stojące na przeszkodzie dalszemu jej zarobkowaniu. Postanawia tedy Dina pozbyć się go jak najprędzej z domu. Dobrobyt bowiem stawia wyżej od uczciwości, na którą — podług niej — nawet splunąć nie warto. Oddaje tedy niemowlę na wychowanie znanej w całem mieście fabrykantce aniołków — pomimo gwałtownych protestów ze strony i tak już nieszczęsnej córki:

— »Ot, nastaje wiosna — mówi uspokajająco stara Dina — wszystko rozkwitnie, wszystko rozśpiewa się... Ozdobimy nasze pokoje... Jak to pięknie będzie? Ty jeszcze ciągle płaczesz? Jeszcze! No,

popłacz, popłacz!... Twoje łzy przysięgają mnie: wypłyniemy!«...

Ale dopiero w »*Głodzie*« okazał się Juszkiewicz sobą.

Oto on — Głód, główny bohater dramatu:

— Buciki jego podkute. Cienki jak kosa. Twarz ma zwierzęcą... Idzie i zębami wyrywa mięso z ludzi.. z krwią... Gęba jego zakrwawiona«...

Przed nami proletarjat żydowski. Ale nie ten ciemny i uległy. To proletarjat rzekomo »uświadomiony«. Pod wpływem wypadków lat ostatnich ta ciemna masa drgnęła, zakołysała się. Inne ideały zaczynają świtać w jej głowach. Agitacja rewolucyjna dotarła już tutaj i, jak u każdego narodu wschodniego, nie umiejącego patrzeć okiem krytycznem, lecz przyjmującego każdą teorję ślepo, na wiarę, sprawiła zamęt w mózgach. Ten proletarjat wydziedziczony dowiaduje się nagle i niespodzianie, że na świecie powinna być równość bezwzględna, że każdy ma być dla drugiego bratem, że wolność niema być czemkolwiekbądź ograniczona...

Rozkołysała się ta masa, bo jej wydarto z serca to, co Sawwa Andriejewa uważał za główną przeszkodę do szerzenia agitacji rewolucyjnej. Tej masie wydarto wiarę w Boga! Ów groźny biblijny Jehowa nie istnieje dla niej. stracił zupełnie wartość w jej oczach. Tylko stare pokolenie trzyma się jeszcze przykazań mojżeszowych Ale młodzież odrzuciła od siebie na bok dotychczasowe podstawy życia, jako dla niej niewygodne. Wszak dawały za mało!...

Bo i czegoż to nie obiecywali nowocześni prorocy?... Czyliż o takich obietnicach śniło się kiedykolwiek biblijnym?...

Przyrzekali wolność, jakiej świat od początku swego nigdy nie oglądał i oglądać nie może, bo jest ona niemożliwa do stworzenia.

— Proletarjusze wszystkich narodów, łączcie się! — padło hasło. I zaczęto się łączyć, nie pytając »towarzysza«, kto jest jego ojcem, lub kto jego Bogiem?

— Dlatego, że jest źle, powiedzcie sobie: Nocy wiekowej nadchodzi kres! Zapory ustępują. Drzwi żelazne trzeszczą. My je rozwalimy!

Tak przynajmniej głosi Gabaj, przedstawiciel nowych prądów w żydostwie.

Ale i jakiż on żyd?.. godzi się zapytać. Toć to przedewszystkiem »c z ł o w i e k«, bo — podług niego — człowiekiem staje się tylko ten, kto przysięgnie na przykazania rewolucyjne. Gabaj nie lubi mówić, jak wogóle u żydów to w zwyczaju, o swojem pochodzeniu. Nie należy do żadnej narodowości, bo... należy do całej ludzkości. Nie chce być posłusznym nauce przodków swoich, gdyż sam »wyda nowe przykazania, które będą wypełniane przez wszystkich«... Nienawistna dlań pokora, w której widzi główną przyczynę zła, przyczynę gnębienia żydostwa przez świat cały:

— »Ściany, przeklęte, cierpliwe, przeklęte, głuche ściany... Lękliwi, ślepi i ciemni płaczą, tylko my powstajem, obaczcie, powstajem!« — prorokuje z emfazą.

— »My« — to naród, »naród-pan«, który jest powołany do stworzenia nowego życia na gruzach dawnego, grzesznego świata, który trzeba do cna zniszczyć, ba, fundamenty jego nawet rozburzyć bez litości:

— »Litość dla ciemiężycieli — wykrzykuje — dla serc granitowych? Sprzątnijcie ich — i to będzie waszem miłosierdziem, spalcie ich! — i to będzie waszem dobrem«...

Skoro tak uczy Gabaj, nie dziw, że odrzucił naukę Mojżesza wraz z dziesięciorgiem przykazań

Gabaj zresztą nie cofnie się przed niczem. Jemu nie żal ani siebie samego, ani tem mniej towarzyszy:

— »I jeśli się ma krew polać, to cóż znaczy mały jej potok wobec jej mórz?«... rozumuje sofistycznie.

— »Przekleństwo miłosierdziu, przekleństwo litości!... Przyszła ludzkość zrozumie nas...«

Jedyną żądzą, jaka rozgorzała w Gabaju, to zniszczenie powszechne, powszechny rozgrom dotychczasowego ustroju społecznego i państwowego:

— »Żyję jednem, jednem dyszę: trzeba zburzyć wszystko!... Widzę prześliczny, nowy dzień. I serce moje rozpiera dzika a burzliwa radość... Lecz — dodaje — czas iść do boju, gdyż, dopóki wróg nie pobity, nie można o tem myśleć...«

Mało kto jednakowoż przysięgał na ewangelję rewolucyjną. Do tych więc tchórzów odzywa się z pogardą nietajoną:

— »Boicie się? Cóż wy za ludzie?... Wstańmy przeciwko naszym ciemiężcom! Rozgniewajmy się na nich, a uciekną od gniewu naszego, od naszej siły... Wysypmy się na ulice, na place, stańmy pod ich oknami z groźbą. Pójdziemy tam i powiemy głośno, czego chcemy, a otrzymamy. Raz jeszcze — rozgniewajmy się! Jeszcze raz! Powstańmy!...«

Haseł takich setki zawierały proklamacje rewolucyjne, ale hasła te okazały się zwodniczemi i jak jeszcze zwodniczemi!...

Przemówienia Gabaja rozpalają młodociane serce Miry, która »w tej chwili dałaby się zamęczyć na śmierć, gdyby wiedziała, że nastanie świt i sprawiedliwość, tylko, żeby te wszystkie domy zniknęły«... I — właściwe to niedoświadczonemu wiekowi — »pragnie zdziałać coś niecodziennego, chce wszystkich oswobodzić ofiarą z siebie samej.«

— »Zgadzam się, lecz w tej chwili! Tylko, żeby nie czekać, nie zwłóczyć! Prowadź mnie! pokaż mnie!...«

Nie potrzeba chyba wielkiej domyślności, żeby wyrozumieć, o co tu chodzi, o jakie poświęcenie? Mira porzuca nawet swojego narzeczonego, żeby móc oddać się wyłącznie i jedynie planom i zamysłom Gabaja:

— Ot, ziemia zła. Stoję na niej i widzę ziemię prześliczną. Chcę do niej pójść. I jak dostać się do niej? »Przez most, przez most«... powiada do swego byłego narzeczonego Symchy. Tym mostem jest w jej oczach Gabaj.

A siostra jej Nachame, żona robotnika Miny, umie już tylko przeklinać:

— »Przeklinam ich! Wszystkich, siedzących w cieple i sytych przeklinam! Przeklinam władzę! Przeklinam tych zimnych, zadowolonych, co siedzą na naszych plecach!... Oby jedzący zadławił się! Oby bogaty umarł na tem miejscu, na którem stoi, leży, lub po którem chodzi!...«

Że zaś na domiar złego straciła całkiem wiarę w Boga mojżeszowego, to też bluźni Mu straszliwie:

— »Jakżeż ty możesz żądać — woła nieszczęsna — życia sprawiedliwego, spokoju, błogosławieństwa dzieł swoich? Tyś oszust nieszczęsny. Sto razy wrzuć mnie w swoje piekło, a dusza moja nie podda się!«...

Takimi przedstawiają się wszyscy bez wyjątku bohaterowie ideowi dramatu Juszkiewicza. Ich hasłem — negacja życia...

Dla tem wydatniejszej charakterystyki poglądów tego pisarza nie od rzeczy będzie wspomnieć o jednej z jego nowelek (rozpatrywanie wszystkich byłoby próżną stratą czasu i miejsca) p. t. »*Trzy cmentarze*«, drukowanej w »*Żurnalie dla wsiech*«. W no-

weli tej zostali przedstawieni bohaterowie współczesnego Izraela jako ofiary niewinne Chrześcijan-Kanibalów, dla których sam widok piękności duszy, żydowskiej staje się powodem morderstw masowych. Oto, gdzie powinien zły i zepsuty świat chrześcijański szukać zbawienia!...

* *
*

A kiedy mówiło się już tyle o Juszkiewiczu niepodobna nie zwrócić ostatecznie uwagi na fakt, uderzający rażącą analogicznością.

Jeżeli bowiem przejdziemy myślą do lat skrajnej reakcji, jaka rozpostarła czarne swoje skrzydła nad całem ogromnem imperjum rosyjskiem w ósmym dziesiątku lat XIX wieku, przekonywamy się łacnie, że wówczas Rosja rewolucyjna, zgnębiona szeregiem niepowodzeń oraz reakcją skrajną, odsunęła się zupełnie od zagadnień socjalnych, nasuwających się z wielką nawet mocą i poszła szukać zapomnienia w nauce, głoszonej przez Wł. Sołowjewa i Tołstoja. Łudzono się abstrakcjami, do których pojęcia należytego nie był przygotowany umysł rosyjski.

A dzisiaj? Najradykalniejsze masy społeczeństwa rosyjskiego, wytrzeźwione z mrzonek niezniszczalnych, jakkolwiek tak niedawno jeszcze nie miały cienia wątpliwości ani przez chwilę w niezawodne ich urzeczywistnienie, straciły zupełnie z przed oczu ideały społeczne.

I — jak słusznie wyraził się Miereżkowskij — współczesne społeczeństwo rosyjskie, z koryfeuszami literatury na czele przeniosło ponad wszelkie ideały społeczno-polityczne, »sytość umiarkowaną. spokojne zadowolenie ludzkości całej w pełnych komfortu pałacach z aluminjum«, co wszystko »na wieży babilońskiej socjalnej demokracji nie jest niczem innem,

jak tylko państwem Czyczykowa, wszechświatowego wiecznego Czyczykowa *sub specie aeternitatis...«*

Jakżeż to ogromny przeskok od polityki pseudowolnościowej do skrajnego seksualizmu!...

II.
Skitalec.

W polie bies nas wodit widno... zauważył słusznie murzyńsko-rosyjski zmysł obserwacyjny Puszkina.

Bo i dokądże zamierzyli poprowadzić miljony spragnionych nowych świtów, brzasków dnia pogodnego po długich dniach pomroki niewoli owi rozmaici trybunowie ludu, których pieśń miała być dla miljonów skrzywdzonych, dla konających z nędzy moralnej i materjalnej, dla t. zw. wreszcie »byłych ludzi« *(bywszyj czełowiek)* napojem życiodajnym?... Czy wiedzieli, dokąd iść można, czego się domagać, jakiemi środkami posługiwać się w walce?... Czy dalej w usiłowaniach tych kierowała nimi siła duchowa, moralna, a nie siła, jaką przeciwstawiono tej rzeszy nieszczęsnej z drugiej strony?... Oto pytanie, o tyle fatalniejsze, ile że trzeba na nie dać odpowiedź z trudem cisnącą się przez usta...

Wydano hasło bardzo stare, bo czasy Piotra I pamiętające: »*W pieriod!*«... jakkolwiek dla aranżerów całej tragedji pokonstytucyjnej nie mogło ulegać najlżejszej wątpliwości, na jaką zaporę natknąć musiały rozjuszone, niezdolne powodować się tłumy, których cała siła leżała w przemocy i zbrodni!... Doktryna ta zacieśniła umysł Skitalca okowami żelaznemi tak dalece, że, jak sam wyznaje w jednym ze swoich wierszy, — potrzeba mu bodaj promienia światła, któryby rozproszył mroki, w jakie popadła dusza poety. Życie bowiem poznał już dawno, ale jakżeż jednostronnie, skoro może wyrzekać: »Wszystkie twoje prawdy krwawemi pręgami los wypisał

na ciele mojem, nakreślił w duszy wierszami gorejącemi — łez i rozpaczy, krwi i ognia«... Jak gdyby obowiązkiem życia było słać pod nogi poety kobierce miękkie miasto cierni i kolców ostrych! Wynikła stąd jednostronność poglądu na świat musiała sprawić w rezultacie, że Skitalec stał się niewrażliwym na wszystko i widzi przed sobą i dokoła siebie jedynie »potoki łez i krwi«... Co gorsza — widnokrąg zacieśnił sam sobie dobrowolnie, oddawszy pióro swoje na usługi apoteozowania onych smutnych wypadków i zmarnowanych porywów, w jakie przebogatą okazała się pseudorewolucja rosyjska w okresie pokonstytucyjnym. A gdy wszystko, co nie zgadzało się z jego zasadami, poczytywał za ostatniorzędną »*mierzost'*«, godną tylko oplucia, więc dziwić się niepodobna, że sam Skitalec pośliznął się na własnych plwocinach.

Zbytecznem byłoby rozpatrywanie całej dotychczasowej twórczości Skitalca, wszystkie bowiem jego utwory dadzą się podciągnąć pod jeden wspólny mianownik. Ta okoliczność spowodowała nas do zajęcia się jedynie najbardziej typowemi i zasadniczemi problemami, wysuniętemi na czoło jego obrazków.

Jeden z najwcześniejszych szkiców — p. t. »*Lies rozgorałsia*« (»Las zapalił się«) — ma za przedmiot agitację anarchistyczną na podkładzie agrarnym.

Nad brzegiem Wołgi, na stoku góry, wśród bezbrzeżnego stepu, rozsiadła się wioska niewielka, Bujan, szara, uboga, gdyż mieszkańcy jej mają nie tylko mało ziemi uprawnej, ale, na domiar złego, ziemia wydaje plony bardzo liche, tak że ludzie musieliby poginąć z głodu, gdyby nie ratował ich zarobek, jaki mieli z dźwigania towarów do parowców, żeglujących po rzece, oraz z zajęcia przy niedalekich kamieniołomach. Ciężka to była praca

i niebezpieczna: rok rocznie kamieniołomy przyprawiały kilka osób o śmierć lub o ciężkie kalectwo. Skoro tedy życie chłopów wisiało ciągle na włosku, temperamenty ich sformowały się skrajnie gwałtowne, do czego przyczyniało się wielce nałogowe pijaństwo, które pochłaniało niemal cały zarobek włościan.

W dali majaczyło wielkie miasto, za dnia błyszczało w słońcu złotemi kopułami cerkwi, w nocy gorejące tysiącami światełek, jak gdyby wielooki potwór patrzył na wsi nadwołżańskie i wyciągał w ich stronę długie, płomieniste nici. Cały zaś nieboskłon gorzał w nocy łuną pożarów leśnych.

Nauczyciel szkółki wiejskiej w Bujanie, wykluczony ongiś z seminarjum duchownego, Diwnogorskij, czuł się wcale nieswojo na posadzie, zwłaszcza że prawie obcą była dlań dusza chłopska. Jedynym chłopem, z którym utrzymywał stosunki, był młody parobczak Miron. Stały się one tem ściślejsze, ile że nauczyciel zaczął pożyczać mu wydawnictwa nielegalne w postaci tanich broszurek rewolucyjnych. Siłą konieczności rozmowy tych dwu ludzi musiały obracać się przedewszystkiem około ważniejszych wydarzeń okolicy najbliższej. Dowiedział się tedy nauczyciel, że nieustanne podpalania lasów rządowych są dziełem włościan i że nawet straż ziemska przestała myśleć o ich gaszeniu, gdyż rezultat jej usiłowań był taki, iż skoro w jednem miejscu stłumiono ogień, tegoż samego dnia jeszcze wybuchał on w innych rewirach. »Czyliż można dokazać czego wbrew ludowi? — zapytuje Miron. — Wszystko zgorzeje...«

Słowa powyższe młodego parobczaka nie były bynajmniej czczą przechwałką, bo oto we wsi sąsiedniej chłopi przestali płacić obywatelowi czynsz dzierżawny za pole, obniżając tenutę z jedenastu na

pięć rubli za dziesięcinę, gdzieindziej zaś i tego nawet zapłacić nie chcą, żądając oddania im roli na własność, boć — powiadają — »ona nasza, chłopska«... Kiedy zaś Miron mówił o roli, w oczach błyszczał mu blask złowrogi, z którego przebijało się pragnienie nieokiełzane otrzymania gruntu za darmo, czyli — wyrażając się właściwie — pożądanie cudzej własności najpospolitsze!...

Zresztą Miron teorję anarchizmu wypróbował był praktycznie. Razu jednego, kiedy pracował jako tragarz, robotnicy, zajęci ładowaniem zboża na okręty, zażądali od pracodawcy podwyżki płacy z czterech na dziesięć rubli, a kiedy on na ich żądanie się nie zgodził, zastrejkowali. Kupiec sprowadził robotników z dalszych stron, ale i ci przyłączyli się do bezrobocia. Wobec tego zgodził się na podwyżkę. Sukces taki rozbudził apetyty robotników, którzy niebawem ponowili strejk, domagając się podwyżki do wysokości dwudziestu rubli. Kiedy zaś kupiec zaczął straszyć strejkujących kozakami, Miron wypalił doń taką mowę, że chlebodawca o mało nie omdlał. Albo, ot, w ubiegłą niedzielę jak skonfundował popa w cerkwi!... Bo kiedy pop zaczął mówić o buntach, ojciec Mirona, a za jego przykładem wszyscy obecni na nabożeństwie wszczęli taki hałas, że pop ze strachu przerwał nabożeństwo i uciekł.

Nawrócony przez takiego to agitatora na wiarę anarchistyczną, nauczyciel bierze tegoż jeszcze dnia udział w wieczornem zgromadzeniu włościańskiem, które miało odbyć sąd nad agronomem miejscowym. Oskarżycielem był nie kto inny, jak Miron:

— »Przez lat piętnaście szeptałeś każdemu z nas na osobności — mówił — a niektórym prawie od maleńkości: powstańcie, a my — spali, chodzili w mrokach, baliśmy się, jak dzieci maleńkie. Mówiąc prawdę — wówczas mało rozumieliśmy ciebie. Ale

mimoto myśleliśmy: jeżeli nadejdzie ten czas, to już nikt, tylko on pójdzie na czele... Cierpieliśmy i ojcowie nasi cierpieli i dziadkowie i pradziady cierpieli... Setki lat cierpieliśmy...

A kiedyśmy pytali: gdzie prawda? — nas uspokajali, siekli, sadzali do więzień i my znowu cierpieli. Końca nie było naszym cierpieniom...

Niech będzie przeklęte — cierpienie chłopskie! Łzami krwawemi polewaliśmy tę oto kamienistą ziemię, kośćmi swojemi użyźniali ją. I — cierpieli... Nareszcie nadszedł kres naszego cierpienia... przyszliśmy do ciebie i powiedzieli: Prowadź nas, wskazuj, co czynić; zgadzamy się! A coś ty nam odrzekł? Pierwszyś się przeląkł! Nie prowadzisz nas i nie odchodzisz precz, a nawet — przeszkadzasz nam! Dlaczegóż tyle lat nam mówiłeś, kiedy słów swoich nie możesz stwierdzić czynem? Przypomnij sobie, jak przepowiadałeś nam prawdę i uczyłeś, jak trzeba walczyć o nią, poświęcać wszystko, co się tylko posiada, opuścić wszystko, co drogie dla serca, żonę, ojca i matkę i — iść. A gdy nam otworzyły się oczy — przypomnij sobie, czy łatwo nam było wypełniać twoje żądania? Po nocach chodziliśmy do ciebie, a żony nasze nie wiedziały, dokąd chodzimy, dopytywały się, urządzały sceny zazdrości, płakały... Oh! Nieraz się serce kraje, gdy — bywało — powrócisz do domu o świcie, a żona siedzi na przyzbie i ciągle czeka i ciągle płacze i nie pojmuje niczego! A jak zacznie prosić, żeby powiedzieć, kto jest uwodzicielką, i głową o ziemię tłuc i omdlewać — to i świata bożego nie zobaczysz! Swoją żonę wtedy z pod powały z pętlicy zdjąłem i rok cały ona biedna niespełna zmysłów była — ot, do czego dochodziło!... A opowiedzieć, wyznać prawdę, niepodobieństwem było: straszliwą przysięgę wziąłeś od nas, uczyłeś nas

święcie dochowywać tajemnicy! I dochowaliśmy. A starzy wojowali z nami z powodu Boga, z powodu cerkwi, z powodu postów!... Co to się działo w rodzinach, co za Sodoma! co za swary! Ale dla nas twoje mowy były nową wiarą, za którą wszyscy radośnie gotowiśmy byli cierpieć!«...

Ale teraz dawny prorok stracił znaczenie dla chłopów, bo oni chcą wystąpić z otwartym buntem, on zaś sprzeciwia się takiemu zamiarowi:

— »Jakżeż wy powstajecie? — stara się zapały ostudzić biedny agronom. — Gromadą! Podpalacie las, jawnie zagrabiacie ziemię, zamierzacie urządzić pogrom obywateli! Nie żal mi lasu i nie żal obywateli, żal mi was! Was rozgromią kozacy, rozbiją, wpakują do więzienia! Przepadnie praca moja, przepadnie wszystko, nad czem pracowałem piętnaście lat! Jeżeli za to wypędzacie mnie, to otwarcie zapowiadam wam: tak, nie pójdę na waszem czele, będę was wstrzymywał na tej drodze do tego czasu, dopóki zwycięstwo nie będzie zapewnione. Błagam was, poczekajcie! gotówcie się potrosze, po cichu, nie porywajcie się do otwartej walki... Bałem się całe życie, całe życie drżałem, całe życie maskowałem się i mówiłem szeptem — i teraz nie mogę inaczej i nie wierzę jeszcze, że nastała pora głośnego odzewu!... Być może, przyjdzie godzina, w której zdecyduję się i dowiodę śmiercią swoją, że śmierci się nie bałem!... Posłuchajcie mnie, jak słuchaliście dawniej, nie wystawiajcie się na strzały, chrońcie się, wy — inteligencja chłopska, was mało! was pobiją swoi, ciemni, nieuświadomieni współplemieńcy«...

Wszelako rozsądne słowa agronoma okazały się próżnemi wobec rozgorzałych instynktów zemsty, jakiemi owładnięty był cały bez wyjątku tłum zbuntowanego chłopstwa. Instynkty te najbardziej poziome ze wszystkich poziomych podsycał widok,

jaki przedstawiał się ze stoku górskiego: Słońce zagasło kędyś za górami, cienie pokrywały coraz gęstszemi strugami ziemię. Na firmamencie zamigotały gwiazd miljardy, a nad obszarem lasów rozbłysła krwawa łuna ogromnego pożaru. Zdawało się, jak gdyby za grzbietem czarnych gór rozlało się ognisto-krwawe morze, przelewające się coraz to bliżej i bliżej. Łuna ogromnego pożaru ogarnęła kurhan od stóp aż do wierzchołka fantastycznemi błyskami, rozdrażniającemi czarny tłum chłopów, których serca wrzały ogniem nienawiści bezkresnej i żądzą zemsty straszliwej.

A w dali widoczny był coraz wyraźniej szybko cwałujący oddział konnicy zbrojnej. W powietrzu, przesyconem dymem, czuć było zapach bitwy...

»*Ogarki*« znowuż — to nowa formacja bosiactwa literackiego. I — kto wie — czy, gdyby Skitalec nie był nabawił się od Gorkiego manji wielkości, Rosja nie byłaby miała z czasem w nim drugiego Lewitowa, drugiego rosyjskiego Dickensa?...

Owa *mania grandiosa* przenika nie tylko samego autora. Przeszła ona w znacznej mierze na bohaterów jego utworów.

W »*Ogarkach*« akcja rozgrywa się również nad Wołgą, w pamiętnym roku cholery. Powietrze wokół zarażone śmiercią. Miasto, w którem mieszkają i działają bohaterowie powieści, ma typowo-nadwołżański wygląd. Wszyscy żyją z obawą w sercach przed grożącą śmiercią. Ulicznych krzyków i przekleństw nie słychać, jak zazwyczaj. Miasto — jak gdyby całe otrzeźwiało...

Tegoż to czasu żyli tam wesoło młodzieńcy, których ogół zwykł był nazywać »ogarkami«. Zespolili się w »bractwo«, liczące około dziesięciu osób. Charakterystyczne były wszystkie te indywidua. Przywódca ich Ilja Tołstyj był »wypędzony ze wszyst-

kich uniwersytetów rosyjskich«; najlepszy przyjaciel jego Saszka — z Akademji piotrowskiej w Moskwie; trzeci, przezwany »Nowogrodcem«, był też wydalony ze wszystkich wyższych zakładów naukowych; czwarty, śpiewak chóru cerkiewnego Siewierowostokow — z szóstej klasy seminarjum; piąty, ślusarz Michelson — został wysłany z Petersburga za nieprawomyślność polityczną; szósty, Piskra, był dezerterem austryjackim... Słowem — towarzystwo znakomicie dobrane.

Mieszkała ta zacna kompanja u litościwej baby Pawlichy i żyła szumnie, krzykliwie, wesoło, ale bezpiecznie. Wszyscy byli jako ptacy niebiescy... Pili homerycznie, ale też śmiać się potrafili homerycznie. To też nie zwracali najmniejszej uwagi na grasującą tuż obok nich cholerę, która zabierała codziennie setki ludzi i siała wokół przestrach wielkooki:

— Ogarki wy nieszczęsne! — mawiała poczciwa baba Pawlicha, kiwając smutnie głową — kiedyż przestaniecie chlać tę przeklętą wódkę?...

A im śmiech tylko był w głowie obok troski, skąd wydostać pieniądze na świeżą butelkę wódki? Takiem życiem żyli dzień po dniu. Rozmaitości mieli mało. Chyba wówczas, gdy który z nich wydostał pieniądze za przepisywanie, odrabianie zadań gimnazjastom lub rozwiązywanie zadań egzaminacyjnych, kompanja zrywała ze zwyczajem i poszedłszy na brzeg Wołgi, piła, śmiała się i śpiewała tak hucznie, że głosy jej można było słyszeć na drugim brzegu rzeki. Następnego dnia znowu szarzyzna życia...

Takie jest ogólne tło powieści. A teraz dajmy głos samymże bohaterom:

— »My, ogarki, dzieci biedaków, djaków, majstrów, chłopów, kucharek, *czort woźmi!* Cynizm zasad naszego istnienia bez spodni *(gołosztannago)*

ignoruje całkowicie wszystkie teorje abstrakcyjne tak, jak teorja nas ignoruje! Ale w żyłach naszych płynie krew narodu, zdrowa krew ludu robotniczego! Życie wypędziło nas, lecz nie zginiemy! Czas wykaże wartość każdego z nas!... Z dołu wspinamy się na sam szczyt fali!... Znajdziemy pole dla siebie, podniesiemy nasz sztandar i będziemy go trzymać odważnie!«... »Z głębiny życia narodowego — mówi na innem miejscu literat Niebezizwiestnyj — wstają fala za falą, świeże, przebudzone siły i już niedaleki ten czas, w którym te siły ożywią więdnące życie, staną się jego panami i hucznie rozbrzmi ich głos. Już idą... Przyjdą ogarki i wypędzą trutni precz z życia!...«

Tak przedstawia Skitalec »świeżą, zdrową krew narodu!«... Krew ta ma ożywić słabnące życie społeczeństwa. Ożywienie to rozumie Skitalec na, swój sposób:

— »Po kilku latach, gdy przyszła wielka rewolucja rosyjska, ogarki wypełnili swoje przyrzeczenie. Rozwinęli sztandar, trzymali go silnie i znaleźli dla siebie pole«...

Że jednakowoż owo pole zczerwieniło się krwią, o tem wyraźnie mówi Skitalec w jednym ze swoich liryków, co są nakształt nagrobków ruchu rewolucyjnego:

— »Rodzinny kraju mój — pod mrokiem ulewy zaniemógłszy — wzywasz ku sobie synów swoich i czekasz na ich czyny wielkie... Ale, jakżeż rozpaczny ich los, twoich orląt, twoich bojowników! Za wolność twoją, ojczyzno, w walce nadziejnej lała się buntowników krew! Tak wielu było szermierzy twoich i wielka była ich siła i wielka była miłość! Ich teraz niema, mój kraju, ich niema, odważnych i władnych. I ty — pełen znużenia i nad tobą burze

zawisły. Ach, niema proroków i wodzów! Z nich jedni w zaszczytnym boju złożyli głowy swe, drudzy pierścieniem kajdanów teraz zakuci w ciemnicy«...

A jednak!... Pomimo niewątpliwego ciążenia Skitalca ku pseudo-rewolucji, nie potrafił ukryć przed wzrokiem baczniejszego czytelnika tych plam, jakie ciążyły na bohaterach krwawego dramatu, co rozegrał się w pierwszych latach ery konstytucyjnej w Rosji. Niejednokrotnie mieliśmy już sposobność zauważyć fakt nader smutne rzucający światło na prowodyrów i działaczki rewolucyjne, ten mianowicie, że głównym motywem ich czynów, zdeterminowanych nieraz w najwyższym stopniu, było rozpasanie instynktów płciowych, że graniem na strunach instynktów czysto zwierzęcych kaptowano sobie zwolenników i zwolenniczki. Na takiem to tle osnuł Skitalec opowiadanie p. t. »*Duet*«, najbardziej charakterystyczne z drobnych jego utworów.

Rzecz dzieje się w salonie niewielkiego, ale wygodnego i eleganckiego mieszkania, gdzie przy fortepianie poznajemy młodą kobietę o głowie Meduzy Nienawidzi ona męża zapamiętale do tego stopnia, że wprost patrzeć na niego jest dla niej wstrętnem. Poobiednie jego chrapanie doprowadza ją do szaleństwa, tak, że nieraz chciałaby schwycić poduszkę i udusić nią śpiącego. Żeby się z nim nie widzieć, wychodzi wcześnie rano z domu i powraca dopiero wtedy, gdy mąż oddali się do biura. Przed obiadem wychodzi również i pojawia się w domu, kiedy mąż uda się do klubu. Tak żyją oni w jednem mieszkaniu, troszcząc się jedynie o to, ażeby widywać się z sobą jak najrzadziej.

A przecież siedm lat temu uciekła ona pokryjomu z domu rodzicielskiego i wyszła za mąż za niego wbrew woli ojcowskiej!

Czy kochała go wtedy? Nie, i wtedy go nie kochała. Wierzyła tylko w niego, spodziewając się, że on zaprowadzi ją do jakiegoś nowego świata, do nowego życia. Przecież wówczas był on »bohaterem«, który powrócił z wygnania sybirskiego, gdzie długie lata cierpiał za ideę. Zaproponował jej »małżeństwo fikcyjne«. Zgodziła się na to, gdyż wiedziała, że w sferach konspiracyjnych tego rodzaju śluby papierowe nie należą do rzadkości. A potem doszło do tego, że »małżeństwo fikcyjne« stało się faktycznem. Zaczęli żyć życiem powszedniem. Ona czekała ciągle chwili, w której zacznie się życie, pełne niebezpieczeństw, o jakiem roiła. Jej imię powinno było zabłysnąć w szeregu bojowników o wolność, ona zaś sama zyskać sławę i cześć. Mijał rok po roku, a jednak w życiu jej nie zaszła żadna zmiana. I teraz dopiero spostrzegła przemianę, jaka dokonała się z jej mężem, który poza kartami i pijatyką nic nie widział. Chętnie byłaby uciekła od męża. Ale dokąd uciekać? Niema przecież »bohatera«, za którym mogłaby pójść!... Cóż pocznie sama jedna? Jest wprawdzie muzykalna i ma niezły głos... Mogłaby więc wstąpić do teatru. A jednak jakiś głos wewnętrzny mówi jej, że na scenie będzie ona siłą drugorzędną.

Rozmyślania te przerwało przybycie gości. Rozmowa potoczyła się gładko na temat koncertu na cele dobroczynne, w którym miała wziąć udział pani domu, wyrzekająca na opieszałość komitetu, gdyż dotąd nie przysłał do niej tenora, z którym miała wystąpić w duecie. W tej chwili właśnie przybywa jakiś robotnik, a był nim właśnie ów oczekiwany tenor. Próba wypadła nadspodziewanie dobrze.

Po odejściu gości młoda kobieta siedziała długo bez ruchu, bez myśli. Było już późno w nocy, gdy

z zadumy ocknął ją głos dzwonka, po którym domyśliła się powrotu męża. Czem prędzej uciekła do swego pokoju, gdzie po chwili pojawił się pijany, ciężko sapiący mężczyzna. Czas pewien panowało obustronne milczenie, przerwane nareszcie wyrzekaniami męża, który, choć podpity, mówił wcale do rzeczy, jak gdyby przerażająca go rozpacz — sprawiła w umyśle jego wytrzeźwienie z nadmiaru wypitych trunków. Zaczęły się wzajemne wyrzuty:

— »Ale kto winien mojemu upadkowi — zapytuje mąż, dowiedziawszy się o tem, że żona postanowiła go opuścić — kto winien temu, że zatchnąłem się, zmęczył, zgłupiał, stał się na wszystko, jak powiadasz, obojętny?«...

Przecież był czas, kiedy pracował za dziesięciu!... Przecież — wie doskonale, że nie był nigdy bohaterem. Kiedy jednak był młody i gdy zerwała się burza i gdy wszyscy szumieli, wtedy szumiał też on, aż znalazł się na wygnaniu. Powrócili stamtąd cichszymi od wody... nie wszyscy, co prawda, ale i nie wszyscy powrócili... On zaś, narówni z innymi, stracił wiarę w powodzenie usiłowań rewolucyjnych.

Kiedy zaś na to odpowiada mu żona, że przestała go kochać, gdyż potrzeba jej człowieka silnego, któryby nie upadł na duchu, lecz prowadził dalej walkę z dotychczasowym ustrojem państwowo-społecznym, mąż wypomina jej słusznie chwilę, kiedy zaproponowano jej wzięcie udziału w pracy konspiracyjnej, ona zaś przelękła się i nie chciała uczynić ofiary z siebie. Niech inni lecą w ogień i w wodę dla idei, ona zaś potrzebuje tylko pięknej pozy! Chciałaby odegrać rolę bohaterki, ale w ten sposób tylko, aby to wszyscy widzieli! Przecież nie żyła nigdy sercem, nie odczuwała cierpień tysiącznych mas, a kochać potrafi tylko tych, którzy są jej po-

trzebni i tylko dopóty, dopóki są potrzebni! Przecież ona nie może nikogo ani nic kochać, oprócz siebie samej! Zawsze marzyła jedynie o tem, iżby przyczepić się do jakiegokolwiek człowieka sławnego i z nim razem odgrywać rolę wybitniejszą, a następnie obrabować go z jego zasług i przywłaszczyć sobie należne mu laury... Dusza jej bowiem jest bezpłodna, jak pustynia arabska, w sercu zaś trwa nieprzerwanie noc bezgwiezdna. Jeżeli tedy nienawidzi ludzi, to dlatego, że czuje swoją wobec nich marność. Jest ona, jak bluszcz, jak orchidea, jak wszelkiego rodzaju pasożyt, — bo może tylko kraść cudzą własność, wysysać życie z innych. Wszystko za dotknięciem jej ręki ginie i umiera. A jeśli nad nią zawisło przekleństwo, to winni temu nie ludzie, nie życie, nie los, — tylko ona sama! Wszakżeż ona nie zrobiła ofiary najmniejszej dla nikogo, a natomiast żądała jej od ludzi dla swojej korzyści. To też, kiedy mąż dał jej z siebie wszystko, co było możliwe do oddania, stał się niepotrzebnym, jak stary koń!...

Kiedy zaś ona wyraziła brutalnie swoją pogardę mężowi, on, rozwścieklony, rzuca się na żonę z zamiarem uduszenia jej. Na szczęście wyśliznęła się zręcznie z jego rąk i umknęła z domu. On zaś, ścigając uciekającą, stracił równowagę i upadł na ziemię, a w tej chwili głowę zamroczyły mu trunki...

Takich ex-rewolucjonistów, którzy sprzedali ochoczo zasady za dobrą posadę, a w następstwie stawali się najtrwalszemi podporami reakcji skrajnej, jak niemniej kobiet egzaltowanych, a samolubnych, w rzeczy samej będących zerami moralnemi, wydała pseudo-rewolucja rosyjska nadmiar niespodziewany. Co więcej? Skitalec umie idealizować nawet tłumy pospolite. W drobnych nowelach uwagę całą skupia zazwyczaj na masach: »*Oktawa*«

jego — to chór; »*Tiurma*« — aresztanci; »*Polewoj sud*« — włościanie. A wszystko to dzikie, jakby szałem pijackim ogarnięte. Nie śpiewak — tylko chór; nie więzień — tylko mnóstwo więźniów; nie chłop — ale gromada chłopów!...

Skitalec rozumie tylko psychologję tłumów nieprzejrzanych. Jednostka jest dla niego czemś jak gdyby zupełnie obcem. Ale tłum to szalejący, zdziczały, zrozpaczony, zdecydowany na wszystkie ostateczności, rozgorzały namiętnością zemsty i krwi, tłum, co zaciśniętemi pięściami wygraża zawzięcie, obcesowo urojonej marze, która mu zagradza drogę rzekomą do szczęścia prawdziwego. I ma się czasami wrażenie, jakby przed tym tłumem stał niewidzialny Skitalec i wiódł go do mordów przy krwawej łunie pożarów. Krwi! krwi! — i jeszcze raz krwi!...

I ten Skitalec, obdarzony niewątpliwym talentem pisarskim, posiadający wiele danych, żeby zostać twórcą niepośledniej miary, schodzi w literaturze do rzędu pospolitych chwalców ohydy, polujących na tanie efekty.

Czemuż jednak głos jego niezdolny był poruszyć masy szerokie, pobudzić je do czynu, czemu hasła, głoszone przezeń, nie znalazły odzewu w tłumach?... Odpowiedź łatwa. Bo tłumom brak tych wszystkich cech, jakich brakło bohaterom Skitalca, bo nie było w nich odwagi, ani przejęcia się ideą. Wszystkie te szumne hasła, jakie od czasu do czasu wywieszały na swoich sztandarach, to liczmany bezwartościowe, mające tylko pozory rzetelności.

III.
Drobniejsze ptactwo.

Cechę specyficzną umysłowości rosyjskiej po dzień dzisiejszy stanowi pogoń za prawdą, jakąś

bezwzględną, której, rzeczywiście szkoda szukać, skoro — wiadomo — że prawdy takiej niema Sposób zaś takiego poszukiwania, iście salomonowy, charakteryzuje wymownie Mereżkowskij, kiedy w usta następcy tronu Aleksandra wkłada słowa:

— »Czy władza cara pochodzi od Boga? A jeżeli car jest obłąkany, czy od Boga? A może niema Boga?«...

Gdybyż jeszcze Mereżkowskij był pokusił się o danie odpowiedzi na takie patetyczne zapytania!.. Cóż?... kiedy w dramacie p. t. »*Car Paweł I*« nie zdołał dojść do żadnej ściśle określonej konkluzji życiowej, lecz stanął w obec zagadki nierozwiązanej i pytania, tylekroć słyszanego już w literaturze rosyjskiej: »*Czto diełat'?*«...

Skoro tedy straciło się wiarę w Boga, a zatem wiarę we wszystko, nihilizm duchowy musiał siłą konieczności nieubłaganej wycisnąć swoje piętno na utworach pisarzy, którzy straciwszy cel właściwy z przed oczu, zeszli na bezdroża. Skoro zaś zdali sobie sprawę z tej ewentualności najprawdopodobniejszej, że czytelnicy nie zawierzą teorji, podanej »au naturel«, postanowili podsunąć im ją w sosie filozoficzno-mistycznym. Pp. Sołłogub, Briussow, Zinowjewa wraz z licznem towarzystwem podobnych im pisarzy nie mieli innych środków, któremi mogliby oddziaływać na wyobraźnię czytelnika oprócz bezeceństwa życia i — co gorsza — oszałamiającego bezeceństwa doktryny samej! Skoro oni owalani są kałem moralnym, — dlaczego inni mogą być czyści?... *Similis simili gaudet!* — powiada maksyma starożytna.

— »Gdyby ludzie wpatrywali się uważnie jeden w drugiego — powiada Remizow w »*Krzyżowych siostrach*« — gdyby wszyscy byli obdarzeni wzrokiem, to wówczas tylko serce żelazne mogłoby

przetrwać całą przeraźliwość i zagadkowość życia«...

Na nieszczęście tak patrzeć, jakby chciał tego Remizow, nie wszyscy ludzie umieją, a choćby nawet posiedli tę umiejętność, niewiadomo, czy zechcieliby usłuchać wezwania pisarza rosyjskiego? Wobec tego stara się Remizow utworami swemi zabrudzić dusze czytelników, wtłaczając w ich ciasne mózgi teorję nirwany... Jakżeż inaczej postępowali dawniejsi apostołowie religji samounicestwienia!... Oni przynajmniej obiecywali swoim wyznawcom życie przyszłe, życie wieczne. Pisarze doby rewolucyjnej rosyjskiej tak się wyczerpali, że nie mogą uczynić już żadnych obiecanek w tej mierze...

Siła konieczności postawiła ich zatem wobec problemu nierozwiązanego: »*Czto dietat'?*«...

Co począć?... skoro od kilku dziesięcioleci bez przerwy inteligencja rosyjska zajęta jest dwiema ideami: ideą inteligencji i ideą ludu. Literatura rosyjska szóstego dziesięciolecia XIX wieku powtarzała nieustannie, aż do znudzenia: czem jest inteligencja współczesna, jakie jej zadania w najbliższej przyszłości, jaki plan pracy, jaki program etyczno-polityczny. I — z wyjątkiem jedynego Dostojewskiego — »*narodnicy*«, choć sprawa podniesienia warstw ludowych była hasłem ich naczelnem, nie starali się idealizować tych mas ciemnych, nie imputowali im jakiegoś posłannictwa nadzwyczajnego, i — jakkolwiek niezaprzeczenie kładli nacisk celowo a świadomie na dodatnie strony ludu, szukając równocześnie okoliczności łagodzących strony jego ujemne, nie przewartościowali walorów istotnych.

Gdyby zaś nawet, sądząc najsurowiej i bezwzględnie, przyznać było trzeba, że »*narodnicy*« przewartościowali lud, to przecież równocześnie będzie koniecznem przyznać, że uczynili to z nadmiaru

ukochania mas biednych, ciemnych i poniewieranych na każdym kroku. To wszelako najmłodsze pokolenie pisarzy rosyjskich, które ocalało z zawieruchy pseudo-rewolucyjnej, mija się z prawdą w tem, co pisze o ludzie, z przyczyn zgoła innych.

Niepodobieństwem byłoby rozstrzygać, który z dwu czynników podziałał silniej na pisarzy: trwoga czy nadzieja? Bo nie da się chyba zaprzeczyć, że rola, jaką odegrał lud wiejski i robotnicy w ruchu anarchistycznym pierwszych lat konstytucji rosyjskiej, przeraziła tych, którzy byli świadkami zaburzeń agrarnych, podpalań i samosądów, ożywiła zaś ducha w kołach rewolucyjno-mistycznych, wierzących w odrodzenie duchowe narodu rosyjskiego za pomocą jakiegoś bliżej nieokreślonego przewrotu moralnego, którego sprawcę upatrywano w warstwie ludowej.

Istna wieża Babel, skoro obok siebie mogły stanąć pobożne kontemplacje moralne, zbrodnie pospolite i wyuzdanie płciowe!...

Fakt ten, niemożliwy do pomyślenia gdziekolwiek indziej w Europie, rozjaśni się nieco, skoro zajrzymy do genealogji pisarzy tej kategorji.

Wszak taki burżuazyjny piewca rewolucji, jakim jest Arcybaszew, jest — niestety! — po kądzieli wnukiem Kościuszki!... Krwi tej polskiej wszelako nie dorżnąćby się w jego żyłach, boć — pamiętajmy — tętni w nich przeważnie tatarsko-żydowska. Wypowiedziała się też ona w całej pełni przez jego usta.

W bohaterze »*Krwawego sztandaru*« wiele życia, wiele młodości bujnej. Kipi tem życiem i miejscowość, rewolucyjna nawskróś, w której odbywa się akcja. Tutaj każdy człowiek — to milczący do czasu rewolucjonista. Typowym przykładem bohater powieści Anisimow, którego psychologję rewolu-

cyjną rozszerzył Arcybaszew najniefortunniej do rozmiarów życiorysu. Stara to maniera, przypominająca wielce »*Dworjanskoje gniezdo*« Turgenjewa.

Cała idea tego tłumu zrewoltowanego i stojącego na pierwszym planie Anisimowa — da się sprowadzić do tego elementarnego pojęcia, które anatomja nazywa — żołądkiem.

— »Biedny przyszedł na świat — opowiada Arcybaszew — w strasznej nędzy przeżył swoje dzieciństwo... Był obszarpany, źle obuty, chorowity chłopczyk, typowy syn listonosza, na którym trudy, choroby i bieda rodziców wycisnęła na zawsze swoje piętno. Zawczasu przyszło mu troskać się o chleb...«

To jest — tłumacząc po prostu — cała historja daje się sprowadzić do jednego wspólnego mianownika, iż ów rewolucyjny duch protestu, nienawiści, pragnący wolności nieograniczonej oraz walki bezwzględnej z dotychczasowym ustrojem społeczno-państwowym, ma swoje siedlisko w żołądku!... Niema co mówić!... Przepyszne obrał sobie *locum!*

U Arcybaszewa buntuje się wszystko, na każdym kroku, w każdej chwili i sytuacji.

Buntuje się dusza w imię własnego szczęścia w noweli p. t. »*Bunt*«, protestuje pragnienie wolności i uciech przez usta »*Żony*«, duch tłumu buntuje się rokoszem masowym w noweli »*Użas*«, w »*Śmierci Landa*« toczy spór autor ze sobą samym, spór ogromny, bo wyrażający się w proteście myśli przeciw podaniu, — to protest, że tak powiem — duszy przeciwko tradycji. To nie śmierć studenta Lande, lecz samego Arcybaszewa, który kiedyś widocznie zakochał się w teorjach moralistycznych Tołstoja. Protest tu na każdym kroku. U Arcybaszewa można wszędzie odczuć instynkty bojowe, hasła lat ostatnich

Ale bohatera rewolucyjnego nie udało się mu stworzyć. W Anisimowie można bowiem widzieć

co najwyżej jednostkę wybitniejszą pośród tłumu głodnych żołądków, któremu to tłumowi pisarz rosyjski narzucił przemocą idee, do których zrozumienia owe ciemne masy bynajmniej nie były przygotowane.

Kiedy zaś anarchja częściowo została stłumiona terorem rządowym, częściowo zaś zbankrutowała z powodu bezwartościowości haseł głoszonych przez nią band, Arcybaszew przerzucił się od razu ku opisywaniu ohydy wyuzdania płciowego zarówno w powieści p. t. »*Sanin*«, którą nawet prokuratorja państwa węgierskiego uznała za konieczne skonfiskować, jak niemniej w dwutomowym romansie p. n. »*U posliedniej czerty*«. Oto — jaki pokarm duchowy uznał za najodpowiedniejszy dla i tak aż nadto zdeprawowanych już umysłów rosyjskich!...

* * *

Z pośród całego stada tego drobnego ptactwa, co zaczęło próbować swoich wzlotów w ostatnich chwilach t. zw. rewolucji, niepodobna pominąć W. S. Mozowa z jego opowiadaniem p. t. »*Za odno słowo*«.

Historja to, jakich setki wydarzyły się w imperjum rosyjskiem od czasu zaprowadzenia żandarmów, policji, strażników ziemskich i t. p. organów bezpieczeństwa publicznego, o których anemji mózgowej krążą legendy, jakim ludzie o kulturze zachodniej wprost wiary dać nie mogą. Historja sama wcale niewesoła, ale arcytypowa dla charakterystyki życia rosyjskiego współczesnego, tem więcej, że autor jej jest prostym chłopem-samoukiem, nie pozbawionym niewątpliwych zdolności pisarskich.

W zimowe popołudnie siedział autor w restauracji przy szklance herbaty, zatopiony w gazecie. Na sali było cicho, to też tem lepiej mu się czytało.

Wtem najniespodziewaniej oderwał go od lektury jakiś starowina, chodzący po prośbie o wsparcie. Zamiast obdarzyć żebrzącego groszem, autor wyłajał go czysto po mongolsku, odsyłając do wszystkich djabłów. Trzeba było dopiero łez żalu, które wywołało u starca takie brutalne obejście się, ażeby syty jegomość raczył zwrócić swoją uwagę na nędzarza bladego, zeschniętego i przygarbionego, z którego piersi dobywały się jęki i westchnienia. Dopiero pod ich wpływem obudził się w sytym jegomościu wstyd i ból Przemówiło doń sumienie, jako że on sam w ciągu 60-cioletniego życia bywał częstokroć narażony na połajanki ludzkie, nie gorsze od tych, jakiemi obdzielił biedaka. To też, chcąc uspokoić starowinę, wdał się z nim w rozmowę bliższą, z której dowiedział się, iż biedak szukał napróżno pracy po wyjściu z więzienia, a teraz przymierać musi głodem. Zaciekawiony przyczyną takiego podupadnięcia, zaprosił starowinę do swojego stołu. Początkowo nie mógł wydobyć od niego nic więcej ponad to, że wszystkie cierpienia spadły nań z a j e d n o s ł o w o.

Celem pozyskania ufności dla swojej osoby, kazał podać starowinie jadła, a kiedy z nastaniem wieczora sala zapełniła się szczelnie dorożkarzami, którzy zazwyczaj zgromadzali się w tej restauracji na wieczerzę, opowiedział gościom o staruszku-żebraku, zachęcając do urządzenia skromnej składki na jego rzecz. Dorożkarze co do jednego obdarzyli starowinę miedziakami, tak, że formalnie stracił głowę. Teraz dopiero można było wyciągnąć go na rozmowę, gdyż pierwotna nieufność znikła bez śladu. Starowina rozgadał się na dobre, pragnąc być słyszanym przez wszystkich:

Wysłano go z wioski rodzinnej za jedno słowo!... Jechał raz z robotnikami, którzy wyrażali podzi-

wienie dla jego towarzyszy za podpalenie chutoru dziedzica, a zarazem myśleli głośno, że dobrze byłoby, uczynić tak samo z chutorem ich gospodarza. Na to odrzekł im starowina, że jeśli chcą puścić swego pana z dymem, niechaj go sami puszczają, ale nie namawiają do tego ludzi obcych. Na tem skończyła się rozmowa.

Starowina zapomniał o niej już nazajutrz i żył spokojnie w chacie swojej przez cały tydzień. Aż tu raz wieczorem, kiedy układał się właśnie na piecu do snu, usłyszał gwałtowne pukanie w okiennicę. Po chwili wszedł do izby strażnik ziemski, zwlókł go z pieca i poprowadził do isprawnika, nie bąknąwszy ani słowem, o co właściwie chodzi? A oto co się okazało! Owi robotnicy opowiedzieli o całej rozmowie rządcy, który zdał z niej relację właścicielowi dóbr, ten zaś bezzwłocznie doniósł o wszystkiem gubernatorowi, oskarżając starowinę o podżeganie do podpalenia folwarku.

Kiedy strażnik przyprowadził starowinę do urzędu, isprawnika już nie było. Musiał tedy stary spędzić noc w areszcie. Noc ta dłużyła się mu okrutnie, jak gdyby trwała co najmniej tydzień cały, gdyż sen nie imał się powiek. Zrobił się już dzień jasny, ale starca nie zaprowadzono do isprawnika, a tu dusza omal nie wyskoczy z niecierpliwości. Wreszcie dostał się przed oblicze surowego urzędnika, który na mocy swojej władzy wysłał go w drodze administracyjnej, tj. bez dochodzeń śledczych i bez sądu, etapem do Tuły. Starowina, ocknąwszy się na wolności, poczuł dopiero piekło życiowe. Roboty znaleźć nie mógł, bo jej nie było, a choćby i była, niktby nie dał jej człowiekowi podejrzanemu, więc na chleb żebrać przyszło...

W prostem opowiadaniu, spisanem bezpretensjonalnie przez prostego chłopa, można bez trudu od-

czuć, że nie masz w niem nic zmyślonego, że wszystko zostało opowiedziane tak, jak miało się w rzeczywistości. Mamy w niem cząstkę wyrwaną żywcem z współczesnego życia rosyjskiego z jego najboleśniejszą, najsmutniejszą stroną.

Walkę poglądów na bezrząd anarchistyczny próbowano przedstawiać niejednokrotnie, zwłaszcza walkę poglądów starego pokolenia z mrzonkami utopijnemi niedorostków. Bodaj jednakowoż, czy komu powiodło się nakreślić ją krótko, ale dosadnie, tak, jak to uczynił R. M Chin w dramacie p. t. »*Pod sieniju pienatów*«.

Rzecz dzieje się w domu poważnego Siergjeja Siergjeicza, inspektora gimnazjalnego, w czasie walk ulicznych motłochu z wojskiem w jednem z większych prowincjonalnych miast rosyjskich. Na progu mieszkania wygląda, jak gdyby nie było w niem żywego ducha; okna zapuszczone żaluzjami, zabarykadowane sprzętami, — rozmowa zaś, o ile toczy się zrzadka, prowadzona jest półgłosem trwożliwym. Ciszę grobową przerywa dochodzący od czasu do czasu z ulicy huk przytłumiony palby armatniej. W całym domu nastrój grobowy.

Siergjej Siergjeicz jest podrażniony w najwyższym stopniu wypadkami dni ostatnich. Nie mniej jednak, chociaż z zupełnie innych powodów, podrażniony jest 16-toletni syn jego — gimnazjasta Petia, oraz 18-toletnia wychowanica Siergjeja Siergjeicza — Natasza. Względny jeszcze spokój usiłuje zachować pani domu Barbara Dmitrijewna, której staraniem jedynem teraz jest łagodzenie sporów, jakie wybuchają co chwila pomiędzy mężem z jednej a dziećmi z drugiej strony. W dodatku spory stają się coraz zapalczywsze, coraz więcej brutalne i zjadliwości pełne.

Dzieci znajdują się jakby w gorączce nieustannej. Napróżno usiłuje Petia zająć się czytaniem. Po dziesięć razy czyta jedną i tę samą stronę, ale nie może uchwycić sensu, gdyż litery skaczą mu przed oczyma. Do ognia dolewa oliwy kuzynka Natasza, w której mózgu wierci nieustannie jedna i ta sama myśl, że tam, na ulicy, giną ludzie, a tu mieszkanie zabarykadowano, nie troszcząc się o tych rozstrzeliwanych, odważnych, silnych, którzy walczą o wolność...

Rozdrażnienie obojga tych młodocianych umysłów podsyca opowiadanie starej niańki:

— »Rano wyszłam do sklepu z bułkami... Barykada w poprzek ulicy... Po chodniku przecież można się przecisnąć. Ludzie idą i ja za nimi. Ulica — zupełnie jak obóz wojskowy. Armaty... broń... żołnierze... twarze czerwone... Opowiadali dorożkarze, że poją ich wódką bez ustanku... żeby na duchu nie upadali. To prawda. Bo czyliż człowiek przy zdrowych zmysłach może coś podobnego czynić! Idzie student z panną. Idą sobie cicho, nikogo nie zaczepiają. Wtem żołnierz, jak rzuci się na pannę i kolbą, to ją, to studenta... to ją, to studenta... Zamroczyło mi oczy. Pędem do domu!«

W sercach młodych budzi się żądza odwetu, którą, mimo swojej woli, podsyca wynurzeniami Siergjej Siergjeicz. On bowiem nie waha się nazwać uważanych przez młodych za bohaterów, — »smarkaczami, bezbożnikami, dla których niema nic świętego«. A mówi to w przeświadczeniu niezłomnem, bo czuje, że i do jego domu przypełzła zaraza... Ale też, słusznie zauważa jego żona, jakiż jest inny środek na cholerę, jak tylko — odgrodzić się od niej i czekać, dopóki sama nie wygaśnie?... Siergjej Siergjeicz wszelako pragnie dociec przy-

czyny tego dziwnego na pozór objawu i wnioskuje zupełnie rozsądnie:

— »Nie zważając na twoją chytrość — powiada do wychowanicy — rozumiem zupełnie twoją sympatję dla tej szajki łotrów, którzy nie mogliby być cierpiani w żadnem przyzwoitem społeczeństwie... Przypuszczam, że pośród tych domorosłych sanskiulotów są ofiary, że się tak wyrażę, teoryj utopijnych. Ale oni są bezwarunkowo szkodliwi. Przeciwko nim walczymy... t. j. rząd. Lojalni obywatele, dla których drogą jest kultura, rozumieją, że dla ocalenia porządku przed chaosem anarchji musi się używać surowych kar... W historji zdarzają się chwile, w których słabość władzy równa jest występkowi«...

Kiedy zaś wychowanica przyjmuje powyższą tyradę milczeniem, Siergjej Siergjeicz rozumie doskonale przyczynę tego milczenia, gdyż »złej krwi nie można zniszczyć. Ukrywałem przed tobą — powiada — z delikatności ukrywałem... ale teraz wyjawię... Być może, iż powstrzyma to ciebie na krawędzi przepaści... Przywykłem czcić... tak... czcić fundamenty... fundamenty rodziny, religji... Pierwszy cios tym przyrodzonym ideałom zadała moja siostra, twoja matka!... Nieszczęsna stała się ofiarą swojego lekkomyślnego uczucia dla fanatyka... zbrodniarza stanu. Zginęła z nim razem... Na wszystkie moje usiłowania, zmierzające do przyprowadzenia jej do rozumu, odpowiadała obelgami... Ale kiedy jej nie stało, postanowiłem ocalić jej dziecko... to jest ciebie. Minister wezwał mnie na posłuchanie. Odważnie, otwarcie powiedziałem jemu: Ekscelencjo, dwuletnie dziecko niewinne jest błędów swoich rodziców. Po namyśle odrzekł: pan jest człowiekiem uczciwym... Dałem ci kąt rodzinny. Moja żona zastąpiła ci matkę... Teraz wiesz wszystko...«

Ale panna Natasza — zwyczajem rosyjskim — pluje na wszystko, równie jak kuzynek jej Petia, który posyła wszystkich do stu tysięcy djabłów... To też po lekcji zasłużenie otrzymanej od Siergjeja Siergjeicza — oboje młodocianych »rewolucjonistów« opuszcza dom, żeby polec na barykadach...

Takich pseudo-rewolucjonistów, a nieszczęśników małoletnich w istocie, pochłonął smok anarchji rosyjskiej — tysiące...

* * *

Za najznakomitszą ilustrację chaosu, jaki owładnął umysłami mas ludowych, oszołomionych obietnicami, przechodzącemi najśmielsze oczekiwania demagogów wioskowych, może śmiało posłużyć powieść Radionowa p. t. »*Nasze przestępstwa*«. Niewłaściwie poniekąd nazwać utwór ten powieścią skoro jest on raczej kroniką zbrodniczości chłopstwa obałamuconego przez agitatorów, kroniką tych chwil, w których t. zw. rewolucja przygasała na dobre.

I czyliż możnaby uczynić Radionowowi zarzut jednostronności, skoro rzeczywistość nie mówi nic innego, skoro dzienniki niemal w każdym numerze podają opisy najróżnorodniejszych przejawów zbydlęcenia wsi rosyjskiej, jakie rozpętane w okresie »rewolucyjnym«, przetrwały dotąd bodaj czy nie w zdwojonej sile?

A skoro niema nawet cienia pozoru do posądzania go o wstecznictwo lub o przesadę, czy wreszcie o prosty wymysł, — to powieść Radionowa jest, że się tak wyrazimy, dokumentem życiowym, historycznym. Udowadnia bowiem niezbicie, że rewolucja sprawiła w umysłach ludu zamęt pojęć o moralności uczynków tak daleko idący, iż wieś — rzec można — żyje rozwydrzeniem krańcowem, czyniąc z jednostek słabszych zbrodniarzy, mimowolnych

nieraz, choć zdeterminowanych. A przytem unika starannie wszelkich sofizmatów, któremi radziby inni usprawiedliwić bodaj w części postępki tłumów zezwierzęconych.

Najlepszym zresztą dowodem tego, że Radionow nie przeciągnął struny, jest inna powieść innego a znakomitego poety, Bunina p. t. »*Wieś*«. Patrjoci *istinnorusskije* wytoczyli przeciwko autorowi działa najcięższego kalibru, zarzucając mu bez ogródki brak w sercu miłości ojczyzny! Co prawda — to Rosji nie kocha on tak, jak my Polacy naszą ojczyznę, gdyż jak się sam wyraził w »*Cieniu ptaka*«:

— »Ach, co się mnie tyczy, nie odczuwałem nigdy miłości do Rosji i napewno nigdy nie zrozumiem, czem jest miłość ojczyzny, jakoby wszczepiona w każde serce ludzkie. Wiem dobrze o tem, że można kochać ten lub inny ustrój życiowy, ale cóż to ma za wspólność z ojczyzną? Jeżeli rewolucja rosyjska przejmuje mnie więcej od perskiej, mogę jedynie ubolewać, że tak jest. Zaprawdę, niechaj będzie błogosławiona każda chwila, w której czujemy się obywatelami wszechświata«...

Aleć tyrada powyższa zakrawa co najmniej na paradoks kosmopolityczny, na czczą fanfaronadę, na oczywiste przedrzeźnianie z uczuć!

Cóż — kiedy w Buninie serce się wzdryga na sam dźwięk wyrazu — »ojczyzna«! Wszak on dla niej niema nic ponad wzgardę krańcową, wszak wstyd go rumieni na dźwięk jeno jej imienia! On tę »lubą« ojczyznę radby wykreślić z karty świata, skoro stać go na wezwanie:

— »Nie chwalcie się, na miły Bóg, że Rosjanami jesteście! Dzikim jesteście narodem, sennym, rozlazłym. Ani Bogu świeczka, ani djabłu ogarek!«

I niepodobna odmówić słuszności takiemu zawołaniu serdecznemu, choć nie miłość je podykto-

wała. Wszak Bunin patrzał z bliska na fundamenty życia narodowego, których wyobrazicielem jest warstwa ludowa. I czego dopatrzył się na wsi?... Dopatrzył się faktów, od których włosy jeżą się na głowie, faktów, przerażających zarówno swoją ohydą, jak i zezwierzęceniem. Jest bowiem wieś ta rosyjska schroniskiem nędzy ostatecznej, głupoty, rozpusty najwyuzdańszej, zwyrodnienia moralnego, zbrodniczości wszelkich możliwych do pomyślenia gatunków, ohydy i brudu życiowego:

— »Wichurą miotła w przestrzeni śnieżyca, sypiąc drobne krupy śniegu na czarną, żebraczą wioseczkę, na pełną wyboi brudną drogę, na mierzwę końską, na lód, na wodę; wieczorna mgła przysłaniała pola bezkresne, całą tę wielką pustynię z jej śniegami, lasami, wioskami i miastami, całe to państwo głodu i śmierci«... Ludzie tam biedni, wszak »orzą z górą lat tysiąc, a orać, jak potrzeba, ani jedna dusza nie potrafi. Roboty swojej jedynej wykonać nie potrafią. Ani jedna baba nie umie upiec należycie chleba. Lud! Sprośni w mowie, łgarze — i tacy bezwstydni, że ani jedna dusza nie ufa drugiej...«

Tradycyjnym tedy zwyczajem przodków swoich rzuca Bunin straszliwe przekleństwo na kraj swój rodzinny, jak gdyby za mało było tego jadu, żółci i goryczy, jakim zalał wszerz i wzdłuż »kochaną« *matuszkę*-Rosję... Utrzymuję stanowczo, że gdyby — o czem zresztą mowy niema — nastał stan taki w Polsce, my nie bylibyśmy zdolni ubóstwiać chamstwa i nędzy ludu, a już wcale nie pozostawilibyśmy go na łasce Opatrzności boskiej.

Boć chyba musi się nosić w duszy pogardę olbrzymią dla tego ludu, skoro wywleka się na jaw jego brudy i nieprawości haniebne! Kiedy zaś okazuje się, że i sfery »wyższe« nie różnią się niczem

od chudopachołków, dokąd iść dalej, co począć, »*czto diełat'?...*«

Aleć też zważyć należy, iż biedny ten »*narod*« nosi we krwi swojej zarodki zła, odziedziczone po potomkach branek Złotej Ordy, zważyć należy straszliwe jego obciążenie dziedziczne, trwające po dziś dzień nieprzerwanie w całej swojej sile. . Wiadomo zaś, że instynkty złe są znacznie trwalsze od dobrych!...

Naturalnym skutkiem smutnych tych spraw jest wyniesienie kultu cielesnego, ale to kultu spaczonego w sposób mongolski, na piedestał wskazań życiowych. Jeżeli tedy twórcy-artyści pogrążyli się w mętach błota owej nie-mitologicznej stajni Augiaszowej, to wystawili tem samem jedynie fatalny dla swojego narodu dokument życiowy.

Dramat Zajcewa p. n. »*Wierność*« — to jakby przyczynek do psychopatologji seksualnej.

Jednostką zwyrodniałą jest literat Konstanty Iwanycz. Szereg lat przeżył szczęśliwie u boku kochającej go szczerze małżonki, — dopóki nie wyjechał na letnie mieszkanie do Finlandji, mające przynieść klęskę straszliwą kilku osobom równocześnie, a to dzięki głównie czysto-rosyjskiemu rozpasaniu zmysłów, o jakiem ludzie normalni nie mają wyobrażenia. Rozwydrzenie kobiet dochodzi krańców ostatecznych.

Czyliż można spodziewać się po szanującej się pannie oświadczenia następującego, które wypowiada tak naturalnym tonem, jak gdyby w danym wypadku chodziło o coś najpowszedniejszego pod słońcem. Na dobitek oświadczenie to wypowiada wobec męża swojej przyjaciółki:

— »I rozbiorę się. Cóż takiego? Chcecie zaraz? Ciało swoje kocham bardzo, to prawda. Rozumiecie, jak można kochać ciało? Przecież to rzecz

rozkoszna... Byłam kiedyś dziewczęciem, teraz jestem kobietą, a ciało, jak dawniej, wspaniałe«...

Miłością bowiem nazywają tutaj wszyscy akt czysto fizjologiczny. O uczuciach niema wcale mowy. I nic dziwnego — skoro uczuć tych brak!...

Konstanty Iwanycz żył dotąd z żoną szczęśliwie, kocha ją w swojem rozumieniu, ale kocha również bawiącą w gościnie Dalę. O namiętności jaka ciągnie męża ku Dali, wie doskonale żona, ale ani na chwilę nie stara się przeszkodzić romansowi, nie mdleje, ani nie urządza scen zazdrości, gdyż sądzi, że nie należy nikogo kochać, skoro kłamstwem jest życie, kłamstwem miłość... To też z przedmiotem zapałów miłosnych swojego męża, ową piękną Dalą, rozmawia najspokojniej i z prawdziwą szczerością o wszystkiem, pocieszając się nadzieją, iż zakochany mąż rychło zerwie miłostkę rzekomo przelotną, która przybiera kształty tem realniejsze, ile, że Dala oddaje się Konstantemu Iwanyczowi, sama ciągnąc go w swoje ramiona.

Wobec tak beznadziejnej sytuacji potykamy się tutaj co krok o zwierzęcość i cynizm najpodlejszego gatunku

— »Pokochał — związał się — powiada stara Eudoksja — przestał kochać — porzucił. Samemu nudzi się, w zakątku inna, chcesz młodziutką — młodziusieńką, chcesz niewinną — niewinna. I do Turcji nie trzeba jechać, wszystko można za pomocą środków domowych«...

A tu Konstanty Iwanycz kocha odrazu dwie kobiety i — biedak — sam nie wie dobrze, którą z nich więcej?... Najwygodniej byłoby urządzić oryginalny trójkąt małżeński, zwłaszcza, że żona nie ma nic przeciwko tego rodzaju transformacji życia domowego. Ale Konstanty Iwanycz jest człowiekiem grymaśnym, dla którego taka imitacja haremu nie

jest ponętna, tem mniej, skoro jest prawie pewny, że Dali nie zadowoliłaby podobna kombinacja.

— »Tak nie może być na przyszłość, — oświadcza stanowczo kochankowi. — Czem ja jestem? Czego mnie potrzeba? Czyliż kryjąc się przed Marją Gawriłówną, mam kraść twoje pieszczoty, miłość?.... Nie mogę przyjść do siebie, mnie się ciągle zdaje, że nie mam prawa siedzieć tutaj, gdyż w tej chwili wejdzie ona, — to jej dom, a ty — tyś nakoniec czyj? Mój czyli jej? Kostia, pamiętasz ów wieczór? Uniosłeś mnie w las. Mówiłeś wówczas, żeś ty cały, całe twoje życie w miłości. Czyliżbyś zapomniał? Boże mój, jakiś ty był wtedy! Kostia, czyliż to wszystko nieprawda, sen, z którego nic się nie zostało? Nie, nie, niemożliwość. Kostia, jeżeli nie kochasz mnie, powiedz. Odejdę, przysięgam ci... nie, będę krępowała twojego życia. Ale jeśli... jeśliś rzeczywiście wierny mnie, to ciebie nie oddam. Nie oddam nikomu... a wówczas, jakby ci nie było ciężko, powinieneś dla swojego honoru, godności — porzucić dawne życie... dla miłości... bez granic«...

Teraz dopiero biedny pan Konstanty nie wie co począć? To też radby urzeczywistnić bodaj jedną z możliwych kombinacyj. Nie w innym celu omawia z żoną bez osłonek całą fatalność położenia, w jakiem się znalazł. I bodaj, czy w tej chwili nie jest najszczerszy?

A że jest człowiekiem niezdecydowanym, więc ostatecznie ucieka od żony do miasta. Ale i tutaj nie może znaleźć spokoju, gdyż go »wszystko dokoła i wewnątrz pali, męczy«. Chciałby raz doczekać się jakiegoś rozwikłania tej całej mętnej historji, a nawet radby zostać przywalonym górą, byle się to wszystko skończyło, gdyż zdaje sobie sprawę z tej fatalności, że szczęście stracił na zawsze niepowrotnie. Z położenia swego nie widzi wyjścia,

skoro kocha żonę narówni z Dalą, tak żą nie wie nawet, ku której z nich uczuciem płonie silniejszem?...

Dramat kończy się wykrzyknikiem beznadziejnym, z jakim kończą zazwyczaj swoje porachunki ze światem samobójcy:

»Żegnajcie mi — życie i miłość?«...

Czy Konstanty Iwanycz palnął sobie w łeb, czy też nie, to jest ostatecznie rzeczą obojętną. Natomiast należałoby badaniu lekarskiemu poddać całą psychikę hohatera dramatu, która jest skoszlawiona niemal, karykaturalnie napozór. Dla tych jednak, którym nie jest obca psychika rosyjska współczesna, typ Konstantego Iwanycza nie wyda się wcale monstrualnym. Wśród społeczeństwa, które dotąd żyje w przedhistorycznym bezładzie płciowym, osobników takiego samego pokroju można spotkać dowoli. Dziw ogarnia, skoro się widzi, iż pisarz, roszczący sobie pretensje do poważnego traktowania, usiłuje dopatrywać się w pospolitej rozpuście jakiegoś żywiołowego chaosu. Toć pogląd taki świadczyć może jedynie o całkowitym braku wykształcenia filozoficznego i o niedojrzałości myśli, stojącej na poziomie wyrobienia umysłowego filozofujących poważnie malców...

* * *

Współczesna antropo-psycho-etnologja zatrzymała się obecnie na tem stanowisku, że darmoby szukać narodu jednolitego pod względem rasowym W całej jednakowoż Europie niemasz tego rodzaju konglomeratu rasowego — nie plemiennego — co w Rosji, a raczej w narodzie rosyjskim. Dość, żeby antropolog poczynił pomiary czaszki, psycholog zaś zanalizował duszę, a niewątpliwie z badań pierwszego poznamy rasę, do jakiej dana jednostka należy, badania zaś drugiego dadzą nam materjał

pierwszorzędnej wartości, z którego będziemy mogli w grubych wprawdzie, ale prawdziwych, zarysach odtworzyć instynkty, pojęcia, dążenia oraz skłonności narodu, nawet w tym wypadku, gdyby nie przetrwała u niego pamięć o pochodzeniu swojem, gdyby nawet zapomniał języka swoich przodków. Przewaga zaś jednej krwi nad drugą tłumaczy doskonale niezrozumiałe inaczej różnice poglądów, zachodzące wśród jednej i tej samej nawet grupy społecznej. Nie należy przytem zapominać jeszcze o nader charakterystycznem, ale stale powtarzającem się zjawisku, że im większa różnica zachodziła pomiędzy pierwotnemi częściami, jakie się złożyły na wytworzenie nowej formacji społecznej, tem większemi przeciwieństwami muszą się odznaczać przyszłe pokolenia, pochodzące z krańcowo przeciwnych sobie czynników.

W Rosji zaś przymieszka aż nadto znaczna krwi tatarskiej musiała odbić się wyraźnie nietylko na budowie fizycznej ludności całych obszernych dziedzin, ale w znacznie większej mierze na umysłowości, dążeniach i ideałach, słowem na duszy tej pseudo-rosyjskiej narodowości. Oddziaływanie to stawało się tem silniejsze, im bliższe było sąsiedztwo osadnictwa rosyjskiego plemion tubylczych. Wszak pół wieku temu prof. Zograf udowodnił, po przeprowadzeniu bardzo sumiennych badań antropometrycznych, że naród rosyjski przedstawia typ wybitny, powstały ze skrzyżowania się Słowian-autochtonów z Tatarami szczepów najrozmaitszych, oraz że w Rosji rdzennej przeważa żywioł turksko-mongolski, który wycisnął niezatarte piętno w łonie społeczeństwa rosyjskiego. I nie tylko do konkluzji takiej przyjść musiało z badań antropometrycznych. Psychika cała była wielce pomocną.

Wystarczy z niej wziąć pod uwagę jedynie wiarę w siłę zasady, a ujrzy się, że wiara ta ma wszelkie cechy, nieodłączne od bałwochwalstwa bezkrytycznego, poza którem nic się nie widzi. Czyliż więc dziwić się można, iż w Rosji był Iwan Groźny lub siepacze Birona?!... Wszakżeż dusza rosyjska przywykła do bezwzględnego posłuszeństwa zasadzie, chociażby zasada ta była najwstrętniejsza, najpotworniejsza i stała w rażącej sprzeczności z sumieniem! Boć od czasów Groźnego aż po dni dzisiejsze w duszy rosyjskiej przyczaiły się instynkty najniższego gatunku, jako spadek zasłużony po przodkach mongolskich, którzy na dobre »roztatarszczyli« *(sit venia verbo!)* rosyjski »*narod*«, w którym wre nieukończona potąd jeszcze walka dwu dusz — słowiańskiej z mongolską i to najpodlejszą. Większość bowiem tej zesłowiańszczonej tatarszczyzny składa się z potomków zbrodniarzy wołoskich i przeróżnych awanturników, tolerowanych ongi na kresach dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Ale napróżnoby kusił się kto o poszukiwanie w tak sformowanej Słowiańszczyźnie — myśli słowiańskiej prawdziwie i sumienia!...

Żeby zaś kto nie podniósł, jako kontrtezy, przeciwko temu, co powiedziano, faktu, że przecież Rosjanie muszą posiadać kulturę umysłową, skoro zdołali dokonać tylu podbojów terytorjalnych, streszczę się. Pominąć wolę sposoby, jakiemi ich dokonywano, boć zresztą — wiadomo powszechnie — na przeprowadzenie podbojów terytorjalnych, wystarczająca jest przewaga siły fizycznej i lepszy dobór środków materjalnych. Ale podboje moralne zdolna jest czynić jedynie wyższa kultura moralna, czego przykładem najdowodniejszym chrześcijaństwo, które ongi było przecież zerem materjalnem, a jednak zawojowało cały świat cy-

wilizowany w przeciągu stosunkowo niedługiego czasu, podczas gdy chyląca się ku upadkowi wyrafinowana kultura rzymska tylko zlekka dotknęła swoim pokostem ludy olbrzymiego imperjum rzymskiego. Co się zaś stało z tą kulturą po upadku wszechwładztwa rzymskiego?...

Kultura umysłowa rosyjska jest aż nazbyt młoda, iżby mogła mierzyć się z polską. Stoi ona, niestety, — na poziomie barbarzyństwa, stąd też nie jest w stanie w niczem naruszyć, pomimo przewagi środków do walki, zdrowej kultury narodu polskiego i musi zadowolić się rolą widza bezsilnego wobec wyższości moralnej składników, które wytworzyły duszę polską. My zawsze szliśmy w warstwy najszersze, żeby w nich rozbudzać instynkty żywotne. Rosjanie rozbudzali mordercze. My krzewiliśmy miłość — Rosjanie nienawiść ku wszystkim i ku wszystkiemu. Co prawda — miłość trudna jest do zaszczepienia, ale zawsze owocna; nienawiść zasiać łatwo, ale nienawiść ta wyjałowi grunt, na którym wyrosła. Bywały w dziejach święte wojny, ale jedynie w Rosji zapisały księgi świata — święte grabieże mienia obcego i święte mordy!...

Odkąd słupy żelazne umocowaliśmy w złotych falach Łaby, odkąd zadrgnęły pod ciosem szczerbca Bolesławowego bramy Kijowa, odkąd białemi kośćmi zasłane zostało Psie Pole, a hardy krzywoprzysięzca dał kark pod kopyta końskie opodal Grunwaldu, odkąd w piach rozsypywały się baszty warowne Pskowa, szliśmy w bój zawsze za ojczyznę, za krew niewinnie przelaną, za łzy sieroce, za wiarę świętą.

Odwiecznem hasłem bojowem Rosji była: krzywda, bezprawie, żądza rabunku i zniszczenia, wreszcie — o wstydzie! — łamanie przysiąg nałogowe!...

Wiadomo z historji, że kiedyś car Aleksander I. zaprzysiągł nam w Warszawie u św. Jana konstytucję na ewangelję. Akt uroczysty przysięgi zakończono odegraniem hymnu koronacyjnego — »Boże, coś Polskę«...

Car przysiągł... Od ludzi wymaga nawet sąd karny dotrzymania przysięgi. No... ale i na przysięgę wobec Boga złożoną wynalazła rosyjska *graeca fides* środki zaradcze. Po upadku powstania listopadowego, nazwanego w manifeście najwyższym z datą 15 lipca 1832 roku — »buntem wojska polskiego« — zaczęto uważać Królestwo Polskie za prowincję podbitą. I popełniono fakt, nie notowany dotychczas w kronikach świata: za »bunt wojskowy« odebrano miljonom obywateli konstytucję, zapewne w myśl zasady życiowej rosyjskiej, że kto dał słowo honoru, może je odebrać *(wziat' obratno)!*... Carski hymn koronacyjny polski znalazł się na liście utworów proskrybowanych!...

Nienawidzący nas rozpętaniem całej swojej duszy pierwotnej Rosjanie wydzierali nam bezlitośnie wszystko, co było do zrabowania: mienie, wolność, życie!...

Jednego wszelako wydrzeć nie zdołali, a to wiary niepożytej w przyszłość naszą i w nasze ostateczne zwycięstwo, którem zadumanych w cerkwiach białokamiennych Kremlu popów brodatych bez przestanku straszą zawieszone u kopuł w niebo strzelających zdobyczne sztandary powstańcze, zszarpane w strzępy kul moskiewskich gradem, — napisem: »Za wolność waszą i naszą!«...

Bo wolność »waszą« kładliśmy ponad własną. A wtem okazało się, że »*raby*« wolą żyć w niewoli!...

I jeszcze jedno zapytanie ciśnie się przez usta:

Dlaczego żaden Rosjanin, choćby najtęższy umysłem, nie uczynił z ojczyzny swojej sanktuarjum

pamiątek narodowych, w którem obok posągu Dżingis-Chana należne miejsce znalazłyby upostaciowania »*rabstwa*« i niewoli duchowej, w jakiej pogrążona jest narodowość rosyjska, która sama siebie znakomicie scharakteryzowała w krótkich słowach, ale aż nadto dosadnych i wymownych:

— »*Jakoj ty wiry, kozacze?*«... — zapytał ktoś po »chachłacku« przypadkowo.

— »*Jakoj tobi treba*«... — brzmiała odpowiedź prostoduszna chłopa.

W narodzie, nie posiadającym wiary prawdziwej w cokolwiekbądź, w którego żyłach grają strugi krwi dzikiej, napróżno poszukiwać uczucia miłości ojczyzny, tego uczucia, które ze wszystkich na świecie jest najmniej interesowne!...

Czyliż, wobec tego, dziwić się można, iż bezowocnym poszukiwaczem okazałby się ten, ktoby się pokusił o wyczucie w pisarzach rosyjskich odzewu, jaki ongiś wydostał się z martwiejących warg Słowackiego na ziemi obcej w obliczu stojącej tuż u wezgłowia śmierci:

»Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij Ty o nas, o, wspomnij!
Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze, i piorun, co błyska«...

Twórcy »Młodej Rosji« woleli obrzucić ojczyznę swoją kałem cuchnącym słów, wierszy, powieści.

Widocznie — na to zasłużyła.

Aleć oni stworzeni są na podobieństwo szczeniąt, co wymię matczyne skąsały!...

V.

Do źródeł duszy rosyjskiej.

W literaturze rosyjskiej pierwszych lat konstytucji daje się zauważyć zwrot znamienny.

Ideały, głoszone przez Puszkina, doprowadzone do zenitu przez Dostojewskiego, wyrzucono na śmietnik.

Dziś niczem służenie prawdzie, narodowi, artyzmowi rzetelnemu... To fraszki, to frazesy puste!..

»Gdyby kto zapragnął — pisze p. W. Grubiński na łamach »Sfinksa« (zeszyt sierpniowy z r. 1910) — współczesną literaturę rosyjską scharakteryzować jednem tylko słowem, tenby powiedział o niej: »zmora«. Literatura rosyjska jest zmorą. I nic dziwnego, bo przecież człowiek, który ją wydawał, to tak samo zmora, a według praodwiecznych praw świata, puhacz rodzi puhacza... Mistyczne łono, w którem lęgła się wśród krwawych boleści straszna literatura rosyjska, dusza Rosjanina — nie duszą jest, lecz zmorą. Rosjanin nie zna duchowej pogody, nie zna beztroskiej radości, bachicznej orgji; artysta rosyjski nie zna twórczego szału; jego Djonizjos szaleje wprawdzie, ale jak niedoszły samobójca; jego uroczystości djonizyjskie nie są świętami płodności i wiecznego bujnego życia, lecz dziką czarną mszą zniszczenia, lecz dytyrambem rozpaczy; Bachus rosyjski upija się wódką, nie cudownym sokiem Sema, w którym mieszka bóstwo, i Bachus rosyjski klnie zajadle matkę, symbol od-

radzającego się wciąż, w nieskończoność, życia... Barbarzyńca obawia się życia, bo nosi w sobie wieczny strach, bo jako barbarzyńca nie ma jeszcze duszy, ale ma już zmorę. Nieszczęsna to dola, dola Rosjanina, dwa tylko mającego krańce: niewolnik albo anarchista«...

...»Każdy Rosjanin dzisiejszy przynosi z sobą na świat dziesięcioro mistycznych przykazań, z których pierwsze brzmi *czyn czyna poczytajet.* Zdarza się i bunt... smutny bunt niewolników, nie zaś bunt ludzi z urodzenia wolnych, będących w niewoli. Inna jest zgoła rzecz dostać się do niewoli po zaciekłej walce, a inna rzecz być niewolnikiem z instynktu (vide świetne artykuły w »Rjeczi«, Mereżkowskiego: »*Gołowka wisniet.*« »*Torżestwujuszczaja swinja*«). Dlatego i my i cały Zachód boimy się literatury rosyjskiej. Dzieje narodu polskiego są pogodne, pogodne do lekkomyślności: Polska wydawała bohaterów, jakby ze słonecznego poematu, dla których mogłoby się zdawać, iż niema innego miejsca urodzin i życia oprócz legendy i wyobraźni poety. Wielki Dostojewski, polityczny ex-katorżnik synteza rosyjskości, błogosławi knut! Wielki Inkwizytorz »*Braci Karamazowych*« mówi o radościach niewolnictwa i o... okropnościach wolności! Jakżeż mają kochać literaturę rosyjską narody z ducha wolne! Dziwią się jej. Sąsiedzi dalsi — Francuzi, Anglicy, Włosi, Niemcy — oceniają talenty i oglądają twórczość rosyjską z zaciekawieniem, niby zamorskie dziwadło, książki rosyjskich autorów biorą do ręki ostrożnie«...

Było coś, co przypomina chwilę obecną w szóstym dziesiątku ubiegłego stulecia. Ale wówczas działo się to z innych powodów, dla całkiem odmiennego celu. Wówczas pod pozorem rozpraw krytycznych pisano artykuły publicystyczne, ażeby

oszukać czujne oko cenzora i pomówić z czytelnikiem na temat spraw bieżących. Drogę taką pierwszy wskazał Bielinskij, udoskonalili ją Pisarew i Zajcew.

Kiedy jednakowoż zniesiono cenzurę prewencyjną dla całego szeregu wydawnictw, sposobu tego rodzaju pisania zaczęto się pilnie wystrzegać. I jedynie w wypadkach, w których chodziło o kwestje zabronione całkowicie do omawiania, uciekano się z konieczności do t. zw. »języka ezopowskiego«, którym tak znakomicie władał Szczedrin-Sałtykow.

W chwili, w której cała Europa zachodnia zaczęła rozczytywać się w autorach rosyjskich, społeczeństwo rosyjskie w dzikiem zaślepieniu deptało ideały starych mistrzów i wyciągało ręce ku nowym pisarzom, którzy ukazywali mu nowy, niewidziany dotąd nigdzie i niemożliwy do stworzenia świat.

Nie był to świat poniżonych, z którym Rosja miała sposobność zaznajomić się bodaj z pism takich »narodników,« jak Rjeszetnikow lub Gleb Uspienskij. Nie był to świat zmęczonej i znudzonej inteligencji, którą malował w swoich powieściach Czechow z uśmiechem żałosnym lekarza na ustach. Ale jeżeli pierwsi widzieli poniżonych i zgnębionych losem, to przecież ani razu nie orzekli, iż tym właśnie warstwom należy się naczelne miejsce na świecie.

Czechow znowuż wiedział doskonale, że współczesna inteligencja rosyjska nie jest na tyle silna, iżby mogła stworzyć nowe życie. Czechow wmiawiał w nią, że za kilkaset lat życie stanie się lepsze...

A teraz publiczność czytająca rzuciła się w objęcia »bosiactwa« i metafizyczno-płciowych ekstrawagancyj!...

Ależ bo i ta cała metafizyka jest anarchistyczna nawskróś! Boć »chińszczyzną«, płytkością, głupstwem jest dla takiego np. Mereżkowskiego nawet wszelki empiryzm, pozytywizm, czy materjalizm nakoniec. Podług niego, każdy, kto nie zabarwi swego poglądu na świat metafizyką, jest skończonym głupcem, niegodnym miana człowieczego. Mereżkowskiemu marzy się jakieś fantastyczne królestwo Boże na ziemi, oparte na zasadach jakiegoś neochrystjanizmu, bliżej nieokreślonego.

Takie formy wszelako, jakie przybrała mistyka rosyjska pierwszych lat konstytucji, nie dadzą się pomyśleć nigdzie indziej, jak tylko w stadzie pierwotnem. Bo czyż zrozumie umysł kulturalny połączenie mistyki z miłością lesbijską, jak u Zinowiewej, lub z homoseksualizmem, jak u Kuźmina, wreszcie z sadyzmem w poezjach Sołłoguba i Briussowa? Ideał zresztą »bosiactwa« nie jest bynajmniej wynalazkiem rosyjskim i w ogólności nie może być uważany za ideał, jako że jest teorją bezwzględnej negacji bytu.

Podług Gorkiego należy odrzucić wszelką kulturę oraz zasady, na jakich opiera się państwo i społeczeństwo. Celem zaś życia — dogodzenie instynktom bydlęcym i w tym kierunku nie powinien człowiek spotykać żadnych przeszkód.

Tak głosił współczesny Zarathustra rosyjski...

Społeczeństwo zaś, które od dawna zatraciło wiarę, rewolucjonizowane za pomocą książek i broszur agitacyjnych, zasmakować musiało z natury rzeczy samej w utworach Gorkiego, widząc w nich realne urzeczywistnienie tego, o czem marzyło nie od dzisiaj.

Nie darmo Gorkij lubił nazywać się »zwiastunem burzy«, bo rzeczywiście wniósł rewolucję do li-

teratury pięknej i sam zeszedł ze sceny w chwili, w której pożar rozgorzał.

Z pomocą przyszedł mu Andriejew, kreślący typy współczesne, jako nerwowo chore i psychopatologicznie wykoszlawione. Odrzucił wszelkie podstawy religijne, widząc wokół tylko jedno oszustwo, życie zaś traktuje jako puste i bezwartościowe.

Po tych dwu heroldach nowego kierunku w literaturze i ich satelitach w osobach: Juszkiewicza, Skitalca, Arcybaszewa, i tylu innych pomniejszych naśladowcach, społeczeństwu nie pozostawałoby nic innego, jak uznać, że najwyższym ideałem człowieka jest zniszczenie i śmierć...

Daremnego trudu podjąłby się ten, kto chciałby się dogrzebać w sercach tych wszystkich pisarzy miłości ojczyzny. Na jej miejscu bowiem znajdzie tylko — nienawiści morze. A wszakże nienawiści jest i tak w życiu za wiele. I nienawiść jest czynnikiem rozkładczym, który zawsze zwraca się samobójczo przeciwko tym, co go uprawiają!

Przejęcie się bezgraniczne ideałami Sawwów wyprowadziło w latach 1905—1907 na widownię publiczną tysiące jednostek, podobnych jota w jotę do mrocznych indywiduów, wyidealizowanych przez najmłodszą literaturę rosyjską. A jedynem wyznaniem ich była — zbrodnia pod jakąkolwiek postacią.

Ale że z tego naśladownictwa nic nie wykwitnie i nie da owocu — to niewątpliwe!

Jeszcze w przededniu awantury mandżurskiej przeciwstawiał dumnie kniaź Uchtomskij »zdrową« rzekomo moralnie Rosję »zgniłej Europie« i nie zawahał się przed tłumaczeniem »wyższości« duszy rosyjskiej wrodzonym jej azjatyzmem. Tymczasem okazało się w istocie samej zupełnie coś przeciwnego. Z głosu szczerego duszy rosyjskiej przekonali się wszyscy aż nadto dowodnie, że głos to

jest skostniałej, apatycznej i zmurszałej już Azji, której brak kompletny wszelkiego pierwiastku twórczego, a której jedynem dążeniem negacja ostateczna, beznadziejna...

Zniszczenie, powszechne zniszczenie wszystkiego! — oto hasło, jakie światu rzuciła owa dusza.

Alec też treścią duszy rosyjskiej był od wieków i jest potąd — nihilizm.

Dowodem na to najlepszym fakt, iż przez przeciąg tylu stuleci umysł rosyjski nie stworzył nic, ale natomiast niszczyć potrafił zapamiętale wszystko, co było wynikiem triumfującego wysiłku, ale niestety nie odpowiadało burzycielskiemu instynktowi rosyjskiemu!

Żebym nie został posądzony o stronniczość, powołam się na zdanie najwybitniejszego dzisiaj nacjonalisty rosyjskiego, jakim jest kniaź Meszczerskij, który wszelako nie zawahał się przed oświadczeniem, iż »o Rosji można powiedzieć, że jest ona dla wszystkich, ale nie dla Rosjan, albowiem Rosjan — niema. Jest u naszej góry jakieś śmiecie ludzkie, które mianuje się Rosjanami, ale Rosjan w tem znaczeniu w jakiem widzimy Niemców, Anglików, Włochów — w znaczeniu świadomych obywateli, synów swojej ojczyzny i swego państwa, silnych fizycznie — mięśniami i duchowo — swoją narodowością, takich Rosjan — niema!«

Czyliż można sobie wyobrazić większą od tej pogardę, jaką wyraził swój rodakom swoim?!..

Ale miał słuszność. Z historji bowiem wiadomo, że gdzie stąpi stopa Rosjanina, tam już nic nie wyrośnie. Rosjanin nic nie zbuduje, żadnego pomnika pracy po sobie nie zostawi, a jeno same ruiny w tych miejscach nawet, w których przed pojawieniem się jego kwitnęła wspaniale kultura. Natomiast przyniesie wraz z sobą mikroby rozkła-

du, bo czemkolwiekby nie był, będzie Rosjanin zawsze burzycielem bezmyślnym.

Ten potworny instynkt niszczycielski, bezmyślny aż do idjotyzmu, wyłazi z każdej karty historji rosyjskiej, widać go w całym dorobku literackim Rosjan, we wszystkich przewrotach społecznych, a nawet w stosunku formacji wolnościowych do narodów ujarzmionych. Przypomnieć wystarczy rok 1861, kiedy to w Piotrogrodzie odbyła się wspólna narada studentów Polaków i Rosjan. Obie strony łączyła wspólna nienawiść przeciw rządowi. Sojusz wszelako prysnął, skoro Rosjanie dowiedzieli się, że Polacy nie chcą rzeczypospolitej wspólnej, ale niezawisłego państwa polskiego.

Jak w całych dziejach Rosji, tak też w pierwszych latach konstytucji wymuszonej — i to papierowej, nie było wśród społeczeństwa rosyjskiego ani odrobiny prawdziwego bohaterstwa. Były tylko czyny szaleństwa, czyny bezmyślne, czyny zrodzone przez determinację, jakiej łatwo doszukać się wśród bydląt oswojonych.

Zdarzyło się w dziejach świata, że państwa ogromne runęły grzechami swemi, — ale narody pozostały nietknięte.

W wieku XX tym istnieje państwo-kolos, żyjące z dnia na dzień na podobieństwo chorego nieuleczalnie, porażonego przez paraliż postępowy. W imperjum rosyjskiem rozchorowały się warstwy podstawowe »narodu panującego« na pomieszanie wszelkich zasadniczych pojęć — nawet ogólnoludzkich.

Nie zapomnimy przenigdy popełnionych na nas przez »naród« rosyjski zbrodni o pomstę do niebios wołających: zbrodni, gwałtów, podstępów, zdrad, więzień, tortur, szubienic, mordów, rzezi, lodów sybirskich... Wymiar sprawiedliwości pozostawmy Bogu.

Boć »naród« rosyjski, który nie wydał przez tyle stuleci ze swego łona bohaterów, jeno ludzi zdeterminowanych, który posiada same tylko umysły wysuszone do tła przewrotnością, naród, który kocha nie sercem, ale formułkami czczemi i nienawiści daje pierwszeństwo przed miłością, naród, który w podbojach swoich niszczyć tylko potrafi bezmyślnie, ma w organizmie swoim nie krew, ale jakiś płyn zabójczy!

Naród taki sam sobie własną ręką feruje napis, identyczny z biblijnym napisem Baltazarowym:

Mane — Tekel — Ufarsim!

Epigonowie rewolucji.

Fakt uwagi godny, że ferment rewolucyjny wyprowadził na widownię literacką cały szereg indywidualności pisarskich, więcej lub mniej utalentowanych, które jednakowoż wszystkie łączyła idea wspólna. Wszyscy: Gorkije, Andriejewy, Skitalcy Arcybaszewy i jak im tam na imię, upatrywali odrodzenie ludzkości całej niemal, a bądź co bądź Rosji napewno, w nieokiełzanych porywach instynktów najniższych.

Hasłem dla nich stal się frazes osławionego Maksyma Gorkiego, streszczający się w zdaniu: »Nagi na nagiej ziemi, jak matka porodziła«, coś bardzo zbliżonego do znanej formuły Przybyszewskiego, tylko w innym rodzaju.

To też twórcy, jeden po drugim, zaczęli zdzierać ze siebie płachty, które im nadawały pozór człowieczeństwa i stanęli niezasromani w całej nagości swoich pożądań najniższych, co wiodą myśl człowieka zdrowego w zamierzchłe czasy epoki kamienia łupanego, w czasy, w których zwierzęcość brała górę nad rozsądkiem, kiedy nie myślano jeszcze wcale o kształceniu dusz, o kultywowaniu serc w dobru.

Niemal na tem samem stanowisku zatrzymała się t. zw. »młoda Rosja« szerząc dokoła siebie za-

pach trupi zgnilizny moralnej i kompletnego rozkładu pojęć o ideałach, skoro poczęto dopatrywać się ich w brudach rynsztokowych, w Gehennie istnej zła i nieprawości człowieczej. Zdaniem tych najmłodszych pisarzy rosyjskich siedliskiem osławionego »absolutu« było ni mniej, ni więcej, jak tylko pospolite błoto!

Płomieniem krwawym wybuchnęły iskry rewolucji anarchicznej i zagasły rychlej, aniżeli się tego spodziewali najskrajniejsi pesymiści. Nie zginęły z nim jednakowoż równocześnie »dzieła« pisarzy, dla których szczytem ideału była zbrodnia pod każdą postacią. Jad deprawacji moralnej szerzył się dalej, bez przeszkód. Spróbowano go nawet przeszczepić na grunt zachodnio-europejski. Próby jednak zawiodły fatalnie. W nowe przykazania ewangeliczne, głoszone z hałasem przez koryfeuszów literackich pseudo-rewolucji, nie wierzył żaden człowiek rozsądny. Kiedy zaś przetłumaczono jeden z »utworów« powieściowych tego gatunku p. t. »Sanin«, prokuratorja węgierska a zatem prokuratorja państwa konstytucyjnego, w którem swoboda słowa i druku było nieporównanie większa, aniżeli w państwie rosyjskiem, — skonfiskowała odrazu cały nakład. Widoczne zatem, że na skarbach i zasobach moralnych, w jakie obfitował ów »utwór«, nie poznała się wcale...

No... Ale cóż w tem dziwnego zresztą?... Europa?... Prokurator!... Ha!... ha!... ha!...

Wszakże Europa zachodnia jest w pojęciu rosyjskiem czemś, co dawno straciło wszelki smak estetyczny doszczętnie. *Ex Oriente lux!*.. powiedzieli sobie Rosjanie. Że zaś owo światło, kopcąc niemożliwie wytwarzało swąd, nie do wytrzymania, — tego powonienia rosyjskie nie poczuły wcale. Taka już ich natura!...

I.

Zniewolony okolicznościami do zajmowania się, od lat kilku z rzędu śledzeniem współczesnej twórczości rosyjskiej, wyznam bez ogródek, — wziąłem książkę zbiorową p. t. »Ziemla« z ogromną niechęcią do ręki. Znałem przecież tyle rozmaitych książek zbiorowych, tyle literackich wydawnictw perjodycznych, — a wszystkie one, niestety! — przynosiły rzeczy, których ideą zasadniczą była krańcowa negacja bytu. Czyliż tedy, rozumowałem, wykształcone na takich wzorach pokolenie najmłodsze pisarzy, potrafi otrząsnąć się z pod ich wpływu, czyliż potrafi przejąć się zasadami piękna i dobra skoro ocierało się codziennie tylko o brud i grzech?..

Jestem rad niezmiernie z możności przyznania, iż w przewidywaniach swoich omyliłem się właśnie raz jeden. Oto w jednej z tak licznie ukazujących się w Rosji książek zbiorowych, zwanych ongi za czasów Mickiewicza »almanachami«, spotykamy się z wyjątkowym, jak na czasy dzisiejsze utworem Borysa Zajcewa p. t. »*Spckój*«, wyjątkowym zupełnie wobec nastroju, który dominuje w współczesnej literaturze rosyjskiej.

Najprzód słów kilka o autorze, zupełnie u nas nieznanym.

Nazwisko tego pisarza zabłysło na horyzoncie beletrystyki rosyjskiej lat temu kilka zaledwie, a od najwcześniejszych początków gwiazda jego siała światło ciche, spokojne, lecz jasne. Borys Zajcew wyróżnił się odrazu tą właściwością, że posiadał swój własny, niepożyczany od nikogo światopogląd, świecąc zaś jasno, słał snopy promieni w ciemnię współczesną, jaka zaległa w dzisiejszej epoce pospolitości i płaskich pomysłów. Zajcew jest do tego stopnia delikatny, jak porcelana, że mi wol-

no będzie użyć takiego porównania, być może niezbyt stosownego. Pomimo liryzmu i nastrojowości, nie schodzi on ani na chwilę z podstawy realistycznej, nazywając bez osłonek, bez przemilczań, wszystko najwyraźniej po imieniu. Wprawdzie częstokroć przypada ku ziemi, schodzi na niziny, ale pozostaje mimo to czysty, jak promień słoneczny. To zadziwiające zharmonizowanie naturalizmu z poetycznością obudza w duszy czytelnika ową arystotelesowską *katharsis*, do jakiej bardzo daleko innym pisarzom współczesnym wraz z ich utworami.

W przeciwstawieniu do nich ogrzany w cieple światła słonecznego Zajcew — sam przenika życie cichem, łagodnem światłem, które bez wahania możemy nazwać światłością sławy. A to dlatego, bo odczuwa i uwielbia świętość przyrody i człowieka, dla którego jest tarczą ochronną, owem *palladium* w walkach życiowych z mrokami powszedniej martwoty i pospolitości. Przecież nie tak dawno swoją *Agrafienę* wprost nie piórem napisał, lecz — (wybaczcie mi to porównanie!) — na organach świątyni gotyckiej wygrał...

Ogółem biorąc, można rzec śmiało i bez przesady, że widocznie w duszy jego brzmi wieczny chorał, modlitwa błagalna czasami, częściej dziękczynna, za spokój.

Ale zna on dobrze: rozpacz i nieszczęście.

W »*Spokoju*« naprzykład wywołuje głębokie wrażenie obrazek maleńkiego chłopaczka, który umiera, nie mogąc być ocalonym przez ojca-lekarza. A było owo chłopię rozwinięte i uzdolnione niezwykle ponad wiek swój. Ojciec jego, wdowiec, zamknięty w sobie, zimno tak opowiadał o ostatnich chwilach Eugenjusza, swojego syna jedynaka, jedynej gwiazdy przewodniej, która mogła go poprowadzić dalej przez nieszczęsne życie:

— »Dzisiaj mówił mi Eugenjusz: »Papa, boję się, żebym nie umarł«... objął mnie i mówi: »Ojcze› widzę teraz śmierć. Ot ona tam... Tatusiu – powiada — marzną mi nóżki. Rozgrzej mi nóżki, nie daj mnie śmierci!... Bardzo — powiada — proszę ciebie: »nie dawaj!«. Tak on mi to powiedział«...

Tymczasem chłopczyna umarł, a ojciec jego pozostał. I on, który był zawsze zimny, jak lód i nieczuły na nic, teraz nie oparł się wzruszeniu i wybuchnął płaczem rozgłośnym.

Wspomniany dopiero co rys jest nadzwyczaj charakterystyczny dla osoby Zajcewa. Przecież Zajcew zna doskonale rozpacz, ale świat, uderzając weń swojemi zbawczemi falami, użycza »spokoju«, wielkiego »spokoju«, a nie oddaje, jak syna jego śmierci i grobowi zimnemu. To też on, jeden z najwięcej cierpiących bohaterów, zwalczając swoją rozpacz, oburzając się na ból swój, wygłasza następującą prześliczną rezygnację, pełną majestatycznej wzniosłości, a zarazem będącą hymnem wyzwolenia:

— A kiedy kwitną dusze człowiecze, — Ty dajesz im dumać; a jeśli giną — dajesz ukojenie. Odwieczny duchu miłości — tyś zwyciężył!«...

Po upływie tylu, tylu lat i tu zwycięża Galilejczyk Krasińskiego...

Co jednak najbardziej znamienne? To właśnie, że o sile zwycięskiej ducha miłości słyszy się we wszystkich utworach Zajcewa, nawet w ostatniem jego opowiadaniu, w którem daje prześliczny obrazek nastrojowy ujęty w te słowa mniej więcej:

...A kiedy stoisz nad brzegiem morza Adrjatyckiego, to pragniesz wygłosić jakiś toast na cześć pokoju, to pragniesz »zaczerpnąć wody z Adrjatyku i plusnąć nią ku księżycowi: na cześć miłości,

przyjaciela, który zginął dla niej na tych brzegach, kobiety, która z nim uciekła, na cześć serca bardzo dalekiego«...

Śmierć i koniec, nasze katastrofy i krew, — to wszystko nie dotyczy nas, to nie dochodzi do samej głębi, do ośrodka naszego »j a«. To właściwie nie my cierpimy, nie nas zabijają, to mrzemy nie my, gdyż to wszystko rozbija się o ów dobroczynny »spokój«, jakim napawa duszę naszą niezwyciężony duch miłości. Nawet w chwili śmierci odczuwamy rozkosz, szczęście z tego, że giniemy. Odchodząc z życia, my, wygnańcy raju utraconego, błogosławimy mu, błogosławimy to życie i powiadamy doń, że jest przepiękne, nie oglądając się na śmierć dziecka, na zdradę żony, czy na niewinnie przelaną krew.

Maeterlinck utrzymuje, że właściwie niczemu sami nie jesteśmy winni, gdyż w naszych występkach bierze udział wybitny samo jądro naszej duszy, żeśmy niewinni, tacy, jakimi nas stworzyła przyroda, żeśmy stąd święci... Wszystko zło, jakie czynimy, jest tylko snem, uciążliwym majakiem i że siostra Beatrix zupełnie tam w świecie, poza murami klasztornemi nie grzeszyła, bo grzech był jej urojeniem tylko. W istocie rzeczy zaś w chwili, w której ona opuściła klasztor, w klasztorze zajęła jej miejsce Madonna.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania, dochodzi Zajcew do wniosku, że nasza dusza jest — Madonną, gdyż jest od wiek wieków niewinna, a w tej swojej niewinności naga i nie wstydząca się nagości, jak Monna Vanna, odziana w siebie samą... I dlatego to przechodzi ona z uśmiechem wśród naszych przesądów i występków. Wszak ona nigdy ich nie znała i nie zna. Toż przecie ona nie zgrzeszyła niczem, a dalej... i myśmy niewinni... Taka jest ewangelja Maeterlinkowska.

Zajcew zaś wyznaje nie tylko tę wiarę w konieczność świętości człowieka. Ba, wierzy niezłomnie w jego szczęście, w jego spokój, który prędzej czy później uzyskać musi. Tylko, żeśmy za słabi, by takie szczęście posiąść faktycznie w życiu, gdyż nie jesteśmy ograniczeni na punkcie wolnej woli, bo i do nas należy świat cały, który stanowi skarbnicę niewyczerpaną uciech i rozkoszy. Taką jest ta nowa filozofja w streszczeniu.

Bohater Zajcewa znajduje się daleko od swojej rodzonej *matuszki Rossii.* Bawi we Włoszech. I choć »kraj to cudzy, a jakżeż on mu bliski?!«... »Tak — powiada — jam w obcej, ale i w swojej krainie dlatego, gdyż wszystkie kraje należą do jednego pana, który wszędzie zjawia się memu sercu. I tutaj czuję go«... Więc — rzecz naturalna, że jeśli wszystkie kraje należą do jednego pana, to człowiek jest wszędzie jakby u siebie w domu własnym.

»Życie — śmierć... Miłość — błogosławieństwo«...

I znowu rysem charakterystycznym dla Zajcewa jest ów paradoks napozór, mieszczący się w symfonji zgody ze światem. Dostraja się do niego w zupełności forma zewnętrzna utworów, lekka, prosta, szczera do samej głębi. Zajcew nie wymęcza fraz poszczególnych, lecz podaje w formie wcale niecyzelowanej dłutem mistrza.

Jakim jest sam p. Borys Zajcew?... godziłoby się zapytać nakoniec.

Znajduję się w szczęśliwem położeniu powiedzieć coś o tem, bom go miał sposobność poznać podczas pobytu swego w Rosji. Istotnie błyszczy światłem idealizmu tak, że możnaby rzec, iż dusza jego jest jako mgła przeźrocza. Ta właściwość specyficzna pozwala mu, jak niemniej jego bohaterowi, żyć w imię piękna. W jego utworach darmoby szukać fabuły opowiadań albo treści. Jest natomiast życie ciche,

codzienne, są nastroje wzruszające do głębi, jest — co najważniejsze — piękno i prawda.

Mam najzupełniejsze wrażenie, jakoby człowiek ten niepospolity mógł lada chwilę zjawić się z harfą króla Dawida w ręku i rozdźwięczeć się hymnem wspaniałym. Boć kto zna życie rosyjskie lat kilku ostatnich, temu chyba nie będzie tajnem, iż człowiek, który w chwilach krańcowej negacji bytu przeciwstawić miał odwagę siebie, swoją pogodę i serce czyste złu, mnożącemu się wokól pospiesznie, że człowiek ten jest zjawiskiem nadzwyczajnem, jest promieniem słonecznym, nigdy nie gasnącym.

II.

Zwrot ów z opiewania, a raczej apoteozowania czynów zbrodniczych, nieodłącznych zresztą od każdego ruchu przewrotowego, można wybornie zauważyć w drobnej nowelistyce, pojawiającej się w czasopismach perjodycznych. Po hymnach pochwalnych nastąpiła konieczna reakcja, która była zresztą oddawna przewidywana. Społeczeństwo rosyjskie, upojone krwią, nacieszywszy się zniszczeniem, ujrzawszy jednak, iż wysiłki żywiołów przewrotowych zamiast polepszyć, pogorszyły tylko sytuację, ostygło w zapale niszczycielskim. W całem państwie zawładła niepodzielnie apatja. Polityką przestano się niemal zajmować. (Lata 1909 i nast.)

Przygnębiający ów nastrój umysłów nie pozostał też bez wyraźnego wpływu na literaturę piękną. Dla przykładu zastanowię się nad dwoma opowiadaniami, a mianowicie: W. Ropszina »*Koń biednyj*« oraz I. Surguczewa p. n. »*Sąsiadka*«. Różnica, jaka zachodzi pomiędzy oboma temi obrazkami jest znaczna, głównie z powodu wartości artystycznej, bo gdy w pierwszym czuć zmanierowanie,

drugi tonie w jakiemś cieple serdecznem i tętni żywo życiem. Obydwa one jednakowoż oddają to głęboko zakorzenione w społeczeństwie rosyjskiem zło, które przemienia młode dusze na indywidua pełne tragizmu.

Bohaterami obydwu obrazków są mordercy. Ale jakże daleko odbiegają oni od swojego prototypu, od pierwszego mordercy, jaki był na świecie — od Kaina!... Popełniają oni wprawdzie straszliwe czyny i zanurzają swoje, prawie dziecięce jeszcze ręce we krwi, ale też poto, ażeby za zrabowane przez nich cudze życie zapłacić bezzwłocznie własną krwią, życiem własnem. Na to, ażeby popełnić morderstwo polityczne, tracą całą siłę swego idealizmu, dając samych siebie na ofiarę, cały zapał i porywy czułego na ból cudzy serca. Przedewszystkiem atoli tracą sumienie, a z niem i poczucie różnicy pomiędzy dobrem a złem, co można było niemal codziennie obserwować w czasach gorączki rewolucyjnej. Ironja wypadków, ten wieczny Mefistofeles, przemienia w złoczyńców właśnie tych, którzy zło nienawidzą całą duszą, wszelkiemi jej siłami. I jak starożytny Brutus na miecz własny, tak w tym wypadku sumienie rzuca się samo na siebie i samo sobie śmierć zadaje, a z chwilą, gdy następuje zgon sumienia, cóż pozostaje przy życiu?...

W opowiadaniu p. t. *Koń biednyj* występuje Wania; który wolność i dostatki uważał za ideał Marty, nie zaś Marji, który przez całe życie wierzył w Chrystusa i w imię miłości, w imię tegoż samego Chrystusa... zamordował gubernatora. Przed straceniem, zanim go w mgle porannej zdławi sznur szubieniczny, pisze z więzienia następujące słowa:

»Spełniłem swój obowiązek... Myślę, że gdybym nawet uciekł, jednakowoż nie mógłbym żyć po tem, com uczynił«.

Spełnił swój obowiązek i zginął z tem niezachwianem przekonaniem, że mordu dokonał z miłości i z miłości oddał swoją duszę za swoich towarzyszy. Jakże politowania godna jest jego pewność, jego święta wiara w to, że Chrystus w miłosierdziu swojem przebaczy jemu grzech ogromny, ale grzech popełniony z miłości? Jakiż tu straszny zanik pojęcia zasadniczego o złem?!...

Albo owo dziewczę Erna, która skromny zasób wiadomości swoich z zakresu chemji zużywa na przysposobienie bomby dla gubernatora przeznaczonej, dla tego gubernatora, w którym, zdaniem jej towarzyszy, jak w »*Czerwonym kwiatku*« Garszynowskim, skupia się zło, jeśli nie całego świata, to w każdym razie Rosji przynajmniej tak, że mogłoby się chwilami zdawać, iż jest ona siostrą raczej Abla aniżeli Kaina. I ona odsłania swoją właściwą naturę nie wówczas, kiedy pracuje nad rtęcią piorunującą i materjałami wybuchowemi, lecz wtedy gdy pogrążona w smutku i rozpaczy jęczy w głos:

— Nie mogę żyć mordem, nie mogę!...

Wszystko to występuje na jaw nie tyle dzięki powieści p. Ropszina ile mimo jego woli. Co się tyczy powieści samej, stworzona została bardzo zręcznie, skoro zupełnie nieorganicznie, bez konieczności wewnętrznej, splata religję z rewolucją, gubernatora z Chrystusem. Ale też niepodobna zaprzeczyć, że w utworze omawianym daje się odczuwać najwyraźniej, iż przez usta swego bohatera przemawia autor. Znać tutaj wprawną rękę wyszkolonego technika literackiego, ale nie artysty. Bo np. żywioł romantyczny został zastosowany najfatalniej, w sposób grubo nieprawdopodobny. Wprawdzie autor zamierzył przeprowadzić go w inny sposób, ale zamiaru nie wykonał. Miał zaś na celu przedstawić rewolucjonistę rozczarowanego, człowieka,

którego serce podobne było raczej do pustyni, który jednakowoż porzuca politykę dla zwodniczego ogniska miłości, ale ostatecznie gasi je w sobie. Poszczególne sceny, (jak np. śmierć Erny; rewolucjonista Fiodor, zagrożony przez śmierć i przeczuwający ją »każdą kroplą krwi«; ajenci policyjni ścigający terorystów), jakkolwiek tętnią życiem, przecież nie są w stanie okupić niedostatków całości, jakie szpecą opowiadanie p. Ropszina.

Ale też tem więcej uwagi i zaznaczenia godne to, że fakt sam został uchwycony wiernie i z tej fabuły występuje przed nami fakt życiowy, mówiący sam za siebie, pomimo usterek uczynionych przez autora. Ponad manierą pisarską góruje prawda, owa gorzka i straszna prawda, której można dać imię: Abel zabójca...

Teraz zaś zatrzymajmy się nad obrazkiem p. Surguczewa p. t. »*Sąsiadka*«, obrazkiem pełnym serdeczności i prostoty naturalnej, a zarazem wysoce artystycznym, ile że strun lirycznych nie nadużywano w nim wcale.

W pokoju, który przedtem zajmował pijany i awanturniczy były artysta teatrów rządowych, a z którego nie bez żalu i współudziału sędziego musiał ustąpić, gdyż z zasady nie płacił komornego, zamieszkała teraz lokatorka. Dziewczę miało oczy, jak chabry bławatów, jasne włosy, miły głosik, tak że sąsiad student pomyślał sobie zaraz, że musi ona lubić wiersze, muzykę Griega i sztuki piękne. Była dla niego jakby świetlane zjawisko, to zaś, że za cienką drewnianą ścianą, oklejoną wypłowiałem obiciem papierowem, będzie mieszkało ładniutkie dziewczę, wzbudzało w nim równocześnie radość i trwogę. Zetknięcie się z dziewczęciem, które miało jasne jak len włosy i modre oczęta, nie przechodzi bez śladu. Młodzieniec był nie tylko studentem, ale

i poetą, to też zaczął układać wnet wiersze do swej miluchnej sąsiadki.

— W umyśle moim tworzy się cały obraz. Tam za ścianą siedzisz ty. Znam cię od dzieciństwa. Pokochałem ciebie. Tobie pierwszej i jedynej śpiewałem swe pieśni. Wszędzie widziałem tylko ciebie. I rosa i zorze i gwiazdy, wszystko to było tylko dla ciebie...

On był nie tylko studentem i poetą, on był nadto śpiewakiem. A że wyobraźnia rozbujała mówiła mu, że nieznajoma sąsiadka zapomniała o nim i kocha teraz tego basistę, który u niej siedzi w pokoju i o czemś zagadkowo z nią rozmawia, nie wytrzymał dłużej i skrzyżowawszy ręce na piersiach, zanucił:

Zapomnieć, jak księżyc w pełni
Na nas spoglądał przez okno...
Jak firanki cicho kołysały się
Zapomnieć tak prędko!...

Marzenia młodzieńcze domagają się urzeczywistnienia. To też student nie wytrzymał i poszedł zaznajomić się z sąsiadką. Stanąwszy na środku jej pokoju, zaczął mówić:

— Jesteście człowiekiem inteligentnym, a więc zrozumiecie. Zupełna samotność, zupełny brak znajomych. Miasto ogromne, masa ludzi, osób, a rozmawiasz tylko z Darjuszką (kucharką) i z Anną Siergjejewną. A tuż obok mieszka istota inteligentna, uczuciowa. Tak, myślę, zrozumie i przebaczy — i zdecydowałem się pójść do was. Przebaczycie? Tak?

Przebaczyła i prędko go pokochała, modrooka sąsiadka jego duszy. Nie mogła nie pokochać go, gdyż miała równie jak on młode i wrażliwe serce,

on zaś wszystko pojmował szybko, nawet pożałowania godne położenie samotnego Akima Isaakiewicza, który nie miał gdzie pójść, który gra na cytrze i po siódmym korektorskim dniu w drukarni marzy o tem, żeby się mu przyśnił sen rozkoszny, serenada Brahy, Schuberta... Ona nie mogła nie pokochać swego sąsiada — wszak on był serdecznym i inteligentnym młodzieńcem. W pogodną noc jesienną lubił patrzeć ku gwiazdom i dumać:

— Jakże ogromne i złożone jest życie! Ot, ludzie śpią — oni teraz są pozbawieni obrony jak trupy. Oni są szczerzy. U nich nie funkcjonuje mózg — mało życia. A niechaj tylko zaświeci słońce, oni nabrawszy w nocy tajemniczej siły, zezwierzęceją i będą się we dnie śmiali i przeklinali życie, które bądź co bądź mogłoby być przepięknem i szczęśliwem. Jakżeż różnorodnem jest z każdą chwilą życie ziemskie! Ludzie rodzą się. Umierają ludzie. Przewijają się podobni do robactwa. Płyną, jak łabędzie, parostatki. Na ołtarzach i w mogiłach ciemno. Są serca pełne trwogi i przeczuć, które uspokaja świeża, czysta, jesienna noc. Świeża czysta...

Sąsiad pokochał się z sąsiadką. W mroczne wieczory jesienne jeździli razem na wyspy, dopóki niebo teraz jeszcze błękitne nie zacznie przybierać koloru »przekwitłego, starego, kapiącego łzami oka«...

Modre oczy sąsiadki posmutniały. Jakaż to przemiana dokonywa się w jej duszy? Pokochała, tylko nie mówi całej prawdy. Słowa miłości wyrzekła w tę noc, w którą »z przeźroczego, kryształowego nieba sypał pierwszy wonny, suchy śnieg, tak podobny do młodocianej miłości, w tę noc, kiedy grzejąc zziębnięte palce dziewczęcia student powtarzał jak echo: »Moje miłe, znajome palce... moje drogie znajome palce..« Słów miłosnych ona nie

powtarzała i wyznawała otwarcie, że pragnie »p r o s t e g o, m a l e ń k i e g o, a l e t y l k o o s o b i s t e g o s z c z ę ś c i a«. Nie wspomniała tylko o tem, co stoi w poprzek drogi, wiodącej ku temu skromnemu ludzkiemu szczęściu, dlaczego jej jakby wstyd było tej miłości, dlaczego jej modre oczy powleka niegi- nąca łza?

Student czuł, że ją dławi i dusi »jakaś ogromna gethsemańska tęsknota«. I gdy mu szepce do ucha, że kocha jego jedynie, że on dla niej jest pierwszym i ostatnim kochankiem, to przed wymówieniem tego słowa »o s t a t n i«, robi nerwowo pauzę i łza pojawia się w jej oku, a równocześnie dają się słyszeć ciche, stłumione łkania. Dlaczegóż to jej serce rozdziera się na słowo — »ostatni«?... Czyż może student chce ją porzucić, a może przestał ją kochać? I dlaczego żegna się z nim wprost i mówi: »Tyś do matki podobny? to znaczy będziesz szczęśliwy«...

Z temi słowami na ustach, spojrzawszy u samego progu na sąsiada, wymówiwszy jeszcze tylko: »Żegnaj mój drogi, żegnaj mi!« odeszła razu pewnego i już więcej nie powróciła. A zamiast niej wtargnęli tłumnie policjanci, którzy oznajmili, że sąsiadka studenta nie nazywała się Marją Konstantynówną, lecz Olgą Piotrówną, z czego można się było domyśleć, że to ona dzisiaj zastrzeliła generała. Przetrząśnięto cały pokój i jeden z policjantów zadziwił się mocno na widok puszki z herbatą i cukru; przesłuchano gospodynię domu, zapewniając ją, iż niema powodu do obawy: »Nie mamy zamiaru wieszać was«...

Co jednak uczyniono z »sąsiadką«, z tą modrooką, jasnowłosą dziewczyną?

Autor nie mówi o tem ani jednem chociażby słówkiem. Tylko student, który przebył ciężką

chorobę i przyszedł do zdrowia aż na wiosnę, nie w Petersburgu, ale w swojem rodzinnem nadwołżańskiem mieście, student spoglądał na oświeconą słońcem głowę matczyną i nieraz myślał o »sąsiadce«: »Tak, teraz jej już niema; — ale przecież to bagatelka: niechaj jej nie będzie, przecież są na świecie mroki«... I on wyczekuje niecierpliwie zmroku, a gdy ciemność pocznie wlewać się do pokoju, wówczas widzi, że jak dawniej wieczorami przychodzi do niego dziewczę o złocistych, jasnych, jak len, włosach. Tylko modre jej oczy teraz wyzbyły się trwogi, a uzyskały coś świętego w swoim błysku. Toż mawia do niej nieraz:

— »Ty, ty, ty!... znowuś ty! Droga! Moje słońce, moje życie! Moja jedyna, moja największa radości!...«

Ale gdy mroki stawały się coraz gęstsze i w pokoju ciemność ogarnęła wszystko, wchodziła z lampą w ręku siwa matka-staruszka. Wówczas sąsiadka nie siadywała na pościeli i tylko gestem ręki posyłała kochankowi pocałunki. On jednak nie odpowiadał na nie, myśląc w cichej zadumie:

— »Przecie nie mogę odpowiadać pocałunkami przy mamie! To też uśmiecham się do niej cicho i radośnie i jednym szeptem ust mówię o miłości... a radość taka tryska ze mnie, że — koniec końców, zamienia się w śmiech; taki maleńki, taki cichy, że wprost dziwię się, jakim sposobem może go zauważyć mama«.

Daleki jestem od pretensji, ażeby streszczenie to, przeładowane z umysłu cytatami, mogło wyczerpać cały smutek, oraz dać pojęcie należyte o artyzmie, plastyczności i humorze mimowolnym, które to cechy przeglądają z każdej stronicy opowiadania.

Ale już samo to, co zostało wyżej naszkicowane, wywołuje myśl o niewinnych mordercach.

Dziewczęciu z modremi oczyma tłumaczył nieraz ów basista, o którego był tak zazdrosny student, że jej oczy i prześliczne gęste włosy wzywają ku szczęściu, ku radości, wołają do życia, — a nie należy zapominać, że wokół rozścielała się zżółkła, zgniła jesień, nie wiosna kwitnąca. I chociaż dziewczę pragnęło namiętnie szczęścia pod tym dachem, który na krótko przed urodzeniem jej i jej sąsiada ktoś zrobił, ażeby oni poznali się i pokochali tam, (tak prawił jej student-poeta), — przecież ona posłuchała nie jego, nie kochanka, lecz swojego surowego gościa — i na jego zlecenie oddała pokornie swoją młodość i miłość i modre oczęta na ofiarę Minotaurowi społeczności rosyjskiej, który wiele młodzieńczych ofiar wciągnął w swój straszny, bez wyjścia labirynt i tych, co dyszeli miłością, przemienił w morderców. Oni modlą się, żeby ich ta czara minęła, modlą się w smutku »gethsemańskim« pogrążeni. Ale nie śmieją wierzyć, że mają prawo do »prostego, maleńkiego, osobistego szczęścia«. Im tego nikt nie powiedział, a przecież oni mordują, umierają, gubiąc drugich i siebie, niejako, rzecby można, Able, stworzeni na obraz i podobieństwo Kainów... Z nimi postępują, jak z Kainami, to też już nigdy nie powróci do sąsiada jasnowłose dziewczę.

A kto wie, czy Ten, Który pierwszy w niezapomnianą noc doświadczył zwątpienia w ogrodzie oliwnym, czy On nie uniewinni dziewczęcia, wiedząc, że niemasz większej męki od tej, jaką przejść musiał Abel-morderca...

III.

Należy jednakowoż wyznać bez ogródek, że do zupełnego odrodzenia moralnego w najmłodszej literaturze rosyjskiej, zostającej jeszcze ciągle pod

wpływem atmosfery, zatrutej zgnilizną pseudo-rewolucyjnych pozostałości, — jeszcze wcale daleko.

Czyżby śladami Gorkiego?!... wyrywa się z ust mimowoli pytanie, skoro otworzymy na chybi trafi książkę B. Werchnieustinskiego (»*Razskazy*«, tom I. Petersburg, 1912, str. 326), a wyczytamy:

»Pierwszy rozebrał się mężczyzna. Ciało jego było silne i smukłe... Rozebrawszy się do naga, pomógł kobiecie, całkiem chuderlawej kobiecie«...

Kiedy zaś kobieta weszła do wody, »Wilczek ujrzał prześliczne, białe, połyskujące ciało«. Gdyby na okładce książki nie widniało nazwisko autora, możnaby przypuszczać, że jest to utwór Gorkiego z pierwszego okresu jego twórczości, kiedy to on szkicował bohaterki w rodzaju »Malw« i tym podobnych kobiet.

W innem znowu opowiadaniu, w »*Idylli*« przedstawiono nam człowieka, który, celem zdobycia dla siebie i swojej towarzyszki życiowej utrzymania, postanawia »stać się odważnym i krwawym«. Przysłuchuje się wilczemu wyciu zawieruchy i zdaje mu się, że ono »śpiewa o wilku, który zakochał się w wilczycy«...

Motyw również w dostatecznej mierze na wzór Gorkiego.

Bohaterami opowiadania, jakiem kończy się książka, są »uświadomieni« robotnicy. Jeden z nich marzy o zdziałaniu »czegobądź na pożytek ogółu«. Potem może nawet umrzeć! Inny bohater powieści kocha młodziutką dziewczynę, ale nie waha się zaproponować jej bez ogródek:

»Będziemy iść razem aż do grobu... ale ślubu brać nie potrzebujemy«.

Przyjaciel zaś ich Kuźma, widząc, jak się znakomicie urządzili, »idzie gwiżdżąc i myśląc wesoło: »Dobre to życie, ludzie się porozumieją«...

Toć to już Gorkij dni ostatnich!...

Wpływ tego, który aureolą bohaterstwa otoczył włóczęgów bezdomnych, przewija się, jak nić czerwona, przez książkę wspomnianą. Ba, widoczny jest nawet w tytułach nowel!...

I, jak zawsze, nie zapomniano o zohydzeniu Polski... Bo chyba najbardziej nieudałem jest opowiadanie o polskiej dziewicy Rogniedzie, która pokochała mężczyznę o »promiennych oczach« i ostatecznie musi usunąć skutki swojego chwilowego szału karygodnym zabiegiem lekarskim.

Na ogół biorąc współczesna dusza twórcza rosyjska dąży ku zagadnieniom anormalnym, patologicznym. Charakterystyczną w tej mierze jest Tamara p. G. Jabłoczkowa (*Razskazy*, tom I. Petersburg. 1912, str. 296), która mimo trzynastu lat zaledwie ma już za sobą »historje miłosne ze wszystkimi młodymi kuzynami«. Skutek ich ostateczny? Tamara zostaje prostytutką, »ma bogatych ludzi, którzy ją utrzymują, ale stopniowo traci wszystko«.

W innem opowiadaniu zaznajamia nas autor z Justyną Szyniawską, u której »zdarzyła się jakaś zawiła historja w przeszłości, ktoś niespodziewanie zastrzelił się, na którego grób Justyna chodzi stale«.

Równie zwyrodniały jest — w opowiadaniu p. t. »*Operacja*« — chirurg, którego »upajało ciało zupełnie gotowe do operacji«. Nie mając sił do zwalczenia pokusy, przeprowadza na młodej dziewczynie ryzykowną operację, z powodu której ona umiera. Do sfery patologicznej należy również mechanik Parfenow, z parostatku »Gwiazda«, tonący razem z okrętem, oraz garson Franz z »Nocnej kawiarni«, który zapałał niewczesnym afektem ku jednej ze stałych gości kawiarnianych.

Niema wprost w całym tomie opowiadania, w którem brakłoby, albo własnowolnej, albo gwał-

townej śmierci, bądź też sensacji mniej lub więcej skandalicznej.

Obie te książki nie stanowią bynajmniej wyjątków w literaturze współczesnej rosyjskiej, bo społeczeństwo całe znajduje się nie od dzisiaj na pograniczu psychologji i patologji seksualnej. I cóż tu mówić o artyzmie?!...

Ba, nawet pióra kobiece nie powstydziły się poszukiwać laurów w tego pokroju beletrystyce, jak o tem świadczy dowodnie »*Ania*« p. E. Nagrodskiej (Petersburg 1912, str. 192). W danym wypadku fakt sam przedstawia się o tyle smutniej, ile że autorka narobiła kilka lat temu sporo hałasu swoim romansem p. t. »*Gniew Djonizjosa*«, nie tyle dzięki jego zaletom artystycznym, ile dlatego, że temat w nim poruszony zgadzał się z będącemi wówczas w modzie niektóremi nastrojami społecznemi.

W »*Ani*« widoczne jest poszukiwanie gorączkowe niezwykłych sytuacji, wszystkie te jednakowoż usiłowania są bardzo słabe i nieudolne. Ania jest córką człowieka, który zagmatwał się w swoich sprawach finansowych skutkiem awanturek miłosnych. Od krachu ratuje go pewien adwokat, który wszelako skupił jego weksle z nienawiści ku niemu i z miłości beznadziejnej ku Ani. Ania, prawie popychana ku temu przez rodzonego ojca, udaje się do owego adwokata, ażeby wyprosić u niego wydanie kompromitujących jej ojca dokumentów. Adwokat zgadza się dać jej po jednym wekslu każdym razem, ilekroć ona przyjdzie do niego i odda mu się cała bez zastrzeżeń. Po długim szeregu takich wizyt Ania, rozczarowana co do swojej rodziny, dla której poniosła tak ciężką ofiarę, niedoznawszy wdzięczności ani współczucia, zaczyna odczuwać coś w rodzaju miłości do swojego »właściciela«.

Widocznie sama autorka wyczuła fałsz leżący w problemie swojej powieści, skoro nazwała ją »melodramatem rodzinnym«.

W drugiem nieporównanie obszerniejszem opowiadaniu p. t. »*On*«, przedstawia autorka miłość dziewczęcia, mieszkającego w Petersburgu, które zakochało się w pewnym »magu«, co zachował wieczną młodość. Mag wszelako mieszka aż we Włoszech! To też początkowo schadzki dokonywają się jedynie pomiędzy »ciałami astralnemi, zakochanych, ale ostatecznie mag ułatwia pannie zrealizowanie marzeń, a zarazem podróż do Sorrento.

Widocznie opowiadanie powyższe jest wynikiem oczytania się przez autorkę w romansach okultystycznych. Ostatnie dwa opowiadania, zawarte w tym tomie, nie odznaczają się niczem uwagi godnem, tak są naszpikowane »pikanterją«, od której zachowaj nas Boże!

Dla obdarowanych małym talentem pisarzy w tematy istotnie godne roztrząśnięcia, głębokie problemy stają się faktyczną ich zgubą. Tutaj bowiem okazuje się dopiero w całej pełni ich twórcza słabość, niski lot ich fantazji, wreszcie ograniczoność ich rozpędu.

Nowy romans Wł. Lenskiego p. t.: »*Pieśń krwi*« jest dokumentalnym dowodem na to, co wyżej powiedzieliśmy. Dopóki nie wykraczał poza granice liryki, był jeszcze możliwy. Ale teraz zachciało się mu zyskać sławę wielkiego pisarza, traktującego o sprawach odwiecznych — i odrazu okazała się lichota cała jego talentu.

Tematem powieści: nierównomierna walka o duszę i ciało ładnego chłopca dwojga kobiet, z których jedna jest wcieleniem namiętności i grzechu, druga zaś czystości i niewinności; walka i chwiejność w duszy tego młodzieńca, to dźwigającego się z upadku

to znowuż pogrążającego się w bezdeń upadku, w odmęty namiętności; końcowe zwycięstwo ciała, krwi, nad lepszemi dążeniami duszy ludzkiej, nad platońskim Erosem i upadek fizyczny i moralny tego młodzieńca — oto zasadnicze momenty kompozycji tej powieści, w której autor starał się ponowić stary, ale wiecznie nowy problem o walce, na punkcie stosunków seksualnych, dwu zasad: grzechu i czystości, ciała i ducha.

Ależ, jak beznadziejnie szablonowy jest on w swoich dociekaniach! W ustępach lirycznych słyszymy echa naśladowcze Rodenbacha, w tych zaś, w których wybucha lawa namiętności, Catulle Mendesa. Ton wszelako ogólny przepojony jest nawskróś krzyczącemi efektami, niespodziewanemi zajściami, wreszcie gadulstwem nudnem do niemożliwości. Język zaś, którym się posługuje, równie szablonowy i bezbarwny, jak wyprowadzeni przez niego na scenę aktorzy, ich uczucia i myśli.

Wszystko wskazuje na to, że p. Lenskij napisał swoją rzecz nie dlatego, ażeby spowodowała go do tego organiczna konieczność wypowiedzenia się. Stąd też cała jego naiwna kompozycja jest prymitywna po dziecięcemu, główną zaś rolę gra w niej przypadkowość, swego rodzaju »*deus ex machina*«, który pojawia się tutaj na zawołanie każdym razem, skoro tylko akcja zwalnia w biegu, co zresztą zdarza się bardzo często.

Że też poza rozpętaniem płciowem Rosja współczesna nic nie zdolna jest dojrzeć?... I że sobie nie zada pytania, dokąd ją te rozszalałe zmysły zawiodą?...

Szkoła rosyjska
w dobie zawieruchy konstytucyjnej.

Garść wrażeń z lat 1906—1908.

Teatr pani Kommisarzewskiej wystawił »tragedję dziecięcą« p. t. »*Przebudzenie wiosny*«, tragedję nie dla dzieci zresztą przeznaczoną. Sztukę spotkało powodzenie nadzwyczajne. Sala była wyprzedana na kilka przedstawień naprzód.

Ale te tłumy ojców i matek, co z drżeniem serc patrzyły na wulkaniczne przejawy dusz dziecięcych, zapomniały, iż u nich, w murach ich pomieszkań, rozgrywają się, bodaj że nie codziennie, takie same a może w niektórych wypadkach nawet większe groźniejsze tragedje. Tłum pozostał ślepy, jak stado kretów. Zwyczajnie — jak tłum.

Strach pomyśleć, jaką to głęboką tajemnicą otoczona jest dusza własnego dziecięcia, które, zdawaćby się mogło, znamy równie dobrze, jak swoich pięć palców, które widzimy prawie ciągle przed sobą, za które gotowiśmy ręczyć własną głową! A tymczasem wprost nie do uwierzenia jest właśnie to, co wydarza się w rzeczywistości, jak mądrze wyraził się jakiś mędrzec, którego nazwiska dziś już nie pamiętam.

Częstokroć najzupełniej przypadkowo rodzice dokonują zupełnie niespodziewanego odkrycia, i to takiego, o jakiem im się nie śniło przenigdy!..

Dzisiaj, naprzykład, ojciec znalazł list swego 12-letniego syna, pisany do jakiejś »drogiej Emmy«, niewątpliwie rówieśniczki:

— »Będę pisywał do ciebie listy pokryjomo«, — brzmiał początek. »Będę pisywał, bo bez ciebie życie mi niemiłe, boś ty dla mnie wszystkiem«...

* * *

Lekarsko-policyjny wydział ministerstwa oświaty ogłosił niedawno sprawozdanie, zawierające daty statystyczne o samobójstwach, usiłowanych lecz nieudałych samobójstwach, oraz wypadkach nieszczęśliwych, jakie zaszły w ciągu roku 1906 pośród uczącej się młodzieży w zakładach, pozostających pod zarządem wymienionego ministerstwa. (W Rosji szkoły rolnicze pozostają w zawiadywaniu ministerjum rolnictwa, szkoły handlowe w zawiadywaniu ministerstwa handlu i przemysłu, górniczemi zarządza departament górniczy i t. p., na co śmiem zwrócić uwagę).

Ogólna liczba samobójstw i wypadków nieszczęśliwych wyraziła się w cyfrze 180 ofiar, w czem było: samobójstw 62, zamachów samobójczych 26 i wypadków nieszczęśliwych 92, z tych ostatnich 52 zakończyły się wynikiem śmiertelnym. Zadowolę się samemi datami. Wnioski nasuną się same.

Wedle kategorji — największa liczba samobójstw przypada na szkoły średnie, na uczniów w wieku 16—18 lat.

Z pomiędzy środków, użytych do pokończenia rachunków ziemskich, większość młodocianych samobójstw dała pierwszeństwo broni palnej. Dopiero potem następuje śmierć przez powieszenie się lub zażycie trucizny. Skąd ci nieletni przyszli w posiadanie rewolwerów, o tem raport milczy...

Powody samobójstw były możliwie różnorodne. Niektóre z listów, ogłoszone drukiem, w rzeczonem sprawozdaniu, dają jaskrawe wyobrażenie o tym dramacie, jaki rozgrywał się w duszy ucznia lub

uczennicy, zdecydowanych na uczynienie takiego rozpaczliwego kroku.

Nie mogę wprost powstrzymać się od przytoczenia urywków najbardziej charakterystycznych z całego mnóstwa tych smutnych dokumentów.

Wychowanek szkoły miejskiej pisał, pisał zaś, licząc zaledwie czternaście lat życia beztroskliwego, wygodnego:

— »Mnie za darmo wypędził inspektor klasowy i dlatego powiesiłem się! Za nic wypędził moją duszę na tamten świat!«...

Uczeń VIII klasy gimnazjalnej, zabierając tajemnicę swojej śmierci ze sobą do grobu, pozostawił na świstku papieru następujące słowa:

— »Boże! jakże ciężko, jak ciężko umierać wiedząc, że skoroby się żyło, możnaby w życiu zaznać wielu przyjemności, możnaby znaleźć jeszcze szczęście«...

Głębokiem rozczarowaniem tchnie list gimnazjalisty, ucznia również VIII klasy, który skarży się po raz ostatni:

— »Umieram dlatego, że nie widzę celu ani sensu w życiu. Umierając, nienawidzę ludzi. Wybaczcie, że zastrzeliłem się w gimnazjum. Z niektórych powodów było to dla mnie wygodniejszę. Żegnam »towarzyszów anarchistów«. »*Finita la comedia!*«

Jedna z uczennic zastrzeliła się tylko dlatego, że kupiła u jakiegoś włóczęgi znaleziony przez niego na ulicy rewolwer!...

Tego rodzaju notatek napotykamy tu sporo a wszystkie one przedstawiają ogromne znaczenie zarówno dla medycyny, jak i dla pedagogiki, a przedewszystkiem dla psychiatry »narodu« rosyjskiego!

* * *

— Zagraniczne wydanie utworu pana Barkowa p. t. »*Grzechy pierwszej nocy!*« Cena 5 kopiejek!...

— Pozwólcie, wasze...! Ostatni egzemplarz najmodniejszej książki! Tanio, a ładna książka!... Utwory pana Barkowa!...

— »*Między jubkami!*«...

Takie i tym podobne wykrzykniki można usłyszeć na wszystkich przecznicach prospektu Newskiego — rano, w południe i wieczorem, o każdej porze roku. Widocznie — handel idzie dobrze i stale. Gdzie? W samem centrum Petersburga, na bulwarze Newskim, na ulicy pryncypalnej.

Trzeba zaś wiedzieć, że bulwar Newski jest największą ulicą Petersburga, na której rozsiadły się gęsto męskie i żeńskie zakłady naukowe. I kiedy chłopaczek 12-letni, lub będąca w tymże wieku panienka powracają ze szkoły do domu, do uszu ich dochodzą natarczywe wołania:

— Utwory pana Barkowa!... Erotyki!... zagranicznej edycji... Sensacyjne *à la Boccacio!*... Tanio, bardzo tanio!...

I oto 12-letni malec, w ciemno-szarej bluzie i zarumienionemi od słońca wiejskiego licami, zaintrygowany został głośnemi wykrzykami, zalecającemi nieznany mu dotąd towar. I w dodatku jakież — bo tytuły tajemnicze?... Jakie wyszukane?... Byle tylko podrażnić imaginację!

— »*Grzechy pierwszej nocy!*«...

On po raz już dziesiąty, z dnia na dzień, słyszy te okrzyki i jego ciekawość, dotychczas drzemiąca, rozbudzona została przez łobuzów ulicznych. To też wnet uczeń wciska w rękę tego ulicznego kolportera i krzewiciela nowych prądów w literaturze piętnaście kopiejek, przeznaczonych na ołówki kolorowe lub farby, któremi miał pomalować za powrotem do domu kity piór na obrazkach, przedstawiających żołnierzy.

— Dla mnie wszystkie trzy książki!... Tylko prędko!...

— I »*Między jubkami*« także?... — szepce z uśmiechem kolporter, zadowolony z gościa, który zapłaci w trójnasób bez targu.

— Tak, wszystkie trzy!... wszystkie trzy!... tylko prędko, żeby kto nie zobaczył, — nie daj Bóg!... No... nareszcie...

I zamiast uważać w szkole, obiecujący chłopaczek pogrąża się cały w lekturę wspomnianych »utworów«, a pochłonąwszy je z chciwością, którejby mu pozazdrościło najżarłoczniejsze zwierzę, pożycza dalej kolegom. Później zaś kształci się na nich jego 14 letnia siostra, jej koleżanki i t. d.

Złe nasiona zostały już rzucone na żyzną glebę, to też niewątpliwie wydadzą plon obfity. Przecież z ziarna ostu nie wyrośnie nic innego, jak tylko oset! A za kilka tygodni malec kupi sobie jeszcze kilka książeczek analogicznej treści, a potem i kartki »ilustrowane«, objaśniające niezrozumiały jeszcze dla niego tekst »wielkich« utworów pana Barkowa. A za kilka tygodni to dziecko będzie spoglądać zupełnie innym wzrokiem na pokojówkę zaścielającą rankiem jego łóżeczko... Tak!... obudzi się w nim zwierzę, zwierzę nierozumne!...

* * *

Z początkiem roku szkolnego przyszła do mnie pewna znajoma pani ze łzami w cudownych oczach i piersią falującą z irytacji krańcowej:

— Na miły Bóg! proszę mi dopomóc. Jak panu wiadomo, mam syna. Chłopiec ma już jedenaście lat. W roku zeszłym chorował i dlatego nie mogłam zapisać go do gimnazjum. A teraz — powiadają — wszędzie komplet. Cóż mam począć?... co począć?... czyż ma próżnować w domu rok cały?...

I zalała się łzami serdecznemi, bynajmniej nie dla wywołania efektu. Wiedziała zresztą o bezskuteczności łez wobec mnie.

Ale nie było sposobu na zadośćuczynienie prośbie matczynej. Co znaczy bowiem jej ból wobec wyraźnego brzmienia ustawy? Pomimo to usuwam zupełnie z pod uwagi ból matczynego serca. Natomiast kładę na jednę szalę ustawę, na drugą zaś... cyfry. Niechaj one przemówią!...

W całym Petersburgu mamy 13 gimnazjów, 3 szkoły realne, 1 gimnazjum okręgowe i 8 prywatnych zakładów naukowych, t. j. 25 średnich szkół nie wliczając naturalnie do ich cyfry korpusów kadeckich, te bowiem przeznaczone są dla wybrańców i to nielicznych.

Pomnożywszy komplet przez 25, w rezultacie otrzymamy 1000 dzieci. Dodajmy jeszcze do tej cyfry połowę, na tej podstawie, że w wielu średnich zakładach naukowych są klasy równorzędne. I w tym najidealniejszym wypadku, jaki sobie można pomyśleć, do rządowych i prywatnych gimnazjów petersburskich mogło uczęszczać jedynie półtora tysiąca dzieci Na półtora miljona ludności — półtora tysiąca dzieci... Anomalja rażąca chyba?...

Pamiętajmy, że fakt ten zdarzył się w owym czasie, gdy kwestja o konieczności dania jak najobszerniejszego wykształcenia masom może być wątpliwą jedynie dla przedstawicieli czasów Oczakowskich i zdobycia Krymu... W Europie bowiem inaczej na tę kwestję zapatrują się aniżeli w Rosji...

Półtora tysiąca szczęśliwców i co najmniej 6000 pokrzywdzonych! Oto co położę na szalę wagi zamiast rozpaczy matczynej!

A teraz — proszę pozwolić, że zastanowię się nad tą sprawą z innego punktu widzenia:

Ustawa, normująca komplet uczniów, wychodzi z zupełnie pewnych danych hygjeny i pedagogiki. Czterdziestu uczniów w klasie, — hygjena dopuszcza.

O ile w pamięci zostały mi zasady hygjeny — to w nich niema mowy o konieczności nie większej nad 40 liczby uczniów w jednej klasie. Natomiast hygjena wystawiła szereg żądań w rodzaju: ilości metrów kubicznych powietrza na każdego ucznia, siły światła w klasie itp.

I śmiem twierdzić, że ani jeden zakład naukowy petersburski nie odpowiada dwu ostatnim żądaniom hygjeny. Ba, pójdę nawet tak daleko, że zgodzę się, iż co się tyczy punktu pierwszego, — stosunek między teorją a praktyką jest normalny. O większą lojalność chyba trudno!...

»Komplet« nie usunie niedomagań fizycznych, bo szkoły petersburskie nie stoją w głębi sosnowego lasu, jak pobliskie gimnazjum w Siestroriecku, lecz nad woniejącymi kanałami, których odorom przychodzi z pomocą dym, wydobywający się z licznych kominów fabrycznych, okalających stolicę ze wszech stron. W takiem powietrzu konie stają się dychawiczne, nie dopiero ludzie i tak z powodu warunków klimatycznych mało odporni.

Pozostają tedy dane z pedagogiki, na którą Rosjanie w teorji gotowi przysięgać zupełnie tak, jak na ewangelję:

— »Z czterdziestu uczniami może nauczyciel wydołać, ze czterdziestu jednym — nie potrafi« !...

Toż to czysty empiryzm, przyciągnięty bez ceremonji za uszy! Nauczyciel-o b y w a t e l poprowadzi z dodatnim rezultatem nawet sześćdziesięciu uczniów. Nauczyciel-c z y n o w n i k zwichnie, nawet choćby dwudziestu miał w klasie tylko!... Tak!.. niewątpliwie zwichnie!...

* * *

A że fakta tego rodzaju były chorobą chroniczną, powtarzającą się z każdym nowym rokiem szkolnym, więc rozległy się skargi na ministerstwo oświaty, że nie mogąc samo utrzymać potrzebnej ilości szkół, wydaje z wielkiemi trudnościami koncesje na otwarcie średnich szkół prywatnych.

Opinja publiczna zdziałała swoje i początkowo ministerstwa handlu i przemysłu oraz oświaty zaczęły hojną dłonią rozdawać koncesje na otwieranie szkół prywatnym przedsiębiorcom. Szkoły zaczęły róść, jak grzyby po deszczu. W ciągu dwu lat liczba prywatnych szkół średnich urosła z 20 do 150. Wystarczy, jeśli nadmienię, że samych tylko szkół handlowych było w danym czasie ponad 40! Więcej nie potrzeba...

Zrozumiałem, iż razem z rozwojem przedsiębiorczości prywatnej pojawiły się rozmaite, że delikatnie je nazwę, szacherki, jak handel dyplomami i t. zw. »prawami« itd. Na tej podstawie wypłynęły na wierzch nowe nazwiska osławione aż nadto swoją »przedsiębiorczością« w świecie pedagogicznym.

Jeden z takich przedsiębiorców utworzył coś w rodzaju towarzystwa akcyjnego, założył za pieniądze tą drogą zebrane szkołę handlową swojego nazwiska i wydawszy mnóstwo dyplomów, sprzedał je za 50 tysięcy rubli. Obecnie tenże energiczny pedagog otworzył »szkołę realną z prawami szkół rządowych«, z opłatą za naukę bez konkurencji. A i z reklamą nie krępował się wcale. Reklamuje się buty, dla czegożby nie można reklamować szkoły?...

Nie krępowali się też inni. Oto jeden z pedagogów zaleca swój zakład dla tego, że w domu, mieszczącym go, mieszkał ongi znany krytyk Bieliński!... O wiele więcej pomysłowym okazał się

niejaki pan Senigow, który zmienił swą szkołę handlową w biuro stręczeń. Jak mógł się spodziewać — autorytet pedagoga zwabił lekkomyślną publiczność. Przedsiębiorczy pan »dyrektor« zabrał więcej niż 40 tysięcy kaucji i znikł, jak kamień do wody rzucony.

Są też przedsiębiorcy w wielkim stylu, jak np. p. Jurgenson, który ma w stolicy aż 11 zakładów naukowych najrozmaitszego typu: handlowych, technicznych, ogólnokształcących gimnazjów i szkół realnych. Pan Jonson znowu posiada tylko cztery szkoły: realną, handlową, kursa buchalteryjne oraz ogólnokształcące. Czyż trzeba jeszcze więcej?!.. A przytoczyć mógłbym ich jeszcze dziesięciu conajmniej.

Być może, że sprawa wykształcenia stanie się w krótkim przeciągu czasu swego rodzaju przemysłem. Tem więcej, że sprawa wykształcenia zakrawa na żart z punktu widzenia przedsiębiorców. Najął mieszkanie, kupił kilkadziesiąt ławek, pobrał wpisowe od uczniów i — na tem koniec!

I co ostatecznie dają uczniom wszystkie te szkoły prywatne »z prawami«? To zależy od tego, czy ministerstwo oświaty pośle swego delegata na egzamin? Pośle i egzamin wypadnie zadowalająco, — uczniowie otrzymują »prawa«, nie pośle — uczniowie zostaną z niczem. Ale też może zdarzyć się, że delegat okaże się wymagającym, skutkiem czego egzaminowani »przepadną«. A wówczas — bądźcie zdrowe prawa!

* *
*

Dość powiedzieć, że sami Rosjanie potępiają surowo panujący obecnie system szkolny. — Oto były minister oświaty hr. Tołstoj zamieścił w *Słowie*

petersburskiem obszerny artykuł p. t.: »Państwo i szkoła«. W artykule tym ex-minister w sposób stanowczy i energiczny potępia dążenie rządu do zabarwienia wykładów szkolnych swojemi tendencjami politycznemi. Pozwolę sobie na zacytowanie w dosłownym przekładzie wyjątków z tego wyjątkowego artykułu:

— »Będąc przeciwnikiem »rewolucji« wszelkiego wogóle gwałtu, dlatego właśnie twierdzę, że oświata w Rosji wtedy dopiero wejdzie na odpowiednią i zbawienną drogę, kiedy ministerjum, kierujące nią i powołane do troszczenia się o nią, będzie *sit venia verbo*, odseparowane od »polityki«, gdy przestanie być czynnikiem oddziaływania politycznego, uniknie niebezpieczeństwa kurateli ministerstwa spraw wewnętrznych, a w szczególności — departamentu policji.

— Weźmy pierwszy z wymienionych przezemnie celów: zrusyfikowanie za pośrednictwem szkoły pierwiastków nierosyjskich. Czy jest to możliwem, wbrew woli samego dziecka i rodziców? Przecież — jeżeli Polak, Niemiec, Gruzin kocha swoją narodowość i zna cel szkoły — przerobienia ich synów na Rosjan, czyż nie będzie walczyć wszelkiemi sposobami z tem, wpajając w dzieci miłość do swojego, z uszczerbkiem dla rosyjskiego? Niechaj czytelnik rosyjski postawi się w ich położenie i wyobrazi sobie Rosję podbitą przez Polaków lub Niemców; czy nie postępowalibyśmy tak samo, jak oni?... Przypomnijmy sobie także, iż ideałem rusyfikatora za pośrednictwem szkoły jest niemożliwość bez szkody dla Polaka lub Niemca uczyć się w polskiej lub niemieckiej szkole i konieczność uczenia się w rosyjskiej.

— Wynik stąd może być tylko jeden: »inorodziec« zdobywa w szkole rosyjskiej wiedzę, potrze-

bną mu dla jego działalności praktycznej w Rosji, lecz nie tylko nie przestaje być, dzięki wpływowi rodziny z jednej strony i obrażonej osobistej godności narodowej — z drugiej »inorodcem« lecz uważa Rosję za gwałcicielkę, rozłączającą go z narodowością, do której należy.

— Teraz weźmy inny przykład: obok szkoły »inorodców« istnieje druga szkoła — rosyjska, nie mająca celów rusyfikacyjnych, lecz doskonale zorganizowana pod względem pedagogicznym, dająca wiedzę bez żadnych postronnych przymieszek. Uczęszczający do niej »inorodziec« pozostając synem swej narodowości, nie zdradzając jej, nie tylko chętnie będzie uczyć się języka rosyjskiego, ale nawet pokocha szkołę rosyjską, a z nią i Rosję, nie dla tego jednak, że szkoła chciała zrobić z niego Rosjanina, lecz tylko dlatego, że jest dobrą szkołą i skutkiem tego nie można było jej nie pokochać.

— Do szkoły rosyjskiej pójdą chętnie na kresach wtedy, kiedy nie będzie miała celów politycznych, lecz będzie pożyteczną ludności miejscowej, szanując przytem jej odrębności, wprowadzając do swego programu dokładną naukę języka miejscowego, a nawet historji i geografji. Wtedy, tylko wtedy szkoła, bez z góry powziętego planu, lecz faktycznie z czasem, kiedy uciszą się namiętności, może odegrać rolę polityczną, pojednawczą między kresami a centrum.

— Przejdźmy teraz do drugiego celu narzuconego szkole: stworzyć obywateli konserwatywnych. Lecz czyż trzeba dowodzić, że wprowadzanie do szkoły polityki jest rzeczą szkodliwą i że zajmowanie się polityką w szkole jest niepożądane pod względem państwowym.

— »Celem szkoły, każdej szkoły, powinno być przedewszystkiem dawanie nauki i koordynując ten

cel, nauczanie samodzielnego myślenia, a przez rozwijanie tkwiących w dziecku lub młodzieńcu zdolności, zrobienia z niego przedewszystkiem nie obywatela, lecz myślącego, humanitarnego i wykształconego człowieka. Można być pewnym, że z takiego człowieka powstanie z czasem obywatel, choć może nie według recepty tej lub owej partji politycznej.

— Na to trzeba jednak przedewszystkiem, by szkoła była dobra, ażeby cieszyła się szacunkiem: społeczeństwa, rodziców, jako też uczniów. O taką szkołę będą dbać wszyscy, będą jej strzec, lecz tylko w tym wypadku, jeżeli będą pewni, że szkoła zajęta jest wyłącznie swem wielkiem dziełem kształcenia człowieka, a nie postronnemi dążeniami, zmierzającemi do dogodzenia komuś, przypodobania się, pozyskania uznania z góry. Wtedy i surowość i żądanie koniecznej karności szkolnej będą zrozumiane i poparte przez społeczeństwo ponieważ ono będzie strzegło swej rodzinnej szkoły, niezbędnej dla niego samego, dla jego dzieci, nie zaś dla tych lub owych administratorów, dla dopięcia takich lub owakich idei rządowych lub państwowych bardzo może zacnych i pożytecznych dla samego społeczeństwa, ale dla niego albo bardzo mało zrozumiałych, albo bardzo często wrogich jego własnym usposobieniom politycznym«.

Następnie hr. Tołstoj zarzuca ministerstwu oświaty politykę antysemicką w szkole, polegającą na ograniczeniu procentu dzieci żydowskich w szkołach, utrudnianiu im wstępu do uniwersytetów oraz innych wyższych zakładów naukowych

— »Ta judofobska polityka w szkole — pisze hr. Tołstoj — była jedną z przyczyn zarówno jej demoralizacji, jako też zdyskredytowania, jako jawny i niezaprzeczony dowód jej serwilistycznej roli

w wewnętrznej polityce państwowo-policyjnych funkcyj«.

Uwagi swe o szkole rządowej rosyjskiej zamyka były minister oświaty następującemi słowy:

— »Przed przystąpieniem do reformy szkoły od góry do dołu, należy przedewszystkiem uznać ją za narzędzie nieodpowiednie dla celów policyjno-politycznych, należy przywrócić jej bezpośrednie zadanie: nauczania i wychowania; należy dążyć do wychowania za jej pośrednictwem nie obywatela lecz człowieka. W ten sposób przystąpieniem do reformy szkoły, według mego głębokiego przekonania, powinien rząd przedewszystkiem wyrzec się niefortunnej myśli zrobienia tej szkoły krzewicielką jego polityki rządowej i zająć się sprawami oświaty ludu, jako swojem obowiązkiem wobec ludności państwa, t. j. dać jej możność rozwijania swych zdolności, dzięki wiedzy i racjonalnemu wychowaniu. Bez tego — żadne najlepsze reformy nie dadzą dobrych rezultatów, a tylko zdyskredytują te ulepszenia, które mogą i powinny być wprowadzone do tej ważnej i niezbędnej pracy państwowej. Karność w szkole jest niezbędna, może być nawet surową, lecz zawsze powinna mieć na względzie cele pedagogiczne, nie polityczne i szkoła powinna uczyć swych wychowanków szanowania jej regulaminu i przepisów wewnętrznych, jak nie powinna mieć prawa, pod grozą utraty swej powagi moralnej, prześladować przekonania swoich wychowanków i karać za nie, lub sztucznie je popierać«.

* *
*

W jaki sposób młodzież rosyjska pojmuje tak zwane »swobody« konstytucyjne, tego najlepszym

dowodem skandaliczna sprawa z »Wolną Wyższą Szkołą« Leshafta.

Kurator okręgu naukowego petersburskiego otrzymał z ministerstwa oświaty zawiadomienie o zamknięciu wymienionej szkoły, gdyż nie odpowiada ona właściwemu swemu przeznaczeniu. W rozporządzeniu rzeczonem przedstawiono dokładnie warunki, w jakich rozpoczęło się i trwało czas pewien życie akademickie od samego początku roku szkolnego 1906—1907. Opis przestępstw, jakie zostały popełnione przez wychowanków tego zakładu naukowego przedstawia się pod postacią pokaźnego tomu, zatytułowanego »Sprawa kursów prof. Leshafta«.

Przedewszystkiem zwrócono tu uwagę na ten fakt charakterystyczny, że prawie wszystkie przestępstwa polityczne, dokonane w pierwszej połowie 1907 r., pozostają w ścisłym związku z Wyższą Wolną Szkołą. Kilkakrotne rewizje przeprowadzone w lokalu tego zakładu naukowego wykryły przynależność wielu słuchaczy do rozmaitych organizacij rewolucyjnych, a nadto współudział studentów w całym szeregu przestępstw politycznego charakteru. Okazało się tedy, że na »Kursach« zajmowano się przedewszystkiem organizowaniem różnych aktów terorystycznych oraz szerzeniem poglądów rewolucyjnych pośród młodzieży nowowstępującej, ale nie nauką. Udowodniono nadto, że wiele napadów grabieżczych zostało uplanowanych w lokalu szkolnym. Tak to kształciła się tu młodzież płci obojga, gdyż kobietom przypadła wcale niepoślednia rola w zamachach, jako że każda prawie słuchaczka jest kochanką jednego lub więcej studentów. Zupełnie to zgadza się z pojęciami zwyczajnemi stadom pierwotnym.

Do chwili zamknięcia »Kursów« wpłynęło już około 2000 podań, ponadto z przeszłego roku szkolnego pozostało zwyż 2000 studentek. A tu nie wszystkie posiadają wymagany cenzus, uprawniający do zapisania się do innego wyższego zakładu naukowego. Te zaś, które mogą zadośćuczynić wymaganiom, stawionym przez uniwersytet lub Kursy Bestużowskie, mają bardzo mało szans dostania się tam, wobec przepełnienia wszystkich wyższych zakładów naukowych. Wiele zamierzało udać się za granicę, ale i tam czeka je rozczarowanie, jako że we wszystkich uniwersytetach zagranicznych ustanowiono surowe ograniczenia w przyjmowaniu młodzieży rosyjskiej. Ograniczenia takie zaprowadzono nawet na wszechnicach włoskich, do których bardzo nielicznie garnęła się młodzież rosyjska. Uniwersytety szwajcarskie, z wyjątkiem fryburskiego, są przepełnione. Uniwersytet zaś fryburski jest nie tylko bardzo mały, ale w dodatku ma charakter wybitnie katolicki. W Paryżu, Ljonie i Brukseli oraz w uniwersytetach niemieckich, we wszystkich wydano surowe ograniczenia dla przybyszów z Rosji, o Berlinie zaś i Wiedniu niema co wspominać. Sama młodzież rosyjska wyrobiła sobie taką opinję, iż niema teraz gdzie się podziać. Wobec powyższych warunków zamknięcie Wolnej Wyższej Szkoły dało się odczuć porządnie.

Nie od rzeczy będzie, jeśli podam kilka dat z historji tego zakładu naukowego. Trzydzieści pięć lat temu, w r. 1872 prof. Leshaft, będąc wówczas profesorem Akademji lekarsko-chirurgicznej, zaczął u siebie w domu wykłady anatomji. Wykłady te ściągnęły mnóstwo słuchaczy, wobec czego »gradonaczalnik« petersburski zażądał ich legalizacji. Jeden zaś z byłych uczniów prof. Leshafta, znany miljoner Sibiriakow, ofiarował na cele szkoły

335 tys. rubli. Za tę sumę kupiono gmach i otworzono w r. 1893 laboratorjum biologiczne. W dwa lata później otworzono przy laboratorjum specjalne kursa dla »wychowawczyń i kierowniczek fizycznego wykształcenia kobiet«. Kursa te cieszyły się wielką popularnością zarówno w Rosji, jak też zagranicą. Ukończonych studentów i studentki kursów Leshafta przyjmowano bez przeszkody na wszystkie uniwersytety europejskie. Stopniowo program »Kursów« został znacznie rozszerzony. W ciągu 35-letniego istnienia wyszło z »Kursów« około 1000 wychowawczyń. Przy laboratorjum istnieje bogata bibljoteka oraz jedno z najbogatszych muzeów pedagogicznych. Majątek szkoły oceniają znawcy na pół miljona rubli.

* * *

Dwanaście tysięcy studentów liczy obecnie uniwersytet petersburski. Dwanaście tysięcy, to nie żart!

Czyż można było przypuszczać bodaj tylko pięć lat temu, że w tak krótkim przeciągu czasu liczba studentów potroi się?...

Wówczas było ogółem cztery tysiące i uniwersytet uważano już za przepełniony. Teraz zaś ilość słuchaczy wzrosła w trójnasób, a lokal został taki sam, jakim był dawniej. Pół wieku temu, w roku 1859 uniwersytet liczył wszystkiego 859 studentów, a już tę ilość uważano za ogromną. Od tego czasu wybudowano tylko dwa gmachy: instytut fizyczny, oraz laboratorjum chemiczne. Kiedy budowano wymienione gmachy, projektowano je według ówczesnej liczby studentów. Było w nich jasno, przestronnie i wygodnie. W laboratorjach można było pracować i nie myśleć o terminowem ustąpieniu

miejsca dla wyczekującego kolegi. A teraz — czas pracy liczy się już nie na godziny, lecz na minuty!...

W kancelarji tak samo ciasno jak i w innych ubikacjach. Kiedy w uniwersytecie było mniej niż tysiąc studentów, lokal ten był wystarczający. Przy trzech do czterech tysiącach stał się ciasnym: dawny status służących zaledwie mógł wydołać pracy. Teraz zaś przy 12 tysiącach studentów etat sług uniwersyteckich nie zwiększył się wcale. To też wszystko odbywa się tu w porządku zachwycającym:

Każdemu z tych 12 tysięcy studentów trzeba wydać przedewszystkiem pozwolenie na zamieszkanie w Petersburgu, t. zw. *wid na żytielstwo.* Dlatego trzeba zasiągnąć wiadomości, czy niema jakich przeszkód do przebywania w stolicy, a nadto zaciągnąć do księgi cały rodowód. Od godz. 10—2 kancelarja zdąży załatwić zaledwie 400 studentów. W ten sposób samo wydawanie pozwoleń na zamieszkanie w stolicy powinno potrwać około 30 dni, a jeśli odliczymy święta i niedziele — około półtora miesiąca tylko półtora miesiąca skromnie.

Trzeba jednak pamiętać, że oprócz t. zw. *widów* co najmniej jedna trzecia część studentów bierze corocznie zaświadczenia, wymagane przez władze wojskowe. Na wystawienie zaś każdego takiego dokumentu potrzeba stracić co najmniej dwa dni. Dzień na wniesienie podania i dzień na wydostanie dokumentu. I te dwa dni muszą studenci przestać w brudnym, ciemnym i ciasnym korytarzu, o głodzie w dodatku. Ci bowiem, którzy oddalą się bodaj na chwilę z korytarza, tracą swoją kolej. Tutaj bowiem staje się rzędem jeden za drugim.

Trzeba być obznajomionym szczegółowo z całą techniką życia uniwersyteckiego, aby wiedzieć, wiele

to czasu tracą studenci na dokonanie samych tylko formalności przedwstępnych. Cały pierwszy miesiąc schodzi im wyłącznie na tem.

Zapisanie się na wykłady trwa pięć dni, gdyż trzeba:

1. zapisać się u dziekana 1 dzień,
2. pójść do dziekana za matrykułą 1 dzień,
3. dać indeks do kontroli 1 dzień,
4. uiścić czesne 1 dzień,
5. otrzymać kartę wstępu 1 dzień.

A nadto otrzymanie *widu na żytielstwo* wymaga dwu dni czasu. To dwie główne formalności. A ile oprócz tego drobnych? A każda z nich pochłania przeciętnie po dwa dni. Przy zapisywaniu się na egzaminy prawnicze — »gęsior« kompetentów przewinął się trzykrotnie po całym korytarzu od jednego końca do drugiego. Trzeba było stracić cały dzień na uzyskanie karty wstępu do dziekanatu. Ponadto dzień cały na dokonanie zapisu. Przez dzień zdołało się zapisać zaledwie 200 studentów, a zgłaszających się było 3000! To też same jedne zapisy na egzaminy trwały cały miesiąc. Czyliż to jest możliwe do pomyślenia chociażby tylko — nie w rzeczywistości — gdziekolwiek w Europie?

Ileż w dodatku przy tem kłótni i nieporozumień? Ile złorzeczeń, wymyślań i klątw? Tych na oślej skórze by nie spisał ani na wołowej!

Znużeni, zgłodniali, wystawszy się cały dzień, studenci gotowi byli prawie na staczanie krwawych bójek o swoją kolej. Doszło nawet do tego, że studenci płacący 25 rubli czesnego, obecnie nie przepuszczali profesorów, idących do kasy po pensję i zmuszali ich do oczekiwania swej kolei.

Nareszcie ukończyły się wpisy do wyższych zakładów naukowych. Ale razem z szczęśliwcami,

przed którymi otwarły się podwoje »świątyń nauki«, znalazło się całe mnóstwo młodzieży, pełnej życia, dla której drzwi owe są — niestety! — zamknięte. Nie dostali się do uniwersytetu z powodu braku »wolnych miejsc«! Przynajmniej krótko i jasno, przynajmniej bez ogródek i obwijania w bawełnę....

I iluż to takich pozostało poza zakładem? Do uniwersytetu wniesiono 4000 podań, przyjęto zaś wszystkiego 2600 studentów, do instytutu technologicznego wniesiono 1718 podań, z czego uwzględniono tylko 480, do instytutu górniczego 1387, uwzględnione 130, do instytutu dróg i komunikacji 1050, przyjęto 189, do instytutu inżynierskiego 120, przyjęto 107, do Akademji wojskowo-lekarskiej 600, z czego uwzględniono tylko 80, do instytutu elektrotechnicznego podało się 479, z których przyjęto 79, na politechnikę z 4000 przyjęto 873, do instytutu leśnego przyjęto 80 na 120 kompetentów, wreszcie na wyższe kursy żeńskie (Bestużewskie) z 3000 podań uwzględniono tylko 1300.

Tak więc z 16411 osób, które wniosły podania o przyjęcie do wyższych zakładów naukowych petersburskich, przyjęto zaledwie 5918. Resztę zaś młodzieży, spragnionej nauki, w liczbie 10496, wyrzucono poza nawias!

A przecież!...

Rosja cierpi na chroniczny brak lekarzy, inżynierów, agronomów i t. d. Tymczasem zaś przed spragnionymi nauki zamyka się podwoje wyższych zakładów naukowych! W Rosji bowiem ci, którzy chcą uczyć się, nie mają możności spełnienia swoich pragnień. A chyba aż nadto mało można mieć nadziei w uzyskaniu potrzebnych funduszów na oświatę publiczną... Czy jednak takiemu stanowi rzeczy nie jest winna sama młodzież, uważająca

szkoły za katedry, z których możnaby bezkarnie szerzyć poglądy anarchistyczno-przewrotowe?...

* * *

Losy wyższych zakładów naukowych rosyjskich budzą obecnie wielkie zaniepokojenie w kołach nawet postępowych. Kniaź Eugeniusz Trubeckoj, brat zmarłego, a tak zacnego kniazia Sergjusza, zauważył nawet w *Moskowskom Jeżeniedicielnikie*, iż kwestja uniwersytecka jest dzisiaj znacznie ważniejszą od kwestji trwałości konstytucji. Pesymistyczny swój pogląd opiera na faktach wprost zadziwiających.

Zapytują przy egzaminie jednego ze studentów: »Czy dom jest majątkiem ruchomym, czy też nieruchomym?« Na to student, należący widocznie do gatunku mikrocefalów odpowiada bez zająknienia: »Dom jest rzeczą ruchomą, gdyż obraca się razem z ziemią...« Naturalnie — student jest bardzo uradowany, że swoje nieuctwo usiłował pokryć tanim i płaskim dowcipem.

Inny znowu student, który nawet zapomniał to, czego go uczono w gimnazjum z podręcznika osławionego Iłowajskiego, odpowiedział na zapytanie, co wiadome o Arystotelesie mniej więcej następująco:

— Arystoteles żył w III wieku po Chrystusie i walczył o wolność sumienia...

Trzeci wreszcie, nie chcąc być prześcigniętym przez swoich kolegów, opowiadał śmiało:

— Po wydaniu *Magnae Chartae Libertatum* nie można było nikogo uwięzić bez uprzedniego uzyskania na to jego zgody!...

Te odpowiedzi studentów przypominają pod pewnym względem odpowiedzi panien z pewnego instytutu szlacheckiego, które na zapytanie czem był Juliusz Cezar? odpowiadały bez namysłu:

— Odznaczył się tem, że z rozkazu Aleksandra Macedońskiego jednem cięciem rozwiązał węzeł gordyjski...

Naturalnie, że pośród dzisiejszej studenterji znaleźć można młodzieńców, którzy uczą się i wogóle patrzą na lata uniwersyteckie inaczej, jak na przechadzkę dla przyjemności własnej. Niestety!... coraz częściej i częściej daje się słyszeć, że ogół studenterji zarażony jest nieuctwem, spowodowanem przez politykomanję, wiedzę zaś uważa za niepotrzebny balast. Z nich wyrosną dopiero politycy, jakich świat nie oglądał nigdy!.„.

A równocześnie z tem zjawiskiem można obserwować drugie, ale wielce do tego zbliżone. Dowiadujemy się, iż wypracowania ostateczne *(wypusknyja)* gimnazjalistów oraz konkursowe z języka rosyjskiego młodzieży, starającej się o prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych, są niżej krytyki wszelkiej, gdyż wprawiają w podziw nie tylko ubóstwem myśli, ale w większym stopniu niezdarnością układu.

Polityka górą!... Niema co mówić!... Ładni działacze publiczni wyrosną z tak wykształconej młodzieży?... To też nie można odmówić wielkiej słuszności wnioskom ogólnym, jakie kniaź Trubeckoj wyciągnął z powyższych przesłanek.

— »Kiedy stracimy — pisze dalej — skromne resztki naszej wolności politycznej, będzie to rzeczywiście wielką klęską narodową, pozostanie wszakże jeszcze nadzieja, że klęska ta będzie tylko czasową, że wcześniej lub później życie rosyjskie wytworzy instytucje, odpowiadające obecnemu poziomowi kultury. Nadzieja powrotu wolności zniknie tylko w tym wypadku, jeżeli stracimy samą kulturę, jeżeli powrócimy do tego pierwotnego, dzikiego stanu, kiedy ludzie nie są godni rządzić, lecz muszą

być rządzeni. Wszystko przepadnie, jeżeli pozbędziemy się oświaty i zgasimy w sobie rozum — to źródło i usprawiedliwienie wolności. Nie można tego ukrywać przed sobą, że niebezpieczeństwo jest wielkie i że smutne następstwa są zupełnie możliwe. Uniwersytetowi, tak samo jak konstytucji, grozi zagłada z prawicy i z lewicy.

— »Czy może istnieć uniwersytet, jeżeli o niego nie troszczy się ucząca się młodzież? Lecz kto z tej młodzieży dba o uniwersytet? dla kogo z naszych studentów, oprócz nieznacznej mniejszości drogą jest sama idea uniwersytetu? Czyliż warto mówić o tej obojętnej masie, która rzadko kiedy przychodzi na wykłady, zjawia się tylko na egzaminy celem otrzymania stopnia, pozwala gospodarować w uniwersytetach partjom radykalnym i ostatecznie otrzymuje dyplom! Uważać uniwersytet za kramik, prowadzący handel dyplomami, to znaczy nie uznawać samej jego idei i z takich to właśnie studentów, nie uznających samej idei uniwersytetu, składały się nasze tak zwane »akademickie« stronnictwa! Jaką siłę mógł przedstawiać ten nieszczery, w założeniu swojem fałszywy akademizm różnych »wolnomyślnych« i »niezależnych«! Ich przeciwnicy — radykaliści zawsze byli i będą silniejsi, ponieważ ożywieni są ideą.

— »Uniwersytet zawsze był i będzie królestwem arystokratyzmu duchowego, w przeciwnym razie przestanie istnieć. Ten arystokratyzm umysłowy nie tylko nie przeczy zasadom demokratycznym, lecz wprost z nich wypływa, gdyż on jeden tylko odpowiada interesom narodu. Interes narodowy wymaga, żeby krzewiona przez uniwersytet oświata z lichwą pokrywała wydane na nią fundusze narodowe. Naród potrzebuje wykształconych prawników, lekarzy i nauczycieli. Potrzebny jest dlań uniwersytet jako

miejsce przeznaczone na naukę, nie zaś na lokal dla wieców radykalnych. Ten interes narodowy zabezpiecza panowanie mniejszości ludzi wiedzy, nie zaś panowanie tłumu w wyższych zakładach naukowych.

— »Walka zawodowa« radykalnej grupy studenckiej jest stanowczo antydemokratyczna i antynarodowa.

— »Dlatego też każde przedstawicielstwo narodowe, choćby nawet najbardziej demokratyczne, zawsze powie, że władza w uniwersytecie powinna znajdować się w ręku pracy i wiedzy i że ludzie niedouczeni — nie powinni tam rządzić, lecz — uczyć się!

— »To, co u nas nazywają »demokratyzacją szkoły wyższej«, jest po pierwsze uzurpacją, a powtóre — zupełnem spaczeniem demokracji. Jest to uzurpacja dlatego, ponieważ nikt nie upoważniał studentów do występowania w uniwersytecie w imieniu narodu.

— »Władza profesorów da się usprawiedliwić przez ich specjalne przygotowanie, przez ich wiedzę, pracę całego życia, gdy władza studentów niczem stanowczo nie da się usprawiedliwić. W tem też leży spaczenie demokracji: twierdzić, że demokracja wymaga zrównania wiedzy i obskurantyzmu — to znaczy tworzyć złośliwą jej parodję, — zamienić ją w obskurantyzm najgorszego gatunku.«

Że taki pogląd na zadanie, jakie powinien uniwersytet spełnić wobec swoich wychowanków, pogląd w całem tego słowa znaczeniu europejski, nie mógł przypaść do gustu młodzieży, która raczej podobna jest do rozhukanego tabunu koni dzikich — nic dziwnego. Współczesna młodzież rosyjska, marząca o republice demokratycznej, widząca ideały w bezcelowych zamachach bombowych, żąda krwi, mówi mnie, jako etnologowi, bardzo wiele. W współczesnem pokoleniu rosyjskiem odżył duch tych, co pła-

cili haracz Złotej Ordzie, i tych branek tatarskich, co rodziły żółte niemowlęta, i tych, co pokłony bijali u stóp wschodnich kacyków. Wiedząc to — nie dziwię się bynajmniej pierwotności pojęć o wolności akademickiej, jakie wyrobiły się w mózgach potomków rzekomo słowiańskich, w których żyłach jednak drzemią instynkty krwiożercze, niszczycielskie, tem silniejsze, że odziedziczone.

— *Podawaj nam niebiesnuju siłu, my i s etoj siłoj sprawimsia!...*

Takich haseł wyznawcami muszą być potomkowie tych, których najazdy nie zostawiały kamienia na kamieniu. Horda pierwotna, tabun!...

I stąd jeszcze jedna refleksja... Bodajby nie sprawdziła się nigdy!... Jaką przyszłość ma naród, którego odwiecznym ideałem jest zbrodnia?... którego młode latorośle zbryzgane od stóp do głów krwią ludzką, którego środkiem i celem ostatecznym zniszczenie takie, jakiego świat nie oglądał od czasów Hunnów z Atyllą na czele!... I co niepojęte dla człowieka zachodniego, — to owa żądza zniszczenia własnej ojczyzny!...

Com wyrzekł?!... Wszak Rosjanie w języku swoim nie mają słowa, odpowiadającego pojęciu naszej »ojczyzny«!...

Żal mi ich, jak żal każdego człowieka, co biedny lub chory na nieuleczalną chorobę... Ale żal choroby nie uleczy, dlatego też piszę te słowa.

* * *

Rozpoczęły się znowu wykłady. Ulice przylegające do uniwersytetu przepełnione studenterją. Jest jej, jak już powiedziałem, 11 tysięcy.

A ilość sił profesorskich? Pozostała niezmieniona.

Podług mnie można wykładać równie dobrze dla trzech studentów, jak i dla tysiąca. Czy jednak mury sali pomieściłyby tysiąc słuchaczy?...

Naturalnie, że nie! To też studenci nie chodzą na wykłady. Bo i cóżby z nimi począć, gdyby zechcieli chodzić?!... Przecież wiadomo im doskonale, że jest ich zwyż 11 tysięcy. A przecież takiej ilości nie pomieszczą audytorja razem wzięte!

I gdyby profesorowie zapytali studentów, dlaczego systematycznie opuszczają wykłady? — mogliby dosłuchać się wcale nie bezpodstawnej odpowiedzi:

— Ależ, panie profesorze, przecie nie w naszej mocy zmienić ilość potrzebnego dla naszych płuc powietrza! Gdybyśmy wszyscy zapełnili salę, to sam pan profesor nie mógłby ani pomyśleć o przedostaniu się na katedrę przez tak gęsty tłum, skoro nie byłoby miejsca na rzucenie szpilki!...

A zatem, jeżeli przeważna część studentów nie może uczęszczać na wykłady, nie może pracować w laboratorjach, nie może korzystać z wskazówek osobistych profesorów, to czyliż taka sytuacja nie jest równoznaczna z tem, że studenci znajdują się w warunkach, w których uniwersytet nie odpowiada, lub bardzo źle odpowiada swojemu właściwemu przeznaczeniu?...

Wobec tego dalej, że społeczeństwo jest bardzo mało obznajomione z faktycznym stanem rzeczy na uniwersytecie, przeto nie można dziwić się bynajmniej, jeśli drży całe z zupełnie naturalnej trwogi. Co pocznie ta ogromna część studentów, uczęszczająca na lekcje tylko przygodnie, dorywczo, niesystematycznie? Co poczną ci, którzy siłą konieczności są odsunięci od udziału w pracach laboratoryjnych?...

Już z początkiem ubiegłego letniego półrocza życie uniwersyteckie rosyjskie zaczęło się jakoś układać. Sprawy czysto naukowe, które odsunięte zostały na bok przez wrzenie polityczne, zaczęły znowu interesować młodzież. Większość studentów przyszła do przekonania, że jakieby nie były warunki bytu

politycznego, to w każdym razie ci, którzy w niedalekiej przyszłości mają wziąć czynny udział w kształtowaniu naszych form ustroju państwowego, powinni przedewszystkiem uzbroić się w niepokonaną moc wiedzy.

Lecz — czy pogląd taki weźmie górę niepodzielnie w najbliższej przyszłości, — o tem prorokować nie myślę wcale. Zdaje mi się jednak, jeśli wezmę pod uwagę niektóre pocieszające objawy, że młodzież, a przynajmniej część jej, zaczyna przychodzić do przekonania, iż szkołę wyższą należy strzec od agitacji politycznej, która zresztą bywa zazwyczaj bardzo płocha i niemądra. Ciężkie wieloletnie doświadczenie powinno było chyba upewnić studentów o tem, że większy będzie z niej pożytek dla przyszłości, jeśli zajmie się nauką, a wyzbędzie się politykomanji.

Nie dziwiłbym się jednak wcale, gdyby niezrównoważone, niespokojne grupy młodzieży zaczęły hałasować w sprawie tak zwanego pozornie »naruszenia autonomji uniwersyteckiej«. Stoją one bowiem na stanowisku niewspółczesnem, gdyż uważają uniwersytet za instytucję, której gospodarzami są uczniowie na równi z profesorami. A jeśli takiej instytucji nie stworzył dotychczas świat cały, to dla młodzieży rosyjskiej niczego nie dowodzi, gdyż sądzi ona, że reguły obowiązujące w całym świecie cywilizowanym, nie są bynajmniej obowiązujące dla Rosji...

Bezpodstawność tego rodzaju poglądów mówi sama za siebie oraz za swoich zwolenników. Ale ta pewność siebie musi być nazwaną bez zastrzeżeń chorobą specyficzną młodzieży rosyjskiej, czyli, jak ktoś trafnie to określił, — zielonego pokolenia. Proszę przysłuchać się obradom, sporom, oświadczeniom i uchwałom tej młodzieży, a będziecie przerażeni

lub zadziwieni w stopniu najwyższym — niebosięgłym, aż nadto pewnym i autorytatywnym tonem owych elukubracyj. Takich bowiem słów wolno używać jedynie przygotowanym dobrze do życia ludziom, którzy byliby zdolni je normować, ale nigdy tym, dla których to życie stanowi igraszkę! Młodzież rosyjska życia nie bierze na serjo, poważnie.

I co najsmutniejsze?... To właśnie, iż wspomniana niebezpieczna choroba wzmaga się z dniem każdym, że zaraza idzie w szerz i w głąb? Ba, są nawet tacy, którzy powiadają, że uczniowie gimnazjalni gardzą studentami uniwersytetu, uważając ich za przestarzałe pokolenie, które nie jest w stanie zrozumieć, dokąd zmierzają młode odrośle nowego pokolenia uczniów...

A chyba w pojęciu Europejczyka wszystko to zakrawa na niesmaczny żart z rzeczy poważnej!

Niestety!... nie mam zwyczaju koloryzowania... *Morituri!*...

* * *

Powiedział ktoś nadzwyczaj trafnie, że Rosjanie postanowili dawno poprawiać to, co Bóg stworzył. Stworzył Pan Bóg człowieka, dając mu ciało i duszę. Ale dla Rosji to było wcale niewystarczającem. To też dodali trzecią część składową, bez której człowiek w ich pojęciu nie jest w stanie istnieć, — paszport. Człowieka bez paszportu nie można sobie w Rosji wyobrazić. Nie jest wówczas uważany za osobę fizyczną, chyba że znajdzie się w kryminale.

Niechaj mnie nawet posądzą ludzie o wstecznictwo skrajne, a jednak pomimo to, muszę wyznać, że jedynym hamulcem na bizantynizm natury rosyjskiej jest właśnie — paszport. Zwłaszcza, o ile tyczy się młodzieży szkół wyższych... Trzeba znać tę młodzież, ażeby zrozumieć słuszność mojego twierdzenia. Trzeba patrzyć na nią z bliska, okiem

krytycznem, a nie informować się o niej z rozmaitych apologetycznych artykułów dziennikarskich, które tak skwapliwie drukują pisma skrajne. Można zejść świat cały, a nie napotka się takiej młodzieży, jak rosyjska!...

Powszechne oburzenie wywołał fakt żądania od studentów przy wpisie paszportu, zamiast którego wydawała kancelarja uniwersytecka osobne zaświadczenie, które zastępowało paszport. Co więcej — wydanie takiego dokumentu postawiono w zależności od zapłacenia czesnego. Kto go nie uiścił — popadał w szereg ludzi »bezpaszportnych«, narażonych na każdym kroku na nieprzyjemności ze strony władz policyjnych. Albo płać, albo wyjeżdżaj do domu!...

Rozporządzenie takie mogłoby się wydawać pozornie krzyczącą do nieba o pomstę niesprawiedliwością, szykaną...

Wiadomo, że wielu, jeśli nie znaczna większość studentów, utrzymuje się z zarobionego własną pracą grosza, z lekcyj prywatnych lub pisarki. Długie łamy dzienników stołecznych przepełnione bywają z początkiem roku szkolnego ogłoszeniami, pochodzącemi od studentów. Odmawiając im wydania t. zw. *widu na żytielstwo*, pozbawia ich tem samem zakład naukowy możności pozostania w stolicy, a zatem możności zarobku i opłaty stąd czesnego.

Zupełnie zrozumiałą jest rzeczą, iż zakład naukowy, istniejący po części z pieniędzy, płaconych przez studentów, musi dbać o swoje interesy materjalne. I jeżeli domaga się zapłaty czesnego zaraz przy wpisie przy wniesieniu podania, (bez czego podania nie uwzględnia się), — to jest w prawie tak czynić. Ależ — piszą skrajnowcy rozmaitych odcieni — czyliż godnem jest świątyni nauki oddawać swojego dłużnika na pastwę policyjnych szykan?...

Jeżeli za naukę trzeba płacić, to nieuiszczenie czesnego powinno pociągać za sobą tylko tę konsekwencję, że student byłby pozbawiony prawa uczęszczania na wykłady. To jednak, że uczeń nie może zapłacić od razu czesnego, nie powinno być powodem do oddania go na łaskę lub niełaskę policji. Gdzieindziej, za granicą — piszą dzienniki pseudopostępowe, — wystarczy, ażeby student wykazał się świadectwem egzaminu dojrzałości, jako dokumentem, iż przysługuje mu prawo zapisania się do wyższego zakładu naukowego — i już na tem koniec formalności. Dlaczego — zapytują — student nie ma mieszkać za własnym paszportem, lecz za osobnem świadectwem, wydanem mu zamiast paszportu przez kancelarję uniwersytecką? Jaki punkt wspólny ma nauka z cyrkułem policyjnym, co naukę obchodzą paszporty?... I t. d. w nieskończoność.

Napozór — wszystkie argumenty tego rodzaju są bardzo piękne, bardzo słuszne i uzasadnione.

I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie błąd zasadniczy.

Niejednokrotnie w korespondencjach moich petersburskich do *Słowa warszawskiego* i *Gazety Lwowskiej* miałem sposobność udowodnić, iż Rosjanie chorują na manję porównywania się z Europejczykami. Stąd też całe nieporozumienie.

Zresztą pocóż iść tak daleko. Z autopsji wiem, że bez paszportu mieszkałem rok cały w Petersburgu. A takich jak ja, było więcej. I ani razu nie byłem narażony na nieprzyjemności ze strony władz bezpieczeństwa publicznego. Alem też nie fabrykował bomb, ani nie brał udziału w ekspropriacjach...

* * *

W dokumentach urzędowych, zgromadzonych przez ministerstwo sprawiedliwości, a odnoszących się do walki z ruchem anarchistycznym, uwidocznione zostały bardzo interesujące czysto statystyczne dane o rozwoju ruchu studenckiego za dziesięciolecie 1890—1900 r. Wyjmuję stąd ciekawsze fakta:

Od dawna istniały w wyższych zakładach naukowych t. zw. *ziemlaczestwa*, jednoczące w sobie studentów, pochodzących z jednych stron. Za jedyny cel postawiły sobie wzajemną pomoc. Ilość ich rosła stopniowo tak, że w r. 1896 w samej Moskwie było ich 45. *Ziemlaczestwa* miały swoje statuty, wydawały drukowane sprawozdania. Na działalność swoją nie uzyskały wprawdzie aprobaty, ale istniały i były cierpiane jako *malum necessarium*.

Z początkiem lat ośmdziesiątych zaczęto agitować za zjednoczeniem wszystkich *ziemlaczestw*, lecz dopiero w r. 1893 utworzył się ich związek w Moskwie. Za przykładem Moskwy poszły szkoły wyższe w Petersburgu, Kijowie, Charkowie i Dorpacie.

W roku 1895 związek moskiewski postawił za główny cel *ziemlaczestw* — »przygotowanie *borcow* do agitacji politycznej«. W roku następnym odbył się w Moskwie zjazd przedstawicieli *ziemlaczestw* z całej Rosji, który uznał za pożądany — współudział studentów w organizacjach robotniczych.

1-go maja 1898 roku studenci kijowscy urządzili polityczną demonstrację majową. W tymże roku założono w Dorpacie studencką kasę pomocy dla ruchu rewolucyjnego. W roku 1899 związek *ziemlaczestw* zorganizował zabuzrenia studenckie oraz obstrukcję na wszystkich wszechnicach. Studenci moskiewskiej szkoły technicznej przedstawili jenerałowi Wannowskiemu memorjał, w którym udowadniali, że studenci są zmuszeni uciekać się »do

przeciwustawowych czynności, celem zwrócenia na siebie uwagi władz administracyjnych«. We wszystkich miastach wydawano proklamacje i wezwania do walki, zaś w kwietniu tegoż roku odbył się w Moskwie zjazd przedstawicieli wszystkich wyższych zakładów naukowych Cesarstwa, lecz uczestników uwięziono na pierwszem posiedzeniu, skutkiem czego »z tego zjazdu nie wynikły żadne następstwa«.

Udział studentów w ruchu anarchistycznym wyraził się za czas wymieniony podług danych urzędowych w następujących cyfrach:

W roku 1896 zorganizowano w Petersburgu strajk tkacki, w którym wzięło udział około 16 tysięcy robotników. Na trzynastu kierowników strajkowych było pięciu studentów. W Moskwie w tymże samem roku sześciu studentów wstąpiło do Związku robotniczego i kolportowało literaturę rewolucyjną.

W roku 1897 w Rydze pięciu studentów weszło w skład kółka rewolucyjnego i zajmowało się przekładem na język łotewski broszur socjalistycznych.

W roku 1898 wstąpiło w Kijowie kilku studentów do organizacji rewolucyjnej i zajmowało się propagandą pośród robotników.

W roku 1899 wstąpiło jedenastu studentów do petersburskiej »Grupy robotniczej dla walki z kapitalizmem«. Agitację prowadzono we fabryce Putiłowskiej.

W roku 1900 w liczbie 44 osób, uwięzionych w Petersburgu za należenie do »Związku walki o wolność klasy robotniczej« okazało się 13 studentów.

Ogólna liczba studentów, którzy zostali ukarani za występki przeciwpaństwowe w okresie lat 1896—1900, wyraża się w następujących cyfrach:

w r. 1896—54, w r. 1897—58, w r. 1898—44, w r. 1899—125 i w r. 1900—40.

Od chwili nadania konstytucji bodaj że większą od tej liczby powieszono na szubienicach...

* * *

Codzienne niemal wyrzekania, jakie spotyka się na łamach prasy perjodycznej, na przepełnienie zakładów naukowych, są jednak do pewnego stopnia uzasadnione. Abstrahując od tego, że młodzieży uczęszczającej do nich, nie chodzi o naukę, niepodobna nie wyrazić zdumienia nad tragicznym iście stanem wyższego szkolnictwa w Rosji. Jak już wyżej powiedziałem — cała masa młodzieży nie znalazła dla braku miejsca pomieszczenia. Cóż mają począć te tysiące?... Nic innego, jak powrócić rozgoryczone pod strzechy domowe i czekać lepszych czasów, kiedy państwo ostatecznie zrozumie jedno z najpodstawowszych swoich zadań. Proszę zwrócić uwagę na to, że w Rosji istnieje zaledwie 9 uniwersytetów na 140 miljonów ludności, podczas gdy w Niemczech np. mamy 21 uniwersytetów na 60 miljonów mieszkańców! W Austrji zaś 8 na 20 miljonów mieszkańców!

Jest to faktycznie położenie fatalne. Młodzież, która nawet faktycznie pragnie wiedzy, odtrącona od swojej *almae matris*, wydana jest na łup agitatorów politycznych, stronnictw najskrajniejszych a powróciwszy do miasteczek lub wsi z konieczności zajmuje się propagandą. Jest to bezwątpienia tragedja, jakich mało, i bodaj czy nie największa z pomiędzy tych, które przeżyła Rosja w ostatnich kilku latach.

A jednak tragedja ta dała znanemu dziennikarzowi, bratu prezesa ministrów, p. Stołypinowi sposobność dogodną do wesołych dowcipków:

— »W 21-szym roku bieżącego stulecia — pisze on w *Nowom Wremieni* — liczba studentów, którzy wnieśli podania i zostali przyjęci do uniwersytetu petersburskiego, doszła do 200.000. Niektórzy tylko profesorowie czytali jednodniowy kurs wykładów, większość natomiast starała się zająć słuchaczy, czem kto z nich umiał: — jeden pokazywał sztuki kuglarskie, drugi grał na instrumencie muzycznym, inni zas specjalizowali się w opowiadaniu wcale zabawnych anegdotek. Wobec tego zaś, że stan rzeczy był coraz cięższy, to też powstały różne projekty:

1) ustanowienie latających katedr na automobilach;

2) zaopatrzenia każdego studenta w aparat telefoniczny, za pośrednictwem którego mógłby słuchać wykładów, nie opuszczając mieszkania;

3) udzielać nauki za pośrednictwem telepatji.«

A przecież, o wiele więcej serjo traktował tenże sam pan Stołypin zamknięcie domów gry hazardowej?!...

* * *

Ale też słuszność nakazuje przyznać, że wśród tej młodzieży jest też spora gromada wyrzutków społeczeństwa.

Na zawsze utkwiły w mej pamięci najróżnorodniejsze typy.

Ot na przykład:

Długowłosy, nieumyty i nieuczesany student, ubrany z rozmyślnem niedbalstwem. Ubranie w strzępach, buciki wykrzywione i podarte niemożliwie. Od rana do wieczora błądzi po korytarzach uniwersyteckich, krzycząc ochrypłym głosem o konieczności *idti w naród, diełat' obszczeje dieło...* zbiera

na ten cel składki i przepija je w ostatniorzędnych szynkach, o jakich my nie mamy wyobrażenia.

Weźmy inny typ:

Student, myślący jedynie o fryzurze swojej, o swoich paznokciach, dający sobie robić mundury na aksamitnej podszewce i zapewniający zupełnie na serjo, iż najważniejszą w świecie rzeczą jest dobre wychowanie, a dopiero potem nauka.

I jeszcze typ specjalny:

To student *krasnobaj*, występujący na wszystkich zgromadzeniach z płomiennemi przemówieniami, potępiający panujący obecnie ustrój społeczny, organizujący tajne stowarzyszenia studenckie i będący równocześnie agentem prowokacyjnym, pobierającym wynagrodzenie z kasy departamentu policji tajnej.

W latach ostatnich do dwu powyższych przybył jeszcze jeden nowy typ.

Przedstawicieli jego można ujrzeć wszędzie, gdzie tylko pachnie sportem lub atletyką. Znaleźć ich można wszędzie: i w klubach sportowych i w ogródkowych teatrach, gdzie dają przedstawienia zawodowi atleci. Można ich bardzo prędko rozpoznać wśród tysiąca innych.

Utuczone cielska ubrane są w króciutkie surduciki. Tłuste nogi pokrywają rejtuzy, przypominające raczej trykoty pierwszej lepszej baletnicy, aniżeli część składową ubioru męskiego. Rozmowy i zajęcia owych studentów są równie zadziwiające, jak ich wygląd zewnętrzny. Nie mówią między sobą nigdy ani o nauce, ani o polityce, tak samo też nie mają żadnego zatrudnienia, pozostającego w jakimkolwiek związku z nauką.

Mówią jedynie o *tour de bras*, kołowrotach *tour de tête* i poświęcają całe dnie zapasom atletycznym różnego rodzaju nie tylko u siebie w domu, lecz

występują z wielkiem powodzeniem na arenie teatrzyków ogródkowych.

Oprócz tego biorą udział także w »konkursach piękności«, wystawiając siebie na pokaz razem z zawodowymi »alfonsami«.

Tacy są przedstawiciele współczesnych wyrzutków studenterji.

I jeśli dwa pierwsze typy wywołują w każdym człowieku uśmiech politowania, to typy ostatnie mogą spowodować jedynie przygnębienie.

Zwłaszcza charakterystyczną jest ta okoliczność, że panowie ci uważają za swój obowiązek obwieszczać na każdym kroku, że są »studentami«. Naturalnie — nikt nie ma prawa zabronić im zajmowania się wszystkiem, co się im tylko podoba, aż do »wystawiania« piękności budowy swojego ciała. A jednak! gdzieindziej ogół studentów nie dopuściłby do takiego poniewierania godności akademickiej...

* * *

Albo! czyż coś podobnego można sobiewyobrazić wśród słuchaczy któregokolwiek europejskiego uniwersytetu?!...

W jednym z dzienników petersburskich wydrukowano list niejakiego pana M. K., studenta. List ten przeraża swoją cyniczną naiwnością i ma niewątpliwie znaczenie społeczne, jako jaskrawy dowód zupełnego upadku obyczajów i najkrańcowszego cynizmu.

Pan M. K. opowiada nieprawdopodobną gdzieindziej historję. Proszę posłuchać jej uważnie przez chwilę małą.

W pewnem *zemlaczestwie* był niejaki X. Y., młodzieniec pozbawiony środków materjalnych, który

mieszkał i stołował się u równie niezamożnych krewnych. Wtem najniespodziewaniej ów X. Y. kupił sobie kilka wspaniałych garniturów, bicykl, rozrzucał pieniądze na wszystkie strony garściami. Po krótkim przeciągu czasu doszło do wiadomości kolegów, że wyprowadził się on od niezamożnych krewnych i zamieszkał u zamożnego starego kawalera, któremu »okazywał usługi, przewidziane w kodeksie karnym«, zupełnie te same, jakie starożytny Ganymedes oddawał Jowiszowi.

Skutkiem tego koledzy wybrali z pośród siebie komisję dla zbadania tej sprawy. I otóż przed komisją koleżeńską oświadczył X. Y. z zupełną otwartością, że nie chcąc być ciężarem dla niezamożnych kuzynów, zamieszkał istotnie razem z pewnym wdowcem, pragnąc zaś odwdzięczyć się swemu dobroczyńcy przedłożył mu siebie dla »pewnych celów«, że miłość, jaką żywi ku niemu ów jegomość, jest dlań droga i że on za nic nie opuści ukochanego wdowca, że wreszcie pomimo lektury odpowiednich książek, nie wie wcale, czem dopuszcza się czynu przeciwnego naturze.

Jednych oburzyło postępowanie X. Y-a, drudzy uchylili się od wyrażenia swego zdania w tej mierze, inni wreszcie, a takich było niemało, uznali, iż X. Y. postąpił tak, *jak powinien postąpić człowiek honorowy* i że nie widzą dostatecznego powodu do potępienia jego prowadzenia się.

W rezultacie X. Y. nie poproszono o opuszczenie uniwersytetu, natomiast on poprosił grzecznie o wytłumaczenie mu, co w jego postępowaniu było szkodliwego, sprzeciwiającego się naturze, złego? Bez wątpienia, że mamy tu do czynienia z cynizmem naiwności, lub raczej, z *naiwnością cynizmu*.

Są sprawy, nie wymagające osobnego objaśnienia. Natomiast drogą dziedziczności przechodzi z pokolenia na pokolenie świadomość wszelkiego występku. Świadomość ta tedy przemienia się w obowiązek naturalny. Są wprawdzie w tej świadomości także objawy anormalne, żeby tylko wymienić wstręt muzułmanów do wieprzowiny. Ale jest też i świadomość, nie wymagająca osobnych tłumaczeń. Gdybyśmy się z nią nie liczyli, nie byłoby w społeczeństwie pojęcia o czci, honorze, uczciwości, nie byłoby poprostu obyczajności publicznej.

W Rosji tymczasem kwitnie na całej linji pornografja: w literaturze, sztuce, na scenie, w życiu codziennem. Ale to społeczeństwo, którego młode latorośle już w wielkiej mierze moralnie zepsute, powinno sobie zadać jedno, ale zasadnicze pytanie: czy mianowicie jest zdolne do życia normalnego, czy raczej nie należałoby go porównać z ciałem, zarażonem gangreną we wszystkich jego tkankach?..

* * *

Rosja chciałaby iść naprzód krokami Gigantów. Wartoby zastanowić się nad tem, czy siły odpowiedzą przedsięwzięciu górnemu?

Że Rosja znajduje się w stanie groźnego rozkładu moralnego, o to chyba sporu nie będzie nikt toczył, kto zna dobrze społeczeństwo doby dzisiejszej. Ażeby twierdzenie moje nie wydalo się zbytnio apodyktycznem, niechaj mi wolno będzie zakończyć te niewesołe spostrzeżenia wierszem jednego z najbardziej utalentowanych poetów »młodej Rosji«:

Tam, kędy choröb i śmierci
Legły koleje straszliwe,
Zniknij, o zniknij z przestrzeni
Rosjo, ach Rosjo ty moja!..

Co więcej mówić o przyszłości narodu, którego piewca p. Biełyj zbawienie ojczyzny widzi w upadku państwa?...

Ha! Trudno!...

Śmierć jest najradykalniejszym środkiem nawet przeciwko najbardziej groźnym i zabójczym chorobom...

Petersburg, w czerwcu 1908 roku.

Młoda Ukraina na schyłku rewolucji.

I.

To, co szumnie ochrzczono mianem rewolucji rosyjskiej, co zaś w istocie rzeczy nie było niczem innem, jak tylko anarchją pospolitą dusz i umysłów, wyrzuciło z odmętów swoich cały szereg talentów, które jednakowoż zetliły się w ogniu i wichrach haseł najszczytniejszych w zasadzie, wypaczonych zaś haniebnie w zastosowaniu praktycznem.

Naturalną rzeczy koleją maniera przedstawiania »bohaterów« rewolucyjnych przedostała się do literatur, mających bezpośrednią styczność z współczesną literaturą rosyjską. Do polskiej w stopniu znikomo małym, przyczem podkreślić z zadowoleniem należy, iż apoteozy unikano, czego dowodem najwymowniejszym »*Przywódca*« Stefana Krzywoszewskiego, — do małoruskiej, na nieszczęście, aż nadto silnie.

Jest w tym znamiennym objawie coś symptomatycznie chorobliwego. Echa haseł przebrzmiałych, co zmilkły rychlej, niźli zdołano je rzucić, przepojone są taką beznadziejną żałobą, jak gdyby koniec świata był już niedaleki.

... »Żegnajcie niwy... I ty, kukułko, ze szczytu brzozy. Tyś również stroiła struny mojej duszy. One osłabły, poszarpane grubemi palcami, a teraz naciągają się znowu. Słyszycie? Ot, zabrzęczały nawet... Żegnajcie mi. Idę pomiędzy ludzi. Dusza gotowa, struny tęgie, naciągnięte, ona już gra...«

Talent niewątpliwy, uległ — niestety — zarazie nagminnej. Podniósł się do apoteozowania dusz, niezrównoważonych bezwarunkowo, niezdecydowanych nigdy, a idących jedynie za hasłami dnia dzisiejszego, czy wczorajszego.

Oddziałało nań silnie, bardzo tęgo, to dążenie fatalne, jakiego objawy można co krok napotykać we współczesnej literaturze rosyjskiej. Ale też widoczna jest u p. Kociubińskiego doskonale beznadziejność krańcowa, rozpacz z tej przyczyny, że o wolności takiej, do jakiej chcieli dążyć twórcy »nowej Rosji« społeczno-politycznej, na wieki wieków mowy być nie może. Rozpacz czarna, szczera, bezdennie szczera, a tak jaskrawie i wyraziście malująca się na tle przeróżnych kwestyj, które lat temu kilka, za ś. p. pierwszej i drugiej nawet Dumy państwowej, nie schodziły z porządku dziennego nie tylko obrad *quasi*-parlamentarnych, ale, — co gorsza, — bywały rozstrzygane na meetingach rozmaitych klubów, petersburskich zwłaszcza, w sposób iście Salomonowy, rozpacz człowieka, myślącego uczciwie, na widok niechybnie zbliżającej się katastrofy — wieje ze wszystkich nowel: Bo, gdyby katastrofa ta przyszła, nie daj Boże! — wówczas bylibyśmy świadkami ruiny przeraźliwszej od tych wszystkich, jakie wieki starożytne przechowały do naszych czasów, jako groźne upomnienie i przestrogę dla pokoleń...

P. Kociubińskij nie jest twórcą daty dzisiejszej. Rozpoczął działalność literacką nie wczoraj, ani onegdaj, a przecież, pomimo więzów, jakie nakładała nań wiekuistej pamięci *predwaritielnaja cenzura*, potrafił wypowiedzieć się zawsze, ilekroć tego potrzeba wymagała, w sposób o wiele zręczniejszy od tego, jaki obrał obecnie. Stąd bowiem, z kart tych wszystkich, wieje tyle rozczarowań, taka krańcowa

negacja czynu wszelkiego i bytu samodzielnego, że, wychodząc ze stanowiska, iż literatura powinna bezwarunkowo umacniać ducha, siły mu dodawać, otuchę wlewać do pracy dla przyszłości, należałoby zbiór nowel p. Kociubińskiego potępić najbezwzględniej.

Byłem świadkiem tylu rozterek duchowych współczesnych twórców »Młodej Rosji«, z boleścią prawdziwą patrzyłem na zmagania się ich z samemi sobą i z duchem czasu, (które to dwa warunki tylko w wyjątkowych wypadkach godziły się razem), a przecież trudno bardzo było mi pogodzić się z temi wątpliwościami, nad rozwiązaniem których oni tracili napróżno czas drogi, jak gdyby chodziło im o rozwiązanie conajmniej tak trudnego i skomplikowanego dylematu, jakim jest zagadka wszechistnienia... Dokąd dochodzono w trakcie rozumowań, mających pozór filozofji życiowej? Lepiej nie wspominać!

Podobnież mają się rzeczy z p. Kociubińskim, którego utwory są poniekąd echem zwłowieszczem wypadków straszliwych.

* * *

Daleki jestem od wyczerpywania dokładnego zawartości całego zbiorku jego opowiadań.

Celem poparcia tego wszystkiego, co powiedziano wyżej, postaram się o streszczenie najbardziej typowych obrazków.

A zatem »*Śmiech*«. Śmiech straszniejszy od wszystkich »*Czerwonych śmiechów*« Andrejewa z czasu wojny japońskiej.

Blada niewyspana pani Natalja odchyliła drzwi z sypialni do pokoju jadalnego, gdzie już stara służąca robiła w pospiechu porządki codzienne. Okien-

nice były przymknięte. Otworzyć je, czy nie?... rozmyślała pani domu pogrążona w troskach. Wszak źli ludzie chodzą nieustannie popod oknami... A nuż zaszliby tutaj?... Tak rozumując, nie posłała nawet kucharki do miasta po codzienne sprawunki, rozkazując nikogo bezwarunkowo nie wpuszczać do mieszkania. W pokoju panował półmrok i tylko żółte smugi światła przebijały częściowo przez szpary w okiennicach, rozciągając się w przestrzeni falami błędnemi, drżąc nieustannie chwiejnie.

Pani Natalja myślała o dniu dzisiejszym z wewnętrzną trwogą. Czem on się zakończy?... Iluż to ludzi stratowały kopyta końskie, wiele krwi przelano?... A teraz na dobitek podburza ktoś motłoch przeciwko inteligencji! Wieleż to razy błagała męża, żeby zabrać dzieci i wyjechać na pewien przeciąg czasu, póki nie nastanie spokój. A teraz?... I za co to!?...

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć płacz dzieci. Pani Natalja bez namysłu rzuciła się w kierunku głosów jękliwych, uspakajała dziatwę, ruszając nerwowo rękoma, jak ptak skrzydłami. Kiedy jednak pospieszyła jej z pomocą Barbara, dzieci ucichły. Natomiast pani Natalja zaniepokoiła się naprawdę, gdyż dowiedziała się od Barbary, że jacyś nieznajomi, podejrzani ludzie zapytywali o pana domu. To też bezzwłocznie poleciła przedewszystkiem służącej, iżby mówiła wszystkim nieznajomym, iż państwo wyjechali na czas dłuższy, sama zaś postanowiła rozmówić się na serjo z mężem.

Pan mąż, nawpół ubrany, zaczynał objawiać swój krewki nieco temperament gniewem, nadto krzykliwym. Nastrój był ponury. Kiedy zaś zachciało się mężowi kazać otworzyć okiennice, na policzki pani Natalji wystąpiła krew plamami czerwonemi.

Pani Natalja sprzeciwiła się energicznie, o ile na to było ją stać, otwarciu okiennic. Mąż mruczał coś długo pod nosem, ale, koniec końców, przyznał żonie słuszność. Pokój owionięty był tajemniczym półmrokiem. Dzieci — chłopczyk i dziewczynka — zdziwione niemało czemś, co po raz pierwszy w życiu zobaczyły, szeptały coś pomiędzy sobą, pan Walerjan zaś bębnił bezmyślnie palcami po stole. Dręczyła go ciągle myśl o tem sławnem swojem przemówieniu, jakie wygłosił na ulicy do ludu, ale zarazem obawiał się, aby ten lud nie zechciał odwdzięczyć się mu za naukę czemś, czego nie pragnąłby nikt pod żadnym warunkiem.

Najwięcej drażniły go zapuszczone story. Co też tam za niemi, na ulicach dzieje się teraz?.. myślał.

Na szczęście przyszedł znajomy student Horbaczewski, powitany radośnie, jak gdyby był prorokiem. Był w mieście, widział wszystko, zatem niechaj opowiada o tem, na co patrzył, co się dzieje tam, co usłyszał od ludzi!...

Wypadki przedstawiały przyszłość w kolorach możliwie najciemniejszych. Co przyszłość przyniesie?... któż może odgadnąć. Wszystko wskazuje na to, iż koniec będzie jak najgorszy. Bo to... u Mikitki był meeting *czarnosotienny*. Radzono długo przy akompanjamencie tłuczonych po pijanemu szklanek i kieliszków, kogo najprzód bić, ale to tak bić, póki duch z ciała nie wyjdzie. Ulicami włóczą się jakieś indywidua o twarzach hardych, płonących nienawiścią, oczy ich zaś zioną ogień na sam widok człowieka inteligentnego. Pomiędzy motłoch, który się pościągał nawet ze wsi, rozdają darmo wódkę. Tłum naradza się, ale nad czem radzi, tego nikt nie wie dokładnie. Padają

tam tylko nazwiska, ale dlaczego, poco, w jakim celu?...

Zatopionych całą uwagą w opowiadaniu odrywa na chwilę od smutnych refleksyj przybyła znajoma. Ślady pomieszania znać było z całego jej zachowania się i dość wyraźnych półsłówek. Już to, o czem powiedziała na wstępie, było wystarczające.

— »Moi kochani, moi drodzy... wy jeszcze żyjecie? A ja myślałam... Zaczęło się już... Tłum chodzi po ulicach z portretem carskim. Dopiero co widziałam, jak bili Sikacza... Młodszego studenta... Nie zdjął czapki przed portretem. Widziałam, jak jego, już bez czapki, czerwonego, w podartym surducie, zgiętego w dwoje, rzucano, z rąk do rąk i wszyscy bili. Oczy u niego takie wielkie, czerwone, obłąkane... Ogarnął mnie strach... Nie mogłam patrzeć. I wiecie — kogo widziałam w tłumie? Lud... Włościan... w szarych odświętnych sukmanach, w wielkich butach, prostych, statecznych włościan... Tam byli ludzie z naszej wsi, cisi, spokojni, pracowici... Ja ich znam, ja już pięć lat jestem nauczycielką w tej wsi... A teraz uciekłam stamtąd, bo mnie chcieli pobić. U nas wszystkich zrujnowali. No, jeszcze tam bogatszych... Ale kogo mnie żal, to naszej sąsiadki. Stara wdowa, biedna. Jeden syn na Sybirze, drugi siedzi w więzieniu... Tylko została się jej stara chata i ogród. I ot, zniszczyli wszystko, rozebrali chatę, sad wyrąbali, książki synów podarli.. Nie chciała prosić jak inne. A niektóre wychodziły naprzeciwko tłumu z obrazami, z drobnemi dziećmi, padały na kolana w kurz i błagały całemi godzinami, ręce chłopom całowały... I nad temi zlitowano się«...

Podczas całego tego opowiadania pani Natalja siedziała wyprężona, jak struna, jak gdyby czegoś wyczekiwała.

Nagle ze dworu dał się słyszeć hałas. Wszyscy umilkli, obrócili się ku oknom i z wyciągniętemi szyjami zakamienieli w uwadze. Hałas zdawał się przybliżać. A było w nim coś podobnego do dalekiej ulewy, do głuchego ujadania zwierząt. A-a-a!.. a-a-a!... — głosy zmieszane odbijały się o wysokie ściany i gdzieś w pobliżu dało się słyszeć stąpanie nóg po chodniku.

Pan Czubińskij chciał wyjść na ulicę, gdy wtem, jak na komendę, wszyscy rzucili się na niego, krzycząc, że nie powinien wychodzić, bo to właśnie jego szukają, że tam niczego nie wskóra, że nie można zostawiać na łasce losu żony i dzieci. Żona zaś zapewniała, że umrze bez niego. Tymczasem hałas przycichł. Tylko z kąta dolatywał rosnący z każdą chwilą płacz przelękłych dzieci. Dopiero Barbara uspokoiła je. To też goście nie szczędzili jej pochwał. Pani domu zaś mówiła!

— »O! moja Barbara, to złota kobieta... To nasz prawdziwy przyjaciel... Spokojna, rozsądna, przychylna. I wyobraźcie sobie, bierze wszystkiego trzy ruble na miesiąc«...

Goście zaczęli zabierać się do wyjścia i teraz dopiero przypomniała sobie szczebiotliwa znajoma cel swojego przybycia. Otóż — podług niej — pan Walerjan po swoich mowach meentingowych nie powinien siedzieć w domu. Lepiejby przeczekać ten niepewny czas gdzieś u sąsiadów, po prostu ukryć się. Radzi tak postąpić ze szczerego serca.

Teraz, gdy państwo Czubińscy zostali sami w przyciemnionym pokoju, otoczeni czemś groźnem i niewidzialnem, i starali się jedno przed drugiem ukryć niespokojne myśli, trwoga wzrastała, zbierając się dokoła nich, jak trujący gaz. Bo czyliż on zdoła stawić opór ślepej złości rozszalałego tłumu, niewiedzącego, co czyni?! Żona wiedziała także o tem.

W tej chwili dał się słyszeć głos dzwonka. Pani Natalja nie puściła męża, chociaż dzwonek dzwonił, jak opętany. Wejściem przez kuchnię przyszedł znajomy lekarz i już idąc wołał głośno, witając dobrych przyjaciół:

— »Siedzicie sobie gołąbki i nie wiecie, co się dzieje... Biją, zabijają... Porzną, powiadam wam, jak kurczęta... Rozbili mieszkanie doktora Garne, niszczyli wszystkie jego instrumenty. Żonę włóczyli za warkocze, a Garnego zabrali ze sobą: nosi teraz portret na froncie huliganów. Macie raz!... Iwaneńka ściągnęli z dorożki i rozbili mu głowę. Macie dwa. Zalizko musiał przysiąc na absolutyzm, gdyż bili go tęgo. Macie trzy. Akuszerkę Raszkiewiczową podobno zamordowali. Policji niema, znikła. Oddano nas na pastwę pijanej hołoty... Trzeba nam wszystkim zebrać się na rynku koło rady miejskiej. Słyszycie? Zaraz. Zaraz trzeba zebrać się i bronić się orężnie«.

Po tych słowach lekarz wybiegł czemprędzej z krzykiem. A pana Czubińskiego ogarnęło przerażenie. Co począć? Gdzie ukryć się? Uciekać?... Tak, ale dokąd?... Dziesiątki planów błyskały w jego głowie jak błędne ogniki i zaraz gasły. Zwierzęcy przestrach pędził go z kąta w kąt, a myśli tak przelatywały mu szybko przez mózg, jak zwierzęciu, pojmanemu w sidła. Dopiero wejście Barbary, która na widok trwogi, bijącej z twarzy pana domu, wybuchła szalonym śmiechem, przywróciło mu trochę przytomności. Zdziwiony takim niespodzianym wybuchem wesołości, przystanął, kucharka zaś, pośmiawszy się jeszcze nieco, przemówiła z dziką radością w głosie, z którego przebijała nieukrywana nienawiść:

— »Ha-ha!... Biją!... i niech biją... Ha! ha-ha! Bo dosyć panowania... ha-ha-ha!... Chwałaż ci, Boże,

doczekali się ludzie... Ha-ha-ha!... wyrznąć w pień... ha-ha-ha!... żeby i na nasienie... wszystkich«...

Czubińskij uchwycił się stołu, bojąc się, żeby nie upaść ze złości. Wygonił ją do kuchni i zrobiwszy kilka kroków zatrzymał się, rozmyślając nad tem, co od niej usłyszał, a co mu się wydało niemożliwem, czemś niezrozumiałem.

— »Dlaczego ona nie strejkuje?... — krzyczał w złości otwierając okiennice, przez które ze dworu runęło chłodne powietrze, a wraz z niem echo groźnych pomruków ulicy. A... a... a...! przylatywało z daleka i zbliżało się z każdą chwilą. A w tem wyciu słychać było brzęk tłuczonego szkła i krzyki oderwane, pełne rozpaczy i przerażenia i stukot nóg olbrzymiej tłuszczy. Wiatr jesienny pędził w dal żółtawe chmury, uciekając z miasta, skąd słychać było poryk:

— A-a-a... a-a-a!...

Że p. Kociubińskij przeżył wiele godzin rozpaczy i beznadziejnie smutnych porywów, tego najlepszym dowodem «Intermezzo« fantazja liryczna rozdzierająco bolesna. Po jakże krwawych ścieżkach błąkał się umysł autora?...

— »Chyba mogę być pewnym, że nie odchylą się drzwi... ot, tak troszkę, z lekkiem skrzypnięciem i z niewidomej ciemni, bardzo głębokiej i nie mającej końca, nie zaczną wychodzić ludzie... ci wszyscy, którzy składali w mojem sercu, jak we własnem schowku, swoje nadzieje, gniew i cierpienia, albo krwawą drapieżność zwierza... Ot, już ich widzę... Ba, ba! Jakżeż was wielu... To wy, co z was wyciekła krew maleńką dziurką od kuli żołnierskiej, a to wy... suche preparaty: was zawijano w białe worki, huśtano na powrozach w powietrzu, a potem składano w źle przysypane doły, skąd was psy wygrzebywały... Patrzycie na mnie z wyrzutem — i po

waszej stronie prawda. Wiecie, raz czytałem, jak was powieszono razem dwunastu... Razem dwunastu... A drugim razem wiadomość o szeregu białych worków zakąsiłem dojrzałą śliwką. Tak wziąłem, wiecie, w palce prześliczną soczystą śliwkę... i poczułem w ustach przyjemny, słodki smak... Widzicie, nawet nie czerwienię się, twarz moja biała jak wasza, bo trwoga wyssała ze mnie wszystką krew. Nie mam już ani kropli krwi gorącej i dla tych żywych nieboszczyków, pośród których idziecie, jak krwawa mara«.

Na takich wizjach i rozmyślaniach mijał dzień za dniem. Aż raz wszedł autor w rozmowę z chłopem, a od niego usłyszał rzeczy, od których włosy wstają na głowie: o nędzy, o tem, jak choroba zabrała mu pięcioro dzieci, o tem, jak lud chciał panom odebrać ziemię, a za to jedni gryzą szarą ziemię, a inni kopią ją w minach sybirskich i o tem, jak sam opowiadający chłop przez rok bił wszy, siedząc w więzieniu i o tem, jak teraz raz na tydzień »stanowy bije go w mordę«. A dalej usłyszał, iż obecnie nastały takie czasy, że przyjaciel gotów zdradzić jest przyjaciela, że dokoła snuje się tysiące uszu ciekawych, wiją się tysiące niewidzialnych rąk, że musi chodzić pośród ludzi, jak wśród wilków i ciągle mieć się na baczności. Mówił chłop dalej jeszcze, jak to ludzi pożera bieda i wódka, ludzie zaś, dla braku oświaty pożerają się nawzajem tak, że życie staje się niemożliwem, strasznem.

Stąd też rozpacz ogarnia go ze wszech stron i oplątuje jak pająk schwytaną muchę. Jeszcze lepiej maluje się brak wiary w lepszą przyszłość w obrazku p. t. »*Ślepy*«, którego inwokacja jest sama przez się charakterystyczna:

...— »Czuję pod sobą twardy, więzienny materac, widzę swoje ciało rozciągnięte na łóżku, swoje wielkie nogi, obute w trzewiki, swoje ręce, któremim... W kąciku błyska lampka, a nad nią zawisła szara, wroga cisza. I nie chcę widzieć tego, nie chcę.. Zamknę oczy. Koła ogniste. Tańczą i sypią iskrami... A teraz... teraz płynie już rzeczka życia. Bo cóż z tego, że zamknięto mnie w tym ciemnym lochu, kiedy cały pyszny świat, wszystkie barwy, cały ruch życia tu u mnie, w głowie, w sercu«... Tak zaczyna więzień swe pamiętniki.

Więzień miał zlecenie wykonać zamach rewolwerowy na wysokiego dygnitarza. Chodził tedy z browningiem w kieszeni koło budynku, w którym zamieszkiwała upatrzona ofiara sądu partyjnego. To też ogarniała go żądza przeniknięcia wzrokiem przez mury, ażeby bodaj zobaczyć tego, za którym kurzyły się wsie, który prześladował ludzi, jak zwierzęta szczwane, który zostawił za sobą potoki krwi. Bo on i te wioski, ludzie i browning były jakby kółkami jednego łańcucha. A teraz?.... Przypomina mu się matka, której »syn pójdzie na śmierć z podniesionem czołem i czystem sercem. Bo w jego sercu skipiała się krew przelana niewinnie, bo w niego zlały się wszystkie ludzkie łzy i płomieniem rozgorzał gniew ludu... Zabijaj mnie, kacie! Ty zabijasz lud«...

I któż to dał temu więźniowi prawo sądu nad uczynkami ludzkiemi? Zapewne jakaś organizacja rewolucyjna, jakiś trybunał samozwańczy, który o tyle niesprawiedliwszym okazał się od sądów państwowych, że skazywał na śmierć, nie dając możności oskarżonemu oczyścić się z uczynionych mu zarzutów i wykonywał wyroki skrytobójczym sposobem. Ilu to Bogu ducha winnych ludzi wysłały

w ten sposób trybunały partyjne w Rosji na tamten świat, któż policzyć w stanie...?

— »Teraz jam tutaj — czytamy dalej w pamiętniku bojowca — pośród tych ścian, jak zwierz w pułapce... Jak ginąć tu... w tym worku... kiedy tam wolność... robota... towarzysze...«

Co to za »robota« i co to za »towarzysze« nie trudno odgadnąć. Natomiast więzień, jak się okazuje, miał odwagę spełniać wyroki sądów partyjnych, tylko brak mu odwagi w obliczu grożącej jemu samemu śmierci. Rzecz uwagi godna: ten, który lekceważył sobie życie drugich, drży o swoje jak o coś bardzo drogocennego.

— »Co, już idą?... Trzeba być ;spokojnym... trzeba być spokojnym... Tak spokojnym, ażeby serce stało się jak głaz, ażeby duma skuwała czoło, ażeby zadrgnął sam szary ranek i zetlało od złości serce katów... Idę bez żalu — tak było trzeba. Jakaż prześliczna moja droga... ostatnia krótka droga... prześliczny ranek, biały, mglisty, jak gdyby całun mogilny. Brzęk.,. brzęk... chrzęszczą karabiny z tyłu na plecach... Już? Tak blisko?... Stało się... Nie trzeba... ja sam... żeby widzieli oczy... I swój ostatni oddech... Mamo«!...

Więzień zbudził się z straszliwego snu. I znów ogarnia go jedyna myśl ucieczki z więzienia. Okno wysoko... Tak wysoko... A podkopać się? Co?... Niemożliwe?... A może przecież?...

Typ to, jakby żywcem z życia przeniesiony do książki. »Takich« bohaterów wolnościowych miała Rosja bez liku.

Najtęższym z pomiędzy wszystkich obrazków p. Kociubińskiego jest »*On idzie*«*!* osnuty na tle pogromów żydowskich, a napisany z taką siłą, że nie ustępuje bynajmniej analogicznemu dramatowi p. t. »*Ahaswer*« Heijermansa.

Okoliczności składały się bardzo źle. »Stanowy« był, zdaje się, niezadowolony z otrzymanej łapówki i jakkolwiek zapewniał, że nie dopuści do pogromu, nie znajdował wiary u ludzi. Najgorsze było to, że nikt nie wiedział, czy mająca po jutrzejszem nabożeństwie odbyć się procesja zostanie zaniechana, czyli też nie? O tem z trwogą szeptano w miasteczku. Przekupnie, pozamykawszy kramy wcześniej niż zwykli byli czynić to zazwyczaj, zgromadzili się na rynku i oglądając się trwożnie dokoła siebie, przyciszonemi głosami opowiadali jedni drugim o jakichś tajemniczych, nieznanych ludziach, którzy zjawili się niespodziewanie w miasteczku i o tem, że jeszcze rano bogatsi kupcy powyjeżdżali ze swemi żonami i dziećmi. Jedne za drugiemi przejeżdżały wozy ładowne, unoszące z miasteczka dobytek »puryców«. Niebawem rynek opustoszał zupełnie. Zbliżała się noc pełna zagadek.

W domu starego *szochata* Abrama odbywała się tymczasem narada przy świetle łojówek. Zgromadzili się tam sami starzy, doświadczeni ludzie ze zmarszczkami na czołach i białemi brodami. Wszyscy mówili razem, gdyż wszystkich przygniatała ta sama troska. Jedni chcieli zebrać jeszcze trochę pieniędzy dla »stanowego«, innym przychodziło na myśl, aby udać się do popów z prośbami o ratunek, byli też i tacy, którzy doradzali udanie się do synagogi, celem spędzenia całej nocy na modlitwie. Wielki Bóg, który wyprowadził Izraela z pustyni, który nie dopuścił do tego, iżby Żydzi utonęli w morzu nienawiści innych narodów, odwróci i tym razem od nich wrogą rękę. Kiedy jednak barczysty woźnica Josel, który miał silniejsze piersi od innych, przekrzyczał wszystkich i oświadczył, że młodzież postanowiła bronić się do upadłego orężem palnym, trwoga zamknęła wszystkim usta, a białe brody, jakby zwię-

dłe, opadły na piersi. W tej chwili rozpoczął się zgiełk na nowo. Stary *szochat* Abram, który przez cały ciąg swego spokojnego życia podrzynał tysiącom kur i gęsi szyje, pobladł cały i zakrzyknął:

— »Jak! Oni chcą strzelać! Ci głupcy, ci opętańcy! Oto »politycy«! Oni chcą przelać krew, jaka spadnie na nasze głowy. Oni wywołają zemstę — i zemsta jak wilk poźre nasze dzieci, cały spokojny lud! Aj-waj«!

Wszyscy krzyczeli razem z Abramem: krzyczały bezzębne usta, krzyczały zmarszczki mądrości i doświadczenia, skakały brody oraz białe i chude ręce. A od oburzenia i krzyku wszystkim stało się duszno i nawet nieco lżej, jak gdyby tym krzykiem wypędzali z domu trwogę. Ostre to oburzenie niebawem jednakowoż przeszło i krzyki powoli ucichły. I znowu powstało pytanie toż samo co na początku, co mają robić?... Ale nikt nie mógł nic wymyślić. I czem jaśniejszem stawało się, że niema absolutnie żadnej rady, że nie można nawet uciec, bo niema koni, ludzie zaczęli naraz wierzyć w cud. Stanie się coś takiego, co odwróci nieszczęście, procesja przejdzie cicho i nie zaczepi nikogo.

Ktoś podał myśl, aby o przebieg dnia jutrzejszego zapytać ślepą Esterkę, która kiedyś przeczuła śmierć swoich dzieci, a potem oczy wypłakała z żalu za niemi. Przyprowadzono ją tedy do *szochata*. Zaczęła mówić, a głos jej brzmiał tak uroczyście i z taką potęgą, jak u starodawnych proroków:

— ...»Widzę zwierzęta... dokoła zwierzęta. W ich oczach ogień, a na zębach krew... ludzka... czerwona... A w sercu mają wilczą żądzę... Oni niosą swego Boga i na drążkach, co w ich rękach, krew... krew synów moich biednych... Aj-waj« !...

— »Aj waj!... — z cicha wyjęczały dziesiątki słuchających jej wróżby Żydów.

— »A ich popi śpiewają i czarnemi ustami chwalą Pana Boga, a na szatach ich krew... ludzka krew... I ryczą krwawe zwierzęta razem z popami i rozbijają o kamień głowy dzieci maleńkich... Aj-waj!... Ot, pod nogami u mnie krew... czarna, zapieczona... wielkie, czarne kałuże... Leżą kobiety białe jak kreda i patrzą ich martwe oczy na mężów... na trupy dzieci... I skaczą po dzieciach spieniałe zwierzęta i wyją: śmierć! śmierć!

— »Aj-waj!« — rozlegały się jęki w izbie i płacze ze dworu.

— ...»Ogień i śmierć!... Widzę ręce, widzę oczy, błagające o ratunek... Słyszę krzyk... Walą się, ściany... strzelają... piekło... Oj duszno mnie... Oj, moje serce... A teraz słyszycie?... Sza! Biegną po schodach... wyłamują drzwi... A tam moje dzieci... moje syny kochane... Aj waj!... Ratujcie... Nie bijcie«...

I wszyscy podchwyciwszy żałobne »Aj waj!«... zaczęli jęczeć, aż stało się tak strasznie, jak w sądny dzień. A *bobe* Esterka mówiła ciągle i łzy bezustanku lały się z jej ociemniałych oczu. Rozbity, starczy głos dzwonił czasami, jak głos proroka, a wtedy dokoła robiło się cicho, ludzie wstrzymywali oddech i składali na dno serca każde słowo staruszki jak ciężki żal. Może to nie Esterka mówi, a ich dola i czerwony tuman, który zawisł nad miasteczkiem, może jutro przemieni się w rzeczywistość? Może te dzieci, które teraz tulą się u kolan matek, będą jutro walały się po ulicach, nieżywe, tłoczone ciężkiemi buciskami pijanej tłuszczy?... Aj-waj!...

Kiedy wreszcie Esterka zamilkła i ją pochyloną wyprowadzono popod ręce na ulicę, tłum, zgromadzony pod oknami, rozstąpił się i odprowadził

bobe aż do jej chaty. Goście *szochata* rozeszli się też, unosząc z sobą na noc trwogę.

Przed świętem prawosławnem miasteczko przeżyło niespokojną noc. Do świtu lampy paliły się w mieszkaniach, a ludzie nie spali, gotując się na dzień jutrzejszy, jak na pożar. Chowano kosztowniejsze przedmioty. Zewsząd rozlegał się płacz.

Rankiem miasteczko było jakby bezludne. Po opustoszałych ulicach błąkały się tylko kozy.

Nagle odezwał się z dzwonnicy dzwon. Zatrząsł powietrzem i jak nóż ugodził w serca. A kiedy dzwony zadzwoniły wszystkie razem i naród zaczął zbierać się na nabożeństwo, setki ócz spoglądały na tłum przez szyby okien.

Blady, niewyspany *szochat* Abram słuchał głosu dzwonów z drżeniem na całem ciele. Długo namyślał się nad tem, czy wyjść z domu na ulicę? Ostatecznie odważył się i drobnym krokiem, oglądając się na wszystkie strony, podążył w kierunku rynku. Szedł z ogromną trwogą w sercu. Po drodze dowiedział się, że lud zbiera kamienie i chowa je w zanadrze. Ktoś widział u innego siekierę pod sukmaną. Wówczas Abrama ogarnęło przerażenie. Zaczął tedy wrzeszczeć do spotkanych swoich współwyznawców, że trzeba bronić się, strzelać, kłóć nożami i narobił takiego hałasu i zgiełku, że przestraszeni ludzie wybiegali z domów i błagali go, żeby umilkł już raz. Ale on blady, zapieniony, rzucając straszny wzrok dokoła siebie, krzyczał jak gdyby chciał krzykiem zagłuszyć ogarniającą go trwogę. Ci, którzy nie słyszeli, skąd krzyk powstał, w przekonaniu, że pogrom już rozpoczął się, w panicznym strachu uciekali z rodziną w pole.

Nareszcie Abram umilkł i nagle zrobiło mu się straszniej tu wśród ludzi, aniżeli mu było w domu. Od strony rynku dał się słyszeć krzyk: »Już idzie«!

Może tam już leje się krew, może tam już rzną, mordują? Zaczął uciekać, ile mu sił starczyło, w kierunku swego domostwa. Byle jak najprędzej dostać się do domu!

Esterka siedziała na progu swojego domu, zakrywszy twarz rękoma. Zobaczy to, przed czem wszyscy pouciekali, a co tam w Odessie zabrało jej synów. Ale nie bała się. Czegoż ma się obawiać, kiedy to, co mogło być najstraszniejszem, stało się dawno? Nie strach, lecz nienawiść zakipiała w jej piersiach na odgłos dzwonów. Zdawało się jej, że te setki krwawych rąk wyciągnęły się od dzwonnicy ponad dachami domostw. Wstała i wyciągnąwszy ręce poprzód siebie. poszła na spotkanie procesji. Nagle usłyszała coś, co brzmiało, jak płacz, jak wycie, wichru. Po chwili dźwięki te przemieniły się w wielki nieustający ryk.

Szła procesja. Esterka nie zdawała sobie z początku sprawy, z czego pochodzi ów zgiełk. Po namyśle jednak przebiegło jej przez głowę: »Ach! on idzie!... on idzie!«. A gdy ogarnęły ją tłumy ludu, podniosła ręce do góry krzycząc:

— »Słuchaj, ty, żydowski synu! Znowu ty idziesz? Ty, któryś zabrał moje dzieci! Mego Lejbę i mego Chajma... Ty znowu błogosławisz rozlewowi krwi twego narodu! Słuchaj, oddaj mi moich synów... To ja tobie mówię, ja... ślepa Esterka, com wypłakała oczy... ja, matka synów moich biednych... Słuchaj, dokąd idziesz, zatrzymaj się... Dość krwi...«

Dokoła niej stąpały tysiące nóg, dyszały tysiące piersi, dudniły basy, a dzwony jęczały, jak opętane...

Niemniej kapitalny jest typ kata-ochotnika w szkicu p. t.: »*Persona grata*«. Typ to z życia schwycony z zadziwiającą wiernością całej charakterystyki aż do najdrobniejszych szczegółów, co mogę zaświadczyć, jako że raz byłem obecny przy masowem stra-

ceniu rewolucjonistów na t. zw. »Lisim nosie«, niedaleko Kronsztadu.

Dla zrozumienia treści obrazka wymienionego muszę dodać jeszcze następujacą uwagę. Kodeks karny rosyjski nie zna kary śmierci. Dlatego też nieznaną jest również w Rosji instytucja kata państwowego. Karę śmierci utrzymano tylko w kodeksie wojskowym. To też z chwilą ogłoszenia stanu wojennego, jak to miało miejsce podczas rozruchów lat ostatnich, władza znajduje się bez kata. Że zaś tej roli nie chce podjąć się nikt ze stanu cywilnego przeto funkcje katów sprawują zazwyczaj zbrodniarze, odsiadujący więzienie, otrzymując wzamian za to rozmaite ulgi i udogodnienia.

Taki typ właśnie kreśli p. Kociubińskij w szkicu »*Persona grata*«.

Łazarz nienawidził z całej duszy dozorcę więziennego, któremu aresztanci dali przezwisko »morda«. Razu jednego zawołano Łazarza do kancelarji więziennej. O czem tam z nim rozmawiano, tego nie wiedział nikt z towarzyszów niedoli Łazarzowej, on zaś sam, pytany o to, plótł im coś niewyraźnie, ni w pięć, ni w dziewięć. Napozór zdawało się, że nie nastąpiła żadna zmiana. A jednak! Łazarz zmienił się do niepoznania. Myślał o czemś głęboko, nieustannie. Podczas przechadzki liczył coś tajemniczo na palcach: »Jeden — dwadzieścia pięć, za dwu — pół setki, za dziesięciu będzie trzysta bez pięćdziesięciu«.

Sposób życia Łazarza zmienił się do niepoznania od tej nocy, w której cichaczem zabrano go z więzienia i wsadzono do pociągu kolejowego. Zamiast chałata wziął na siebie żółtą koszulę, dostał też wysokie buty. Siedzący zaś naprzeciwko niego żandarm rozmawiał z nim przyjaźnie tak, że Łazarz

zapomniał, iż jest aresztantem. Kiedy zaś stróż bezpieczeństwa przyniósł flaszkę wódki, którą wypróżniono w dwójkę, obydwaj zaczęli krzyczeć i przeklinać na całe gardło, ściskali się nawzajem za ręce i coś przyrzekali. Łazarzowi szumiało z lekka w głowie, serce zaś napawało się zadowoleniem, że taka ważna osoba w mundurze i przy szabli ściska go za rękę i rozmawia, jak z równym. Jechali tak całą noc, cały dzień i znowu noc, aż w nocy przybyli do więzienia. Tu, nie zważając na spóźnioną porę, przyjął Łazarza zarządca. Zaprowadzono go do celi, wcale schludnie utrzymanej, z łóżkiem wygodnie zasłanem, jakiego nigdy w życiu nie miał. I gdyby nie okno zakratowane, Łazarz mógłby był myśleć, że nocuje u jakiegoś bogatego pana. Rano jakiś więzień przyniósł mu herbatę i chleb. Dawano mu wódki, ile tylko zapragnął, przysyłano kompanję do gry w karty. Dnie mijały po dniach. Łazarz wysypiał się do woli, jadł, ile mógł, pił wódkę i grał w karty. Aż raz zbudzono Łazarza tuż przed świtaniem. Żandarm kazał mu odziać się, poczem wyprowadził za bramę, gdzie czekał już pojazd. Jechali długo wśród ulic bezludnych, skręcili na pola, aż przyjechali na plac, na którym stała szubienica. Niebawem dał się słyszeć szczęk broni i z mgły zaczęli wynurzać się ludzie. Był ich spory orszak.

Na czele kroczył, plątając się w swoich *ryzach*, wysoki pop. Za nim szedł naczelnik więzienny i jeszcze jacyś ludzie, pochód zamykał oddział żołnierzy, od których ciemnych mundurów odbijało coś jasnego. Ta jasna plama zwróciła na siebie uwagę Łazarza. Była to postać dziewczęcia o jasnych lnianych włosach. Łazarz zaczął niecierpliwie szukać oczyma tego, dla którego zeszli się ci ludzie tutaj, dla którego postawiono ten słup. Takiego jednak nie znalazł.

Podeszli blisko i postawili dziewczę pod rusztowaniem. A Łazarzowi zabłysła myśl w głowie: »Dlaczego ono nie płacze?... Dlaczego nie krzyczy?«... Stoi natomiast spokojnie i cicho i patrzy śmiało. Potem powiedział coś naczelnik więzienia i podszedł pop, podnosząc krzyż do ust skazanej. Ona jednakowoż odtrąciła ręką znak męki Pańskiej, wydała z siebie jakiś głośny okrzyk. Wszyscy stali pobledli, ona zaś wbiegła szybkim krokiem sama na rusztowanie.

Łazarz stał patrząc, jakby zapomniał, co mu czynić teraz należy, jakby to wszystko było tylko snem.

Ocknął się dopiero na głos żandarma. Rzucił się niezręcznie w stronę skazanej. Nie broniła się... Sama złożyła ręce i stała, czekając, póki on nie zdąży ich związać. Następnie podano mu długi, biały worek. Drżącemi rękoma zaczął zakładać go na głowę dziewczynie, kiedy zaś dotknął jej ciepłej szyi, uczuł, jak gdyby go coś upiekło; strzepnął się całem ciałem. Kiedy zaś wytrącił jej z pod nóg schódki, poczuł ciszę jakąś niezwykłą, śmiertelną ciszę, która ssała serce.

Do Łazarza zbliżył się naczelnik więzienia. Podniósł rękę, chcąc poklepać go po ramieniu, ale w tej chwili cofnął ją i tylko głosem stłumionym rzucił mu słowo: *M-mołodieč!...* Wnet cały orszak odszedł.

Tego dnia Łazarz mógł pić do woli. Iwan i Kalenik pomęczyli się nieustannem przynoszeniem mu flaszek. A on pił na umór i krzyczał, iżby w izbie jego panował gwar. Sam zaś napróżno starał się odgadnąć, co to dziewczyna krzyknęła, stojąc tam pod słupem, przed śmiercią? Słyszał wprawdzie jej donośny głos, ale słowa ukryły się w pomroce, jaka ogarnęła mu skronie w owej chwili. Pod wieczór spił się i chciał z kimś bić się, Iwan jednak i Kalenik uciekli, a Łazarz zwalił się na łóżko.

Zasnął. W pijanym śnie usłyszał najwyraźniej słowa, jakie dziewczyna rzuciła w twarz obecnym przy egzekucji, chociaż słów tych nie rozumiał i nie myślał nad ich znaczeniem. Teraz ujrzał jej cienkie włosy, drobne dłonie, jakby dziecięce. A ciepły dotyk jej białej szyi żył na jego ręce i rozłazil się po całem ciele, jak stado mrówek. I śniło mu się, że patrzy na swoje ręce, czy coś nie przystało do nich?...

Po tym wypadku budzono Łazarza często. Wstawał, szedł na robotę, do której nie czuł już wstrętu, jaki ogarnął go był po pierwszym razie. Był nawet poniekąd zadowolony, bo widział znowu pole, zieleniejące zbożem, wschód słońca, czuł powiew wiatru. Przyzwyczaił się, boć, jak ktoś słusznie powiedział, człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego prędzej niźli bydlę!...

Miewał do czynienia z rozmaitymi ludźmi. Jedni szli śmiało, mówiąc przed zgonem ślicznie. Inni, pobledli, jak trupy, ledwie sunęli nogami, niektórych musiał wieszać już omdlałych. Inni wreszcie klęli, łajali i opierali się jemu. Takich wlókł za kark, krępował im ręce i mordował się tak, że pot występował na całem jego ciele. Byli tam i starcy i młodziki, mężczyźni i kobiety, panowie i ludzie z gminu. Czasem robota nie szła, jak na złość, gdy pętla zsunęła się z szyi skazańca, lub była źle zaciśnięta. Wówczas biały worek skakał, kurczył się i nie mógł prędko umrzeć. Celem skrócenia męczarni, Łazarz ciągnął wisielca za nogi, aż coś chrzęściało i był koniec. Raz nawet postronek urwał się i trzeba było powtarzać operację. Innym razem trafiło się znowu tak, że sznur był za długi, to też, kiedy Łazarz wybił schódki skazańcowi z pod nóg, ciało drgnęło, jak opętane, i oderwało się. Tylko głowa została w pętlicy i skakała wraz ze sznurem, zalewając krwią całe płótno. Ile to wówczas nasłuchał się poza niezręczność?!...

Każdy z »klientów«, spotykając się w ostatnich chwilach swego życia z Łazarzem, zostawiał mu jakiś szczegół swojej postaci na zawsze w pamięci: wzrok, głos, kolor włosów, kształt szyi, ruchy, słowa. Wszystkie te niespodziewane podarki żyły w Łazarzu swojem tajemnem życiem. Przypominało się mu to wszystko podczas snu. Bo w dzień zazwyczaj nudził się, albo chodził nachmurzony, gniewny. Wówczas bił Iwana i Kalenika, klął i pił. Pijaństwo wytwarzało w nim dzikie zachcianki i złość. Krzyczał na wszystkich, walił pięściami w drzwi i dokuczał każdemu, jak mógł.

Raz nie przyjął rano czajnika, lecz zażądał samowara. Gdy zaś Iwan nie chciał spełnić jego żądania, poparzył go ukropem i porozbijał naczynia. Przychodził starszy, krzyczał, ale Łazarz dalej z uporem zawziętym domagał się samowara i wyprawiał takie hałasy, że starszy uciekł, a na stole pojawił się samowar. Wymagania Łazarza stawały się większe z dniem każdym. Oprócz wódki zażądał piwa i — codziennie podawano mu piwo. Przynoszono tez drogie potrawy, a całą izbę przystrojono kilimami. Łajań jego słuchano w milczeniu i to doprowadzało go do wściekłości. Zrodziła się w nim konieczna potrzeba męczenia wszystkich, kto się tylko nawinął. Po pijanemu zdawało mu się, iż jest znaczną figurą, to też wyprawiał szalone awantury i bił wszystkich. Aresztanci skarżyli się dozorcom, ale ci niekiedy tylko starali się pohamować zapędy wojownicze Łazarza w sposób delikatny.

Teraz dokuczało mu wszystko: i te ściany i wódka, Iwan i Kalenik. Po nocach miewał widzenia, czuł pod ręką jasnowłosą kosę dziewczęcą i delikatną szyję. Tak mijał mu tydzień po tygodniu i świat stał się dla niego niemiłym. Poczuł nawet obrzydzenie do wódki, ale mimo to pił nadal,

chociaż wódka wydawała mu się podła, niesmaczna, i tak słaba, że nie mógł upić się nią. Wówczas występowała u niego potrzeba krzyku, hałasu i awantur. Nie mógł tylko odegnać od siebie ciszy, która szczerzyła doń zęby ze wszystkich kątów izby. Przemogła go...

Po nocach przypełzały do jego łóżka mary powieszonych przez niego, najczęściej zaś owo jasnowłose dziewczę z zapytaniem jednem i tem samem na ustach: »Za coś mnie zabił«?... Łazarz tego nie wiedział. Nie wiedział, jak ma na to odpowiedzieć, a przecieć pragnął, ażeby ona do niego mówiła i opowiedziała mu o wszystkiem. Raz opowiedziała mu tym samym głosem, jaki przetrwał w jego słuchu dotąd, iż zostawiła staruszkę-matkę, która teraz za nią tonie cała we łzach i że on zabił ją tylko dlatego, że mu za to zapłacono. Czyliż potrzebne mu tak były te pieniądze? Czyż dały mu spokój, szczęście lub zdrowie? Czyż godziło się pozbawiać człowieka życia za wódkę, pieniądze i za grzech?... Czyliż mu teraz lepiej, aniżeli dawniej?

Iwan i Kalenik robili rozmaite przypuszczenia co do zauważonej w całem zachowaniu się Łazarza zmiany. Długo zastanawiali się nad przyczynami jej możliwemi, aż zgodzili się na to, że Łazarz, widocznie, przepił się, gdyż chodzi zasępiony, cichy i ciągle nad czemś rozważa. Chodzi po izbie i nagle bez przyczyny wyciągnie przed siebie dłonie, popatrzy na nie uważnie i znowu schowa do kieszeni. Co też on widzi na swoich dłoniach?...

Przez kilka już dni nie przychodził po Łazarza żandarm. Każdego wieczora, kładąc się spać, myślał Łazarz o nim i spodziewał się nad ranem jego wizyty. Kto też przysyła po niego żandarma?... myślał, położywszy się do łóżka. Jacy ludzie? Chciałby był ujrzeć tych ludzi, od których uważał

się piękniejszym, czystszym. Tych ludzi, którym wstyd nawet słońca, skoro każą wieszać przed świtem! Myśli jego błąkały się, aż padały z wyczerpania. Od tych myśli robiło się mu duszno.

Nareszcie jednej nocy zjawił się żandarm. I stała się rzecz niespodziewana!

Kiedy bowiem zbudził Łazarza i kazał mu ubrać się, Łazarz oświadczył z uporem chłopskim, iż o tem ani myśli. Kiedy zaś żandarm zaczął nalegać, Łazarz wpadł w furję piekielną, bił wszystkich, kto mu się nawinął pod rękę, tak, że musiano go związać, przyczem pobito go dotkliwie. Przyszedł nawet dozorca sam, zaklinając i prosząc. Bo i jakżeż można tak robić!?... Przecież tak mu we wszystkiem dogadzają, jak żadnemu z więźniów! Tylko nie trzeba chlać tak wiele gorzałki, gdyż, ot! — jaki ona skutek zły wywiera...

Łazarz związany leżał wśród zdemolowanej celi. Oddychał ciężko, a w sercu jego drżała zła radość, że dzisiaj nie będzie egzekucji i że od niego są zawiśli ci nieznani mu, którzy mają moc życia i śmierci...

Potem Łazarz upokorzył się. Ucichł i już nie sprzeczał się, gdy go żandarm przebudził ze snu. Szedł do swego zajęcia, jak rzemieślnik, tylko oczy błyszczały mu czemś niedobrem, co krył na dnie duszy. Łazarz stał się milczący i spokojny tak, że Kalenik wraz z Iwanem nie mogli dość nachwalić się go. Przypuszczali, że od tego czasu, gdy kata tak dotkliwie pobito, on poczuł siłę *naczalstwa*, gdyż najczęściej rozmawiał z nimi o przełożonych. Najwięcej zaś zaciekawiał go ów ktoś, o którym ani Iwan ani Kalenik nie mogli mu dać bliższych objaśnień. »On« da rozkaz zabicia i zaraz stawią słup, prowadzą do niego człowieka, żandarm przychodzi po Łazarza, a Łazarz nakłada pętlę na szyję.

W ciasnej głowie kata, w której dawniej myśli były jak poplątane nitki, teraz zwijały się w jeden kłębek.

Teraz Łazarz myślał nieustannie nad tem, kim jest ów potężny i gdzie go szukać? I co z nim zrobić?...

Wówczas po raz pierwszy od czasu, gdy go ogarnęło zniechęcenie i apatja, gdy nabrał wstrętu do swego rzemiosła, po raz pierwszy poczuł rozkosz gubienia ludzi. Poczuł nienawiść w sercu i rozkosz męczarni.

Niemniej ciekawy psychologicznie jest kończący książkę obrazek p. n. »*W drodze*«.

Młody student Kiryło żył w atmosferze gorącej, trwożnej, niebezpiecznej. Nadzieje lepszego jutra to rosły, to upadały w jego sercu. Otaczał go długi korowód ofiar, między któremi nie brak było najukochańszych, najbliższych, otaczały go opary krwi i taniec śmierci. Atmosfera, w jakiej żył, odepchnęła od niego rodzinę. Zapomniał nawet, jak się nazywa. Teraz wszyscy nazywają go imieniem »Kiryło«, »towarzysz Kiryło«.

Nadeszła chwila, w której musiał ukryć się dobrze przed oczyma wrogów. »Towarzysze« zaprowadzili go do jakiegoś położonego na przedmieściu domu i tu oddali go pod opiekę jakiejś starszej kobiety. Teraz, gdy czuł się bezpiecznym, zaczął rozmyślać nad tem, po co tu przyjechał, co ma wykonać, — i czarny pająk troski zaczął już oplatać go siecią.

Wieczorem doszedł go z mieszkania gospodyni czyjś głos srebrzysty, który go zachwycił. Niebawem ujrzał właścicielkę tego czarującego głosu. Była nią córka gospodyni, dziewczę młodziutkie, rozkoszne, modrookie.

Z nudów chodził na przechadzkę do pobliskiego lasku w ciągłem oczekiwaniu na otrzymanie

rozkazu listownego od partji. Po upływie długich dni, gospodyni podała mu raz list. Schował go odruchowo do kieszeni i zaczął rozmyślać, dlaczego dziewczę nie zaglądnie do niego, chociaż je o to prosił. O niem marzył bez przerwy. Marzenia te odebrały mu siłę do czynu. W snach zdawało mu się, że musi coś wykonać bezwarunkowo, koniecznie, ale — nie może. Zbiera wszystką swoją moc, napręża wolę, oblewa się potem — i nie może... A musi! To bolało go niewypowiedzianie. Budził się wyczerpany, bezsilny, rozbity, jak gdyby dokonał się w nim jakiś zasadniczy przewrót.

Teraz Kiryło nie chadzał już sam na przechadzkę. Panna Guścia bowiem znała doskonale wszystkie cudowne zakątki lasu. Towarzysząc mu, szła przed nim wesoła i świeża, rozkoszna i rozpromieniona, jak słońce. Często przekomarzali się słowami, które przylegały do nich, jak osty, które trudno oderwać od ubrania.

Zjawiali się tutaj każdego rana, zrywali kwiaty leśne, zbierali grzyby, zbiegali, trzymając się za ręce, w doliny. A on nie mógł odróżnić jej od szmeru lasu, od woni ziół i kwiatów.

Raz wśród głuchej nocy zbudziło go słowo straszne, które usłyszał najwyraźniej: — »Zdrajca!«...

Zbudzony Kiryło oglądnął się z niepokojem po izbie. Nie było nikogo. Siadł machinalnie na łóżku i wyjąwszy z kieszeni nierozpieczętowany dotąd list, który mu dawno już podała gospodyni, postanowił go otworzyć. Jakaś odraza powstrzymała go od tego, zawywszy w nim, jak przestraszony pies, i ręka opadła mu bezwładnie. Niewidzialna, gorąca fala uderzyła mu w głowę i spędziła go z łóżka. Co? u djabła! — rozumował. Wszak liczy dopiero dwadzieścia lat, a zatem ma wszelkie prawo do życia, jakie mu daje wiek młodociany!...

Któż może go zmusić do zniszczenia swego »ja«, chociażby to nawet było potrzebne tysiącom innych? Przecież on ma prawo zostawić też dla siebie odrobinę!.. Zawrzał cały ze złości i chodził nerwowo z kąta w kąt, od ściany ku ścianie.

Co działo się na świecie?... Alboż go to interesowało?!.. Gazet nie czytał, listów nie otrzymywał i nikt nie przychodził do niego. Raz z początku ktoś się o niego dopytywał, a nie mogąc go nigdy zastać, nie pokazywał się więcej.

Przypadkiem spotkał się na ulicy ze znajomym, z którym nie widział się od dwu lat. Przypomniał sobie tego »bandytę«, który piorunował na zgromadzeniach, nawoływał do rewolucji, był odważny, gorący i lubiany. Przypomniał sobie także jego żonę. Ale jakim sposobem oni jeszcze żyją i to, w dodatku na wolności?...

Ulegając prośbom znajomego, pomimo niechęci ze strony własnego »ja«, dał się zaprowadzić do ich willi, gdzie zastał »towarzyszkę« Marję, zajętą gospodarstwem domowem, ogrodem, kurami, gęśmi itp.

Przy stole »towarzysz« Iwan, jak gdyby umyślnie, rozpoczął podniesionym głosem dyskusję o najświeższych wypadkach, ale wnet zmienił temat, zapraszając gościa do oglądania gospodarstwa. Wszystko tu było dalekie od tego, przed czem czuł Kiryło lęk, udając się na *daczę*. Pozostał tedy u znajomych.

W dnie powszednie Iwan jeździł do biura, skąd powracał późno, łając »ziemstwo« współczesne, w którem był urzędnikiem; kpił sobie złośliwie z tych liberałów, którzy tak prędko zmienili owczą skórę na wilczą, przywoził nowiny. Pomiędzy jedną łyżką barszczu a drugą opowiadał o tem, wielu skazano na śmierć, wielu powieszono. Słowa te zajadał barszczem, a w antraktach komunikował, że wojsko strzela po wsiach chłopów, jak dziczyznę. Wszystko

to zaś opowiadał z takim spokojem, jak gdyby to działo się kiedyś przed wiekami.

Żonę jego zaciekawiały niekiedy szczegóły w rodzaju: oderwanych przez bombę rąk, nóg, ale to wszystko było niczem wobec troski, iżby piróg nie przypalił się. Zapominała o wszystkich okropnościach i biegła na kłótnię z kucharką. Potem kładli się spać. Kiryło zaś wybiegał na dwór, żeby nie słyszeć ich spokojnych oddechów.

Sypiał i Kiryło — prawda, że nie za dnia. Natomiast w nocy męczyły go sny straszliwe. Śniło mu się bowiem noc w noc, że on coś musi... musi, a nie ma tyle sił, żeby to coś wykonać i sam nie wie, co to takiego on musi...

Wieczorami przychodziła do niego zesłana skądś kursistka, która mieszkała w sąsiedniej willi. Przynosiła z sobą na twarzy bajeczny jakiś, jakby nie z tego świata, zachwyt, a pod pachą książkę. Zasiadano przy świetle lampy do wspólnej lektury rzeczy niezdrowych, chorobliwych, chimerycznych w rodzaju *A rebours* Huysmannsa, gdzie miłość gniła jak rana, a »ja« rozkwitało w przepyszny trujący kwiat. Orgja ducha i ciała, instynkty dzikie i ów protest wszystkiego przeciw wszystkiemu...

Niekiedy młodzi sprzeczali się. Wówczas twarze ich gorzały, pani Marji czerwieniały końce uszu a oczy nabierały blasku fosforycznego, Iwan przechadzał się po pokoju z natchnionem obliczem i zadziwiał wszystkich urywkami najtęższych przemówień, kursistka zaś siedziała w zachwycie bajecznym, jak królewna państwa podziemnego.

Im dalej zaś byli od myśli o smutnych wypadkach, jakie dzień każdy przynosił, tem silniej chwytali się ich wszyscy troje, jak gdyby chcieli z zamkniętemi oczyma przepłynąć nad głębiną, w której kryły się szczątki rozbitego okrętu. Czy-

tanie kończyło się pożno w noc. Iwan odprowadzał kursistkę do domu, a powróciwszy, zastawał żonę zatopioną w lekturze jakiejś książki. Kiedy zaś trzeba było pomyśleć o spoczynku, wówczas dopiero zaczynały się sceny o to, kto weźmie książkę na noc do siebie.

Kiryłą nie zajmował się teraz nikt z tą pieczołowitością, jaką okazywano mu podczas pierwszych dni jego pobytu na *daczy*. Kiryle życie obmierzło, postanowił tedy zapytać Iwana stanowczo, dlaczego nie bierze udziału w pracach i przedsięwzięciach partyjnych, on, luminarz między niedawnymi przywódcami...

Kiedy zatem Kiryło napomknął o tem, Iwan poruszył ze zdziwieniem ramionami.

Bo i cóż ma teraz robić?... Pośród ogólnego zniszczenia, apatji i zniechęcenia!... Przecież nie jest bohaterem i nikt nie ma prawa wymagać od niego czynów heroicznych. Robił, kiedy można było robić!...

Przyszło stąd do kłótni, podczas której krzyczeli obaj ze złości. A przez piersi każdego z nich krzyczał własny ból, wstyd, krzyczała potrzeba ranienia siebie samego, podczas chłosty, jaką wymierzało się drugiemu.

Rozeszli się zagniewani srodze. Kiryło błąkał się długo, aż nareszcie zdołał pohamować się nieco. A zatem: czy miał słuszność?... czy nie obraził bez najmniejszego powodu Iwana?...

Powracając do willi, ujrzał Iwana i jego żonę zgiętych podczas pielenia chwastów na grządkach.

Nie poszedł do miasta, lecz udał się do swego pokoju i pierwszą jego czynnością było wydostanie owego nierozpieczętowanego listu z kieszeni. Wydobył szarą, pomiętą kopertę. Rozdarłszy ją, zaczął czytać.

Jeszcze nie zapóźno!... Teraz wiedział nareszcie, co ma uczynić. I kiedy tak rozważał nad treścią listu, doleciał go z balkonu głos pani Marji z zaprosinami na kolację.

Kiryło jednakowoż nie odezwał się. Zabrał się w drogę...

Takiem niedomówieniem kończy się nowelka, a z nią razem tom p. Kociubińskiego. Można domyślać się, że Kiryło poszedł wykonać rozkaz partji, a więc popełnić jakiś zamach browningowy lub bombowy.

*
* *

...Otośmy chwasty na ugornem polu... zeschłe konary, złamane przez wichry...

Smutne to określenie nasuwa się zawsze, ilekroć zdarzy mi się czytać utwory rosyjskie, czy też małoruskie, które obrały sobie za tło wypadki lat ostatnich. W kałużach brudu szukano ideałów, bohaterów, czynów wielkich, jak gdyby nie chciano zrozumieć, że cały ruch rewolucyjny rosyjski po roku 1905 był ognikiem błędnym na podobieństwo tych, jakie błąkają się nad gnijącem bagniskiem, pokrytem przecudną trawką, lśniącą barwami tęczy.

II.

Literatura piękna małoruska nie miała nigdy szczęścia do artystycznej formy.

Od czasów epoki romantycznej i hyperromantycznej wymagania pod względem formy wzmogły się niepomiernie. Poezja europejska posunęła rozwój budowy strof do istnego wirtuozostwa. W ślad za wzorami francusko-belgijskiemi poszły wszystkie literatury zachodnio-europejskie, ze słowiańskich zaś tylko po części czeska w najtęższych swoich przedstawicielach Zeyerze i Vrchlickym, do kunsztu zaś doprowadziła »Młoda Polska«, która może nie

tyle ma do zawdzięczenia w tem Heredji, Leconte de l'Isle'owi i innym koryfeuszom nowych prądów, ile Słowackiemu i Norwidowi.

Poezja małoruska pozostała dotychczas głuchą na te metamorfozy poważne, jakie dawno dokonały się gdzieindziej; tworzy w dalszym ciągu na ton przed pół wiekiem z górą słyszany gdzieindziej, jak gdyby najpospolitsza forma dumek ludowych nie przejadła się wszystkim nie od teraz, jak gdyby strzegła się wszystkiego, co zalatuje choćby odrobinę Zachodem.

Wszak przez tyle wieków stroniono na Ukrainie od kultury europejskiej, jak gdyby ona była conajmniej wytworem szatańskim!

Pojawiło się tam w ciągu lat paru ostatnich kilka talentów twórczych rzeczywistych, ale i te obniżyły samochcąc swoją wartość właśnie zupełną pogardą dla formy i zupełnem zaniedbaniem reform koniecznych, o ile chodzi o artyzm.

Ale — co tu mówić o formie, kiedy nawet rymy same pozostawiają aż nadto wiele do życzenia nawet u najzdolniejszych poetów małoruskich doby współczesnej. Żeby twierdzenie moje nie musiało być przyjmowane na słowo, przytoczę dla przykładu kilka okazów rymowania, wyjętych z całego legjonu podobnych, jakie napotykamy w tomie pierwszym poezji O. Ołesia p. t. »*Z żurboju nadija obniałaś...*« (Petersburg, 1909, str. 154), którego liczę do najwybitniejszych reprezentantów odradzającej się poezji małoruskiej.

Mamy tutaj takie rymy, jakich nadarmoby szukać w broszurkach kantyczkowych częstochowskich, w których z trudem możnaby zaledwie kilka analogicznych odnaleźć, w rodzaju takim jak n. p. rozćwiły — odjahły (str. 5), jasno — zasne (str. 13), tiażki — ljudski, doli — połe (str. 12),

odijde — pryjde (str. 16), błeskucze — kruczi, wiky — wtichy (str. 22) itd. Mamy ponadto n. p. Ołesia utwory, gdzie w jednej strofce są rymy, druga zaś pisana jest wierszem białym, bez jakiegoś planu, bez systematyki! Tem przykrzej mi czynić tak zasadnicze zarzuty, że p. Ołeś posiada niewątpliwie talent poetycki... Jest w nim materjał na wybornego nawet poetę. Dlatego też popełnimy małą niedyskrecję, zdradzając jego pseudonim, gdyż właściwe jego nazwisko brzmi — Aleksander Stepanenko z Charkowa.

W czasach wcale niewesołych rozpoczął p. Stepanenko działalność poetycką. O ile mi nadto wiadomo z ust osób postronnych, musiał czas pewien, pełen nadziei zawodnych, między rokiem 1903 a 1905, spędzić na wygnaniu gdzieś koło Wołogdy. Pomimo tych przejść i rozczarowań, jakie go spotkały na widok rozwiewających się w mgły obietnic wolności prawdziwej politycznej, potrafił nie upaść na duchu, jak inni, w nadziei promienia słońca, które prędzej czy później zabłysnąć musi. Stąd też rzadko kiedy u niego odezwie się struna rozpaczy bezkresnej. Nadzieja, wiara w lepszą dolę ożywia go co chwilę, to też teraz, jak ongiś w dzieciństwie dlań »szumi trawą step jedwabny, śmieje się dzień«, cały boży świat... Bo wierzy, że chociaż

Śnieg w gaju... lecz wiosną
    Rozzieleni gaj...
Może dolą jasną
    Zakwitnie mój kraj.
Sen... lecz ziiemę zbudzi
    Skowronkowy goniec —
Może, senny ludzie,
    Znajdziesz ty — snu koniec...[1] (str. 8.).

---

[1]) Przekłady tu cytowane wyszły z pod pióra autora niniejszej książki.

Widzi, coprawda, na twarzach wszystkich przygnębienie i ciszę, jak na wulkanie, wygasłym napozór, ale czuje, że w tych duszach nieszczęsnych na dnie morze ognia. To też rzuca hasło: »Rwij pęta, mój Samsonie!«...

Społeczeństwo małoruskie na Ukrainie pozostało głuche na odezwę poety. To też świadomość takiego stanu rzeczy wywołuje u Olesia smutną refleksję: »Cóż mi z tego — woła — że skowronek w polu będzie o wolności i o niebie śpiewać, gdy lud nie zerwie kajdan niewoli, gdy nie zacznie życia jako człowiek...« Że to, co tylekroć powtarzam o obojętności Rusinów ukraińskich wobec całego ruchu konstytucyjnego rosyjskiego jest prawdą, niechaj poświadczy zapalony patrjota ruski, który taką satyrę rzucił w oczy swemu społeczeństwu:

»W błocie żaby raj znalazły, tam rodziły się i gniły, a gdzieś ponad niemi klekotały orły w czystem powietrzu. I głosy żabie i smród zgnilizny do nich podnosiły się, więc orły do błot zlatywały i wylewały gniew srogi. Lecz żaby wszystkie w kłopotach na klekot orłów nie zważały, żyły, rodziły się i gniły w bagnie cuchnącem błota. I pełne żalu orły latały za chmurami i sytych żab już nie wzywały z błot do wyższego życia« (str. 18).

Myśl o obojętności społeczeństwa ruskiego nie daje poecie spokoju, co też wyrzeka w białym wierszu pt. »*Letnią nocą*«:

»Dychają cicho akacje smukłe,
Zlekka kołyszą się w mroku srebrnym,
Milcząc na księżyc patrzą i gwiazdy,
Patrzą się w świty — oczarowane.

Czemuż jam — mówcie — nie akacja smukła,
Po cóż mnie myśli spalają i męczą?!
Czemuż nie mogę zapomnieć na tyle,
Żebym mógł tylko patrzeć i oddychać?... (str. 20).

Chwilowa to jednak tylko rozpacz, chwilowe zniechęcenie, gdyż wiara w lepsze, jaśniejsze jutro, u niego znacznie silniejsza. To też odpędza czem prędzej od siebie w dal marę apatji i roje zwątpień — wołając całą piersią:

»Oj, nie kwitnij, wiosno, pysznemi kwiatami,
Bo naród mój wstanie } tu i w oryginale brak rymu!
Rozkuje kajdany,
Zaćmi świt dymami,
A pola ciałami.

Oj, nie kwitnij, wiosno: patrz — nadchodzą chmury,
Tęsknotą czernieją,
Gniewem czerwienieją...
Oj, te chmury kary...
Zadrzyjcie, janczary!«

Jeżeli poecie żal, to ma on jedno wspólne źródło. Pieśni jego latały gdzieś w podniebiu, nawołując do braterstwa, gdy tymczasem losy bryznęły na ich skrzydła potokiem krwi. Bo i jakże chciał być zawsze anielsko czysty?!

— »Znowuś przyszła — powiada w jednym utworze (str. 80), — żeby wszystkie chłodne uczucia zapalić ogniem pragnienia, ty znowuś przyszła rozbudzić wszystkie straszne bezdnie duszy mojej.... Tyś znowu przyszła, żeby rzucić na poniewierkę cały świat uczuć i myśli mych, żebym wiecznie tęsknił do ideału i nie mógł go osięgnąć«...

Już sam wiersz powyższy mówi za siebie bardzo wiele. — Wszak poeta pragnął życia bez burz, bez trwóg, to też sam zapytuje się siebie, czemu za szczęściem nie gonił, które mógł otrzymać z rąk kochanki? (str. 91). Czemu nie gonił?...

Charakterystyczną na to pytanie odpowiedź zdają się nam dawać trzy wiersze, następujące zaraz po tym:

— »Z tego, że on kocha, tyś rada, i ja nie płaczę i jam rad, bo na cóż mnie podstępna zdrada kiedyś ty we śnie cała moja« (str. 99). I wnet pocieszyć się chce tem, że »jest druga, która zawsze będzie wierną« (str. 107), choć przecież chciałby »upaść na ziemię i spać setki i tysiące lat, śnić o kochance zdrajczyni« (str. 105). Wcale oryginalnie!...

I bodaj czy nie ten zawód popchnął go w szeregi socjalistyczne (sam parokrotnie wspomina o czerwonym sztandarze! n. p. na str. 143). Rzecz przytem, nawiasem dodam, uwagi godna, że w szeregi rewolucjonistów wstępowano przeważnie albo z chęci łatwego zysku, albo, jak w danym wypadku, z powodu niepowodzenia miłosnego, rzadko zaś dla idei! I cóż?...

»Walczyliśmy szalenie, jako górskie orły, } tu brak rymu
Ale nas wrogi wzięły do niewoli } w oryginale.
I rzuciły jeńców za mury, za kraty
Katy i Piłaty«... (str. 150).

Dziś, kiedy chyba nieznający natury rosyjskiej mogą marzyć o powtórzeniu się wypadków z lat po manifeście październikowym, to też, zdaje się przynajmniej, że i nasz poeta przekonał się o niemożliwości mrzonek, jakie kiedyś pchnęły ludzi do ogłaszania wprost humorystycznych odezw w tej arcysmutnej historji ruchu rewolucyjnego republik estońskich i t. p., dla których upokorzenia wystarczało zupełnie kilka sotni Kozaków. Wszak cała t. zw. »rewolucja« rosyjska nie wykazała ani odrobiny tych sił, jakie podtrzymywały nasze po-

wstanie z roku 1863, w ostatnich nawet dniach jego upadku!...

To otrzeźwienie, zdaje się mnie, u. p. Ołesia nadeszło, skoro, rzucając krwawe mary, wyraża pragnienie pójścia

»Za chmury, gdzie słońce błyszczące lśni,
Bez ustanku lejąc z siebie żary...
Gdzie światła nabrałbym w swe serce
I sam już potrafiłbym świecić!«...

III.

Ruch t. zw. wolnościowy lat kilku pokonstytucyjnych nie przeminął tak samo dla najmłodszej literatury małoruskiej bez wcale widocznych śladów, jak pobudził wielu twórców rosyjskich do czerpania z wypadków współczesnych, a właściwiej mówiąc, z krwawych ich epilogów — osnowy do niezliczonych opowiadań, nowelek i obrazków.

W początkach tak zwanej rewolucji, a zwłaszcza w okresie, w którym ona rozgorzała olbrzymim płomieniem we wszystkich dzielnicach państwa rosyjskiego, literatura poszła całkowicie na wierną służbę nowych haseł i idei, apoteozując nawet te ujemne cechy wydarzeń, które w normalnym biegu życia państwowego należałoby potępić bezwarunkowo. Społeczeństwa zdrowe nie zniosłyby apologji zbrodni, bez względu na tę okoliczność, ktoby był sprawcą czynów moralnie złych. Że w Rosji stało się inaczej, da się to najzupełniej wytłumaczyć pomieszaniem pojęć o moralności i godziwości pewnych czynów, jakie ogarnęło wówczas wszystkie warstwy.

Ów zamęt w pojęciach musiał udzielić się — naturalną rzeczy koleją — także społeczeństwu małoruskiemu na Ukrainie. — I teraz, kiedy świetne marzenia okazały się złudą, kiedy w piśmiennictwie

rosyjskiem nastąpiła reakcja na całej linji, możemy obserwować ciekawe zjawisko fluktuacji prądów literackich. Bo i w najmłodszej literaturze małoruskiej daje się spostrzegać żal za złudami, co rychlej od tęczy, rozwiały się i w niej spostrzegamy zwrot stanowczy ku refleksji; dokąd się iść zamierzyło, a dokąd doszło przy użyciu środków gwałtownych?...

Z całej powodzi obrazków, osnutych na tle wspomnianych ocknień się, obrazków, drukowanych w pismach literackich, wychodzących we Lwowie, niechaj wystarczą dwa, najbardziej z pomiędzy wszystkich charakterystyczne, obydwa ogłoszone na szpaltach organu literackiego »najmłodszych« — *Buducznist'*.

Pierwszy z nich, skreślony na tle rozruchów rolnych p. Nadziei Kibalczyc p. n. »*Malunok*« (Obrazek).

Na uboczu przestronnej wsi, szarzejącej, jak brudna plama, na tle zieleniejącego się stepu i pól, stał dwór państwa Karskich, okrążony ze wszech stron bujnym sadem, rozkosznem woniejącem latem.

Dzień był upalny. Wszystkie krzewy i rośliny oddychały powietrzem balsamicznem, błyszcząc tak swoją krasą, jak gdyby tylko co umyły się rosą lub ciepłym wonnym deszczykiem. Z pęków kwiecia jaśminowego bił zapach odurzający. Zieleń wokół. Nawet sama rezydencja pańska była opleciona szczelnie pędami winogradu aż po poddasze, a szerokolistne orzechy włoskie zaglądały do okien z zaciekawieniem. W głąb sadu wiodła ze strony dworu przecudna aleja, wysadzona topolami srebrzystemi, pokryta mnóstwem plam jasnych i ciemnych, rzucanych hojnie przez słońce upalne. Jak gdyby w aleji tej pokutowała jakaś stara, smutna legenda...

Panna Mania Karska siedziała przed stalugą i popatrując raz porazu przez okno w aleję, malowała z pospiechem tak wielkim, że aż z oczu błyskały jej płomienie, a ognie biły z lica. Nawet nie zdołała zauważyć w swojem zapamiętaniu artystycznem, jak otworzyły się drzwi i na progu stanął jej brat Wasia. Był to młody, pełny sił i zdrowia, urodziwy student. Z twarzy jego wyczytać było można odrazu zadowolenie z siebie, oraz wyraźne lekceważenie wszystkich i wszystkiego, co mu na świecie nie było potrzebne. Po chwili Wasia stanął tuż poza siostrą, mierząc wzrokiem, pełnym bezgranicznego lekceważenia, jej obrazek, spoczywający na staludze. Rozmowa rodzeństwa zeszła odrazu na to, że panna Mania nie pojedzie za granicę na dalsze studja malarskie, gdyż w kalecie ojcowskiej brak odpowiednich funduszów z powodu rozruchów agrarnych, jakie szerzą się po całej Ukrainie.

— »To zapewne czort! I wszystko przez te przeklęte bunty chłopskie! Dochody zmniejszyły się o połowę... Jabym wszystkich tych przeklętych agitatorów ot tak«... — burknął Wasia, czyniąc ruch wymowny po gardle.

Panna Mania, nie zwracając najmniej uwagi na zrzędzenie brata, malowała bez przerwy dalej.

Tymczasem słonko zaczęło zaglądać do pokoju, a ze strony ogrodu wleciała, rażona spiekotą, rojna gromada much. Napróżno panna Mania starała się odganiać natarczywe stworzenia rozpaczliwemi ruchami rąk, gdy z podwórza dały się słyszeć głosy wieśniaków, chcących się widzieć z panem dziedzicem.

Po chwili przez okno zaczęły dolatywać słowa targu wyraźnie, jaki toczył się pomiędzy ojcem panny Mani i studenta Wasi a deputacją chłopów. Przeszły też one wnet na temat bardziej aktualny:

— No, a powiedzcież po prawdzie, przyjeżdżają do was agitatorzy? — zagadnął dziedzic.

— Ta... przyjeżdżają czasami tacy ludzie — odrzekł jeden głos pochlebczy.

— Boże uchowaj!... Boże uchowaj!... a czyż nie wiemy, co to za ludzie!

— A cóż wy robicie?... Dajecie znać urjadnikowi?

— Dajemy... ale zanim on przybędzie, to, kto ich wie, kędy podzieją się...

W tej chwili dotąd milczący Wasia zauważył, jakby do siebie mówiąc: »Tak! A czy szczerze mówią, djabeł ich wie. Oni wszyscy mówią tak, mówiąc z panem albo z »*naczalstwem*«. Słuchając ich można pomyśleć, że na wsi wszystko dobrze, nieprawdaż?... Czysto chamskie przyzwyczajenie kłamać w oczy i okiem nie mrugnąć«.

Wasia chciał już coś powiedzieć, gdy w tem usłyszał chrypliwy głos ojca:

— »Nu, a wy to... po swojemu... nauczyliby ich... Tak powiedziawszy.. samosądem«...

Słysząc to, Wasia drgnął na całem ciele, jakby ukłuty. To też bez namysłu dorzucił:

— »A wy wzięlibyście ich pięknie, związali i pałkami i nahajkami! Na drugi raz nie szliby do was, gdyby zostali przy życiu«...

Wieśniacy wybuchnęli kaskadami śmiechu i tylko panna Mania, poczerwieniwszy się, drgnęła na całem ciele.

To też kiedy brat powrócił do pokoju, a ona zaczęła wymawiać mu tak ohydne odezwanie się — odpalił:

— »Co, może zamyślasz zrobić się rewolucjonistką? Socjalistką? Ogólna równość, wspólne majątki! Głupia ty! Idjotka! Gdyby ci twoi kochani agitatorowie, za którymi ty tak ujmujesz się, nie bałamucili włościan, to ojciec miałby więcej pieniędzy

i ty mieszkałabyś dotąd za kordonem, a nie tutaj. — A jeżeli oni jeszcze dłużej będą snuć się po wsiach, to ty nawet i tutaj nie będziesz mieszkała, a pójdziesz gdzie na służbę. Pokojówką może będziesz. I będziesz musiała porzucić swoje malowanie i marzenia o sławie. Rozumiesz?«...

Panna Mania nie wiedziała, co na to wszystko odpowiedzieć, ale też nie mogła zgodzić się z tem. Machnęła tedy ręką lekceważąco, Wasia bowiem postawił sprawę na grunt tak realny, że nie wiedziała, co o tem myśleć? Z jednej strony żałowała agitatorów, którzy wydawali się jej młodymi, przystojnymi i odważnymi studentami, tak, iż po trochę była w nich jakoby zakochana, z drugiej znowu... jakże ich wypuszczać z więzień na wolność, żeby szli agitować na wieś pomiędzy włościan, jak nie wysyłać na Sybir, a czasami na szubienicę, kiedy oni, korzystając z wolności, podburzą lud, odbiorą ziemię — a wówczas potrzebaby pożegnać się z marzeniami o sławie. Chwilami wydawało się jej, że chciałaby kupić sławę za cenę życia tych agitatorów, ale zaraz uniewinniała się tem, że to nie od niej zawisło, że tak być musi i że gdy ona wykształci się, będzie służyć ludzkości sztuką. Ażeby jednakowoż była w stanie dojść do urzeczywistnienia tych marzeń pięknych, musi jechać za granicę.

Myśli te zostały nagle przerwane okrzykiem przebudzonego z drzemki Wasi, przekleństwem pod adresem gryzących go much. A i jej samej dokuczały te natrętne stworzenia aż nadto. To też po kilku minutach pobiegła czemprędzej do sąsiedniego pokoju, skąd przyniosła z sobą papier na muchy. Widząc to, Wasia uśmiechnął się nieznacznie pod wąsem i zaczął dalej przerwaną drzemkę. Muchy zaś, zaciekawione złoto-żółtym papierem, obsiadły go rojem. Po upływie niedługiego czasu arkusz

papieru był upstrzony męczącemi się straszliwie stworzeniami.

Panna Mania nie mogła oderwać oczu od papieru. W tej chwili przebudził się też Wasia i zaśmiał się w głos:

— »Zupełnie, jak rewolucjoniści! Zaczęły nam dokuczać, a my im posłali błyszczący i przydatny dla nich papierek. Tak i złowiły się!«...

W oczach panny Mani aureola, jaką dotychczas otaczała rewolucjonistów, zgasła momentalnie. Faktycznie przedstawiali się oni jej teraz, jak rój tych much dokuczliwych. Z ich powodu trzeba było żyć w nieustannym strachu przed chłopami i nie można było udać się za granicę na studja. Wcale to okrutne!... błysnęła myśl w główce dziewczęcej, ale takie już widocznie prawo przyrody. Zdarzają się wprawdzie rzeczy bardzo okrutne, a jednak trzeba je w czyn wprowadzać. Ażeby móc zjeść na obiad pieczeń, trzeba koniecznie zabić jakieś zwierzę. Ha!... to konieczność nieubłagana, z którą człowiek, chcąc nie chcąc, musi pogodzić się...

* * *

Drugi obrazek dał pseudonimowy p. Odesskij. Tytuł tego szkicu z natury »*Widhuk noczy*« (Echo nocne) z ofiarowaniem aż nadto wymownem: »Splećcie im z lilij wianek, niechaj na nich będą czyste, chłodne krople rosy«...

Po dokonanej rewizji zamknięto kogoś do więzienia celkowego. Początkowo czas biegł niepostrzeżenie, w miarę jednakowoż przedłużania się aresztu, ciągnął się bardzo leniwie. Pięć kroków wzdłuż trzy wszerz, łóżko, stół, stołek, wszystko przytwierdzone silnie do ścian lub do podłogi. Cisza... Tylko czasami z oddali doleci głos dzwonka tramwajowego. Na świecie życie... A tutaj?

Za oknami płacze ciemna noc. A poza kratami wyje w niebogłosy rozwścieklony wicher. Nareszcie ucichł na chwilę, a z za ściany dał się słyszeć głos ludzki, prawie głos z za grobu:

— »Cztery wyroki śmierci... inni uniewinnieni... Nie upadajcie na duchu, towarzyszu... — Co? — a za tamto? — podług wszelkiej pewności także śmierć... Niczego więcej nie będzie ponad sznurek«...

Zdawało się, że wiatr przycichł pod podmuchem śmierci, jaka powionęła nad więzieniem.

Po upływie kilku dni więzień zbudził się wśród głuchej nocy na echo jęków i łkań, od których mróz przebiegał skórę całą, jak gdyby w tych jękach chciały wyrazić się ostatki życia na widok otchłani bezdennej, owioniętej mrokami tajemniczemi, w jakie człowiek ma wstąpić niezadługo, wbrew swojej woli.

Wyprowadzano skazańców na stracenie. Niektórzy z nich stawiali opór rozpaczliwy.

Z łoskotem otwarły się drzwi. Więźniów wyprowadzono przemocą wśród gradu przekleństw.

Raptem umilkło wszystko i tylko ze dworu przywiał do celi więziennej wiatr chłodny głos pełen złości:

— »Żegnajcie, towarzysze!... Bądź przekl«... urwało się gwałtownie w pół słowa...

* *
*

Znać i na literaturze małoruskiej przygnębienie, rezygnację i beznadziejność, a nawet sporo żalu za zmarnowanemi porywami, za nadziejami, co rozwiały się, jako mgieł tumany mroczne.

Niejednokrotnie już, zarówno w dyskusjach publicznych, jak nie mniej też w prasie, poruszano pytanie: skąd wziął się tak zwany ruch wolnościowy w Rosji, kiedy przecież tłumiono tu zawsze i systematycznie każdą myśl swobodniejszą, wykraczającą poza ramy płaskich »*kazionnych*« rozumowań?

Postaram się dać na to pytanie odpowiedź prostą, zawartą w jednej bajce ludowej rosyjskiej, którą słyszałem w okolicach Kazania podczas podróży parowcem po Wołdze:

— Pod psa podłożono raz jaja kurze. Pies, przyzwyczajony do posłuchu, siedział na nich zawzięcie, aż nareszcie wylęgły się kurczęta. Pies oglądnął uważnie młode stworzenia i zaczął srodze dziwić się, w jaki to sposób stało się, iż wysiedział takie, niepodobne do siebie potomstwo?

Analogicznie zupełnie mają się rzeczy z Rosją: Biurokracja przysiadła całą siłą na zalążkach myśli wolnościowej jeszcze od połowy conajmniej XIX wieku, a gdy ta myśl wygrzała się w opresjach różnego rodzaju i dała płód nieoczekiwany, wielu zaczęło dziwić się takiemu zjawisku nadzwyczajnemu.

Co się tyczy literatury, epigonicznej w stosunku do prądu wolnościowego, jakim odznaczała się belletrystyka rosyjska w latach bezpośrednio pomanifestowych, to towarzyszy jej stale jęk pieśni ukraińskiej rozpacznej:

»Żal, żal, żal... serciu bude«...

IV.

Jakżeż to bolesne?!... Sięgnąć do własnych trzewiów i targnąć niemi bezlitośnie?!...

Rozmaici, nieznani dotąd przez świat genjusze, utrzymują, jakoby krzyżowanie się Polaków z Rusinami lub Żydami dawać miało w swoim rezultacie potomstwo niezwykle silne i utalentowane.

Jakkolwiek nie mam pretensji do specjalnego znawstwa antropologji, przecież kilkaset zbadanych szczegółowo przykładów powiada mi wręcz coś innego.

Ażeby nie wydało się komu, iż teorja dziedziczności jest absurdem, niechaj zaświadczy o jej słuszności zmarły śmiercią tragiczną w roku 1907 człowiek zdolności wielkich, ale też bankrut ideowy, któremu na imię — Aleksander Pluszcz.

Licząc zaledwo lat dwadzieścia, uważał za najstosowniejsze pokończyć rachunki z życiem i — zastrzelił się...

Bodaj... czy nie był to najrozsądniejszy krok w jego — na szczęście — krótkiem życiu?!...

Przynajmniej instynkty zbrodnicze zostały zabite w zarodku, zanim zdążyły rozprzestrzenić swoje wpływy na otoczenie, a kto wie, czy nie byłyby przeszły na potomstwo, które, jak wiadomo, dziedziczy skłonności ku złu w maksymalnym, ale ku dobremu w minimalnym stopniu. Przynajmniej czynem swoim zadokumentował nicość teoryj, na które przysięgał kiedyś...

Ojciec Pluszcza pochodził z Kozaków, co to naszym pradziadom ongi buty lizali, wyjąc w niebogłosy: »*Pany pomyłujte!*« Matka była polską szlachcianką.

Serce matki-Polki kazało jej kształcić dzieci w Warszawie. Tutaj też odebrał zaczątki wykształcenia Aleksander, ale chyba po to tylko, żeby tej matce nieszczęsnej przeszyć serce nożem hajdamackim. Mógł wszakże Gonta pozarzynać dzieci własne jedynie dlatego, że urodziły się z matki-Polki, dlaczegożby Pluszcz miał okazać się kulturalniejszym od pospolitego chłopa rezunia?!...

W Warszawie zaczął karmić swoje serce młodociane teorjami bombistów i innych przewrotowców. A potem — kiedy powrócił na Ukrainę, marzył o pożyciu małżeńskiem, ale — bez ślubu... Kiedy zaś ujrzał, iż cały ten gmach ideowy, jaki zbudował w swojej biednej głowie, wali się, niczem

domek z kart, napisał list do rodziny, zakończony następującymi słowami:

— »Przepadła nadzieja... sam jestem winien... Żegnajcie mi! Widzę, że niema dla mnie szczęścia ani miejsca na tym nędznym świecie... Pochowajcie w ogrodzie... Jeszcze raz — żegnajcie!... Cieszcie się... o mnie zapomnijcie... tak lepiej«...

Po nakreśleniu słów przytoczonych kula rewolwerowa roztrzaskała czaszkę nieszczęśnika. Jakżeż dobroczynna była ta kula?!...

Autoportret jego mamy jak najdoskonalszy w nowelce p. t. »*Straszna pomyłka*«.

Bohater utworu, pan Antoni Kordenko, powrócił do domu w samo południe, tak zadowolony z siebie, jak ktoś, komu udało się dokonać dzieła epokowego. Wykonał wyrok śmierci wydany przez partję anarchistyczną na człowieku, który przeszedł w szeregi policji tajnej i miał tuż, tuż zdradzić całą organizację. Mord udał się nadzwyczajnie:

Wszedłszy do przedpokoju, zapytał ojca zdrajcy — starego popa — czy zastał jego syna w domu? W tej samej chwili z sąsiedniego pokoju ukazał się ten, który miał stać się ofiarą. — Ujrzawszy go, Kordenko wystrzelił z rewolweru, lecz chybił. Widząc syna swego w niebezpieczeństwie życia, matka-staruszka, jak lwica, rzuciła się wprzód, zasłaniając go własnem ciałem. Kordenko pchnął ją tedy nożem, sam zaś rzucił się w pościg za uciekającym. Dopadłszy go w pokoju sypialnym, powalił na łóżko i zaczął dźgać nożem w piersi, w brzuch, w gardło, nie zważając, że z poranionego krew fontanną zalewa ubranie, że mordowany po bestjalsku, rzęzi w agonji przedśmiertnej.

Po dokonaniu tej ohydy, Kordenko umył ręce w miednicy, ubrał się w palto i wyszedł najspokojniej na korytarz, po którym echowo grzmiał głos

przerażonego ojca ofiary. Włożywszy ręce do kieszeni, stąpał Kordenko śmiało po schodach, któremi już tłoczyli się gromadą ludzie. Niezatrzymywany przez nikogo, wyszedł na ulicę i wsiadłszy do dorożki, zajechał najspokojniej do domu.

I tutaj morderca nie waha się obdzielać pieszczotami małej siostrzyczki, a zarazem wykładać tej niewinnej istocie teorję nienawiści krańcowej w sposób, który go stawia w rzędzie bohaterów-mścicieli:

— »Wielu — powiada do siostry — ludzi nienawidzi mnie: wszyscy bogaci, zamożni, wszyscy, którzy mają chleba poddostatkiem i pieniędzy, wszyscy, którzy żyją w rozkoszach, którym niczego nie pożądać, a jeżeli jeszcze czego pożądają, to jest ono im zupełnie niepotrzebne, ci wszyscy mnie nie lubią«...

I śmie nawet buntować małe dziecko przeciwko ojcu, kiedy wykłada z zapałem:

— »Ojciec nasz także nie pragnie niczego ponad to, żeby mu dano lepszą posadę, więcej pieniędzy i krzyżyk od cara na piersi«...

Po wygłoszeniu takiej ślicznej teorji Kordenko przebrał się w mundur studencki i wyszedł na schadzkę z pewnym towarzyszem partyjnym, z którym miał pójść na posiedzenie komitetu, celem złożenia sprawozdania z wykonania wyroku śmierci.

W restauracji, wśród gwaru rozmów, dowiaduje się, że zamordował nie tego, na kogo partja wydała wyrok, lecz jego brata, zagorzałego rewolucjonistę Krew rzuciła się Kordenkowi do głowy. Taka fatalna pomyłka!... O mało nie zemdlał...

Tymczasem — na szczęście — przyszedł oczekiwany towarzysz. Po krótkiej chwili obydwaj rewolucjoniści opuścili lokal i na ulicy spostrzegli od razu, że są śledzeni przez agenta policji tajnej.

Sprytu mieli obaj aż nadto wiele, więc bez trudu wymknęli się z zasadzki.

I teraz przyszła na zapaleńca chwila straszna, gdy wyznać musiał przed towarzyszem, iż popełnił straszną pomyłkę, że zgładził ze świata człowieka, zasłużonego wielce wobec partji, który, uciekłszy z zesłania, z Sybiru, zatrzymał się u rodziców, zamierzając lada dzień uciec za kordony graniczne. Kordenko uczuł zamęt w głowie. Jakiś dreszcz chłodny przeszedł mu przez kości. Ale zaraz uczuł jasno, wyraźnie, całą okropność tego, co dokonane zostało jego własnemi rękoma. W mózgu zaczęło wirować coś strasznie, męcząco, obłędnie...

Cóż powie na posiedzeniu partji?... Jakie znajdzie usprawiedliwienie tej strasznej pomyłki?...

W duszy nieszczęśnika zrodził się konflikt i rozwijał się coraz to wydatniej z każdą chwilą.

Konfliktu tego nie rozwiązała partja. Uchwaliła jedynie napisać list do ojca niewinnej ofiary, list z... przeprosinami!

Z posiedzenia wyszedł Kordenko jakby otumaniony. Tysiące myśli wirowały w jego biednej głowie. Przypomniały mu się zdarzenia z lat ubiegłych, kiedy to raz ścigał go agent policji tajnej, jak przed pościgiem chronił się sprytnie, jak wreszcie zamordował na odludziu przedmiejskiem szpiega. Wprost dzikość jakaś pierwotna wypędzała z duszy jego na wierzch instynkty najniższe, a razem z niemi przekonania i teorje burżuazyjne, usprawiedliwiające morderstwa masowe. Przypomniała mu się także owa chwila pamiętna, w której wśród stosu trupów i gradu kul karabinowych dzierżył na barykadach sztandar czerwony, dopóki mu go kula nie wytrąciła z rąk. Przypomniało mu się, jak go z placu boju towarzysze unieśli w miejsce bezpieczne. Wspomnienia te wywołują żal ogromny.

Powróciwszy do domu, Kordenko upadł z wyczerpania na łóżko, ukrył głowę w poduszkach, nie wiedząc tylko, co uczynić z oczyma, w których stawała mu co chwila mała postać zamordowanego niewinnie Tartarenka, spoglądając nań okrutnie z wyrzutem bolesnym. Cała scena mordu okrutnego odtworzyła się teraz w wyobraźni nieszczęśnika z drobiazgową dokładnością.

I z duszy mordercy-fanatyka podniósł się bunt stanowczy. Coś w duszy wyło w niebogłosy:

— »Nie wierzę, nie wierzę w skruchę, w jakąś karę... wierzę, wierzę najzupełniej, że tak trzeba było postąpić; wierzę, żem jest niewinny, że stała się pomyłka!«...

A tu z mroków ukazywała się twarz zamordowanego i — zdało się — że ustami zbladłemi oczyma zmartwiałemi pytała:

— »Za coś mnie, za co?«...

I przypomniały się mordercy czasy studenckie, gdy chodził na zgromadzenia, na których obradowano nad sposobami walki z rządem, i te, gdy piechotą wędrował od wsi do wsi w celach agitacji politycznej wśród włościaństwa, które go w nagrodę chciało raz odstawić do »*prystawa*«, wreszcie chwila ucieczki z rąk rozjuszonego chłopstwa. Ale ponad tem wszystkiem brała górę myśl o pomyłce i ta myśl doprowadza bohatera rewolucyjnego do wniosku, iż jest człowiekiem »n i e n o r m a l n y m«...

Cóż tedy począć z sobą samym, skoro jest się przekonanym o swojej nienormalności?!...

Na odpowiedni środek leczniczy naprowadziła go teorja anarchistyczna. Przyłożył lufę rewolweru do skroni i zakończył rachunki ze światem raz na zawsze. Ten miał przynajmniej trochę charakteru...

* * *

Jak rosyjska literatura tych czasów, podobnież »Młoda Ukraina« kochać nie umiała nic, a nienawiść niczego nie zdolna jest zbudować!... Duszom tym nieznany jest Pankracy zwycięski z »*Nieboskiej Komedji*«, który po dokonaniu dzieła zniszczenia o zadowoleniu mówić nie może. Przeszedł jak wichura straszliwa, łamiąca i druzgocąca wszystko dokoła, ale stworzyć niczego nie był zdolny. Pankracy zrozumiał przynajmniej ostatecznie, że negacją ludzkości odrodzić nie potrafi, kiedy konając wyznaje szczerze: »Galilaee vicisti!«.

Twórcom »Młodej Ukrainy« nie sięgać w te wyżyny podniebne!

Wszystkie najgroźniejsze choroby zaraźliwe szły zawsze do Europy ze Wschodu. Cholera, dżuma, cynga...

Toż samo stało się z chorobami moralnemi. Epidemja dżumy, stokroć groźniejsza od patologicznej, idzie ze stepów burjacko-buszkirskich i dotarła już, zniszczywszy Rosję — na Ukrainę.

Zbyt wiele pierwiastków, które złożyły się na indywidualność moją, wchłonąłem z tamtych stron, toż z bolem serdecznym wołam (a nuż mnie usłyszą?!...) słowami Małorosa — Gogola:

»*Ruś!... Kuda mczyszsa ty!...*

V.

O tendencyjność, dobrą być może dla dzienników brukowych, ale zgubną dla sztuki czystej, jeśli nie ma być ona sztuką stosowaną, rozbijały się, a nawet rozbić musiały, aspiracje artystyczne tak niewątpliwych nawet talentów, za jaki uważać godzi się p. Spirydjona Czerkasenkę. Zabójczość tendencji dla sztuki okaże się na nim jak najjaskrawiej.

Zaciekła walka klasowa, to kanon jego filozofji praktycznej. Krytyka w ocenie utworu jego pn. »*W starem gnieździe*« wyraziła wcale niedwuznacznie zdanie, jakoby dramat tego pisarza schodził się w wielu punktach z »*Wiśniowym sadem*« Czechowa. Obydwaj postawili sobie za zadanie przedstawienie zwyrodnienia, jakiemu uległy rody szlacheckie.

Podobieństwo osób głównych jest rażące aż nadto, a tak samo osób wtórorzędnych, ich rozumowań i monologów. Głoszą nowe idee u obydwu poetów studenci. U Czechowa Trofimow, u Czerkasenka Leonidas, a poglądy ich zgadzają się wielce ze sobą. Stosunkowi Trofimowa do panny Ani odpowiada takiż sam Leonidasa do panny Olgi u Czerkasenka.

Nie mniejsze podobieństwo da się zauważyć w symbolistyce; przemowa do półki bibljotecznej zmienia się tylko na przemowę do kredensu staroświeckiego, który, gdyby mógł opowiadać, opowiedziałby niezawodnie mnóstwo o czasach krwawicy poddańczej. A Mikołaj Łukicz i lokaj Firs — to jak dwaj bracia sjamscy.

Podobieństw tego rodzaju możnaby bez trudu wykazać nieporównanie więcej. Aleć oddziaływanie Czechowa na Czerkasenkę jest czysto zewnętrzne, boć przecież Czerkasenko dał »*W starem gnieździe*« dramat *par excellence* oryginalny.

Czechow naszkicował bankructwo moralne i społeczne szlachetczyzny, a dopiero na tle owego bankructwa przedstawił degenerację w związku z przyczynami ekonomicznemi. I podczas gdy u Czechowa proces zwyrodnienia dokonuje się dopiero w naszych oczach, w utworze Czerkasenka degeneracja dokonana występuje w swoich plonach na scenie. Toteż podczas gdy u Czechowa wszyscy widzą nieuchronność klęski, jaka spadnie bezwa-

runkowo, u Czerkasenka spotykamy się z ostatniemi wytężeniami sił, byle tylko uniknąć zguby nieuchronnej.

To też przypuszczam, że nie będę dalekim od prawdy, jeśli powiem, że Czerkasenka dał w swoim utworze tezę, wcale nie z dawnego punktu widzenia podjętą i przeprowadzoną w sposób, który bezwarunkowo różni się od tego, jakiego użył pisarz rosyjski. Ostateczną jego konkluzję stanowi morał, że gniazdo zawali się, grzebiąc pod ruinami pokolenie zgangrenowane.

Po dramacie p. t. »*W starem gnieździe*« obdarzył p. Spirydjon Czerkasenko literaturę małoruską nowym utworem, nie tyle artystycznym, ile agitacyjno-anarchistycznym, opatrując go fajerwerkowym tytułem »*Churtowyna*«. Obydwa te dramaty są ze sobą ściśle zespolone tożsamością ideową. Tylko że podczas gdy w tamtym dano upust teorjom strejków rolnych, tak znowu w drugim roztoczono aureolę bohaterstwa nad bezrobociami kopalnianemi.

Właściwa »*Zawierucha*« strejkowa już minęła w chwili w której akcja dramatu rozpoczyna się.

Inżynier kierujący kopalnią węgla, Hulbickij, wspomina o bezrobociach z westchnieniem ulgi, tłomacząc właścicielowi kopalni Taranowi, iż obecnie straty dadzą się prędko powetować. Tylko trzeba stanowczości bezwzględnej.

Taran roi złote nadzieje, bo Hulbickij ma ożenić się z jego córką, stworzeniem młodziutkiem i bardzo wrażliwem. Zupełnie odmienny żywioł reprezentują: lekarz kopalniany Pochmuryj i brat Hulbickiego — malarz Andrzej.

Młodociany malarz uległ epidemji socjalistyczno-anarchistycznej, jak tyle współczesnej młodzieży rosyjskiej; również i lekarz widzi w krąg tylko zło,

a życie robotnicze wyobraża sobie tak okropnem, że w piekle gorzejby być nie mogło. Zwłaszcza obaj — zwyczajem rosyjskim — piorunują najwspanialej paradoksami przy butelce wódki, podniecającej wybornie zapał do snucia kombinacyj, których celem — stworzenie istnego raju na ziemi. Tylko — lekarz patrzy krytycznie na cel wszelkiej agitacji rewolucyjnej, uważając rozruchy za »ułudę« »Masa — powiada — nie poszła za wami i nie pójdzie. Ona pójdzie za tym, kto jej pokaże chleb, powszedni chleb«... Zanadto dobrze przekonał się o tem ze strejków agrarnych. Kiedy zaś inżynier Hulbickij zwraca mu uwagę, że chyba robotnikowi nie powodzi się tak źle, skoro go stać nie tylko na chleb, ale także na wódkę, lekarz — fantasta, nie znajduje innego argumentu ponad ten, że »wielu z nich pije, ażeby zagłuszyć tę złość, jaka kipi w sercu«.

Akt drugi rozgrywa się w domu inżyniera Hulbickiego. Malarz po pijanemu wykłada siostrze, chorej na suchoty, o cierpieniach warstwy robotniczej, bo jemu »pragnie się czynu, prawdziwego czynu, żeby dech zaparło, krew kipiała, a dusza radowała się«. Toteż pójdzie rozwinąć agitację wśród robotników kopalnianych, a zreflektowany przez brata, nie znajduje innej odpowiedzi oprócz ordynarnych wymyślań: »Nie wiedziałem, że z ciebie zrobiła się w ostatnich latach taka ogromna świnia«...

Iluż to studentów-agitatorów, argumentując w sposób analogiczny, miałem sposobność znać? I jak tylu innych umie równocześnie »walczyć o swobodę« — i bałamucić narzeczoną brata...

Zresztą i inżynier, pomimo to, że jest już narzeczonym panny Marji, utrzymuje stosunek z żoną lekarza Pochmuryja, kobietą, która prowadzi ro-

manse z wojskowymi i cynicznie o nich opowiada. Ale to mści się na nim, bo Marja, która ich oboje niespodziewanie zachodzi, znajduje kochanków w pozycji, wykluczającej wszelką wątpliwość — i zwraca swoje sympatje do brata — malarza, który pragnąc uświadomić ją społecznie, zaprowadza na schadzkę robotniczą do chaty, mieszczącej tyle brudu, że więcej nie zmieściłoby się.

W chacie tej pijaństwo, rozpusta i kłótnia zajęły dominującą pozycję. Tutaj nawet dziecko małe już wie o stosunku swojej siostry przyrodniej Hanny ze sztygarem kopalnianym! Matka Koropycha wysyła swoje drobne dzieci w tęgi mróz i w zawieruchę na żebry. Hanna dla pieniędzy jest kochanką, zmuszona do tego przez ojca rodzonego Toteż na wyrzuty matki, bez cienia wstydu czy skrupułów sumienia, nie waha się z całym spokojem rozumować następująco:

— »Chleb, mamo, zawsze chlebem, w jaki sposób zarobionoby go. I czyliż wasz wyżebrany albo zarobiony krwawą pracą, smaczniejszy od mego, uzyskanego z rozpusty? Moja rozpusta daje pewny kawałek chleba, trzyma ojca w obowiązku, to czegoż wstydzić się?«

W takiem przedpieklu zgromadza się garstka robotników na naradę, polegającą na wygrażaniach pod adresem właściciela kopalni i administracji, oraz wszystkim klasom posiadającym, uważanym przez ciemnych robotników za pijawki, ssące ich krew.

Na tę to schadzkę przyprowadza malarz pannę Marję. Peroruje ogniście. Przypadkowo przybywa z powrotem pod dach chaty ojcowskiej syn gospodarza, student uniwersytetu, czerwony, jak żelazo rozpalone. Powaga jego rośnie w oczach zgromadzonych, skoro dowiedzieli się, iż siedział już w kry-

minale za »politykę«, toteż nie mogą dość wydziwić się, że jest on przeciwny strejkowi i każe kierować się rozumem, nie uczuciem. Kiedy jednak dowiaduje się, jaki los spotkał jego siostrę Hannę, wybucha, jak wulkan, zapominając o tem, o czem mówił przed chwilą:

— »Niechaj twój rozum znajdzie takie słowo, żeby te łzy wyschły w okamgnieniu na zawsze; niechaj twój rozum wygoi odrazu tę siłę bolów, które ją pieką ogniem piekielnym, ciebie, mnie, ją (wskazując na macochę). Niechaj twój rozum wróci mnie ojca-człowieka, siostrę, nasze siły, naszą godność... Ot, ona płacze... No, czemuż twój rozum milczy?... Niechaj jej zwróci wszystko...«

W akcie czwartym, wstawionym tutaj najniepotrzebniej, wybucha strejk, a zarazem ktoś morduje sztygara-rozpustnika.

Serce młodziutkie panny Marji na widok takiej Gehenny zła i brudu przejmuje się momentalnie teorjami, jakich jej tyle nakładł w uszy malarz. W pojęciach jej dokonuje się przewrót gwałtowny, zasadniczy, a poważna chwila refleksji pozwala jej... wyznać pierwszej swoją miłość malarzowi Andrzejowi!

Dramat kończy się tragedją. Strejkujący robotnicy przychodzą do właściciela kopalni Tarana, student Maksym celuje w ojca Marji i — godzi kulą nie jego, lecz córkę, poczem idąc za przykładem rozmaitych »bohaterów« doby anarchistycznej, porzuca rewolwer i ratuje się ucieczką pospieszną.

Ale z tej całej stajni augiaszowej godzi się wynieść w zastosowaniu do »młodej Ukrainy« słowa, wyrzeczone przez lekarza:

»Oto popatrzcie, co się teraz dzieje w Parnasie. Słudzy Apollina, jak gawrony, obsiedli od wierzchu do dołu tę poważaną starą górę i uczynili

z niej dom publiczny... przebaczcie to wyrażenie się... Zrobili z niej dom warjatów. Ot, do czego doprowadziły wasze nowe hasła. Nie zdążyły wyschnąć na piórach natchnionych krew serdeczna i sok nerwów, gdy te same pióra nużają się już w brudzie, w paskudztwie. I ci nowi prorocy mają jeszcze bezczelność wykrzykiwać w głos, że to są najnowsze szlaki w poezji. A niechże ona zginie, jeżeli jej szlaki prowadzą do ohydy i warjacji!..«

Klasycznym przykładem literatury porewolucyjnej może być wreszcie nowela Czerkasenki p. t. »*Oni zwyciężyli*«.

W noweli tej, pokrewnej dawnym bosiackim opowiadaniom Gorkiego, wchodzimy do koszar robotniczych, do zaduchu niemożliwego.

Piotr Huba nie mógł w żaden sposób usnąć, jak inni jego towarzysze, zwłaszcza, że przezwany »popem« chuderlawy Koreckij wyśpiewywał piosnki, budzące śmiech wśród otoczenia, i teraz właśnie wywodził nabożeństwo żałobne »po przedwcześnie zgasłej konstytucji«. Jaki był właściwie dawniej zawód Koreckiego, o tem ludziska mówili rozmaicie; jedni utrzymywali, że był tenorem w mieście gubernjalnem, ale został wypędzony za opilstwo, inni znowu gotowi byli przysięgać, iż był on kiedyś popem, i że został wypędzony za nieposłuszeństwo wobec archireja. Prawdy jednak nie znał nikt, zwłaszcza, że Koreckij gniewał się, ilekroć zagadnięto go o przeszłość. Pewnem było tylko to, że znał się dobrze na śpiewie cerkiewnym. I teraz właśnie zaczął, leżąc na narach, odprawiać panichidę za Dumę państwową, śpiewając:

»Wo błażennym uspieniji wiecznyj pokoj podażd', Hospodi, usopszej rabi

twojej konstitucji i sotwori jej wiecznuju pamiat'!«

Kiedy zaś, w dodatku, towarzysz jego Szypiło, wypędzony za sprzeniewierzenie pieniędzy skarbowych urzędnik, odśpiewał basem »*mnogolietije*« temu domowi, tak, że aż szyby w okiennicach zadrżały, zaczęli wszyscy myśleć naprawdę o spaniu. Nastała cisza głęboka.

Piotr Huba nie mógł w żaden sposób zasnąć. Przypomniała mu się wioska rodzinna na Ukrainie, koleje życia, zanim musiał się zaciągnąć w szeregi robotników kopalnianych, a dalej sytuacja obecna.

Wtem uczuł, że ktoś pilnie patrzy mu w twarz. Rozwarł powieki i uczuł pochyloną nad sobą postać niewieścią. Pomimo, że złajał Oksanę, gospodynię kasarni robotniczej, próbował odpędzić ją od siebie, ona tem goręcej przemawiała doń, wyznając mu bez ogródek swoje uczucia. Stracił wkońcu panowanie nad sobą. Zapomniał o wszystkiem na świecie...

Z rana budziło się w nim dla Oksany jakieś nienawistne uczucie, że, jak wicher jakiś, wcisnęła się w jego życie, zniweczywszy jego równowagę. Przeczuł w niej jakąś nieznaną siłę, której trudno wyzbyć się, popadłszy raz w jej sidła. Wieczorem poszedł w step na nocleg... Tak ciężko jeszcze nikt jej nie obraził. Do takiego lekceważenia nie przywykła!...

Od tej chwili upłynęło nieco czasu. Wieści o strejkach rozbudzały nowy, nieznany dotychczas nastrój wśród ciemnych mas robotniczych i pełno było zgromadzeń. Śledztwo policyjne nie dawało żadnego pozytywnego rezultatu.

W ciągu tych dni Oksana nie miała sposobności rozmówić się z Piotrem. Uważała tylko, że unikał jej. To też klęła, na czem swiat stoi, owych »demokratów«, nie kryjąc się wcale ze swoją ku nim nie-

nawiścią. Żartom tedy z Oksany nie było końca, ona zaś znosiła je w milczeniu, mało nie dusząc się ze złości. Myśli, czarniejsze jedna od drugiej, kłębiły się w jej mózgu, tak że radaby była wymordować »demokratów«, którzy odebrali jej Piotra. Wreszcie obmyśliła plan zemsty:

— A zatem pokażę, że jestem silniejsza od nich! Odbiorę im Piotra i on albo mój, albo niczyim nie będzie!...

Nadeszło święto. Pod wieczór zaczął kropić drobniutki deszcz. Ściemniało się coraz to więcej, gdy do Oksany, siedzącej na ziemi, podszedł policjant. Na wezwanie jego Oksana energicznym ruchem wstała i podeszła ku gromadce policjantów, czekających opodal. Wskazawszy komendantowi miejsce zgromadzenia robotniczego, została samiuteńka w polu.

Nazajutrz rano robotnicy dowiedzieli się, że Oksana już więcej do nich nie powróci. Uprzątnięto ją w cichości...

Kobiet tego typu pseudo-rewolucja rosyjska widziała setki. I bodaj, czy nie ich zasługą poniekąd jest, że zewsząd rozlegają się śpiewy, podobne do tego, jaki nucił Koreckij:

»Wo błażennym uspieniji wiecznyj pokoj podażd', Hospodi, usopszej rabi twojej konstituciji i sotwori jej wiecznuju pamiat'!...«

VI.

Z autopsji, wyniesionej ze stałego zamieszkania w stolicy nadnewskiej w ciągu kilku pierwszych lat pseudo-konstytucji i pseudo-rewolucji, pozostanie na zawsze w pamięci fakt arcysmutny, ale też nieulegający najmniejszej wątpliwości, że jedną z najgłówniejszych sprężyn całej akcji konspiracyjno-

terorystycznej, a zarazem bezpośredniemi motorami wszystkich, niemal bez wyjątku, zamachów dynamitowo-browningowych były kobiety. Ale — pożal się Boże! — co za kobiety!...

Igrając na rozpętanych najniższego gatunku instynktach czysto zmysłowych, popychały one rozmaitego gatunku indywidua do wykonywania wyroków partyjnych. Kiedy wszelako udało się odkryć aż nadto prędko, jakie pobudki kierowały owymi nieszczęśnikami, co myśleli stanąć na piedestale bohaterstwa i poświęcenia się za ideały wolnościowe, cały świat cywilizowany odwrócił się ze wstrętem na widok zgnilizny moralnej, mającej służyć za fundament pod gmach wolności!...

Arcytypowy obraz z działalności terorystycznej, osnutej na wspomnianych dopiero co właściwościach, dał W. Winniczenko w dramacie czteroaktowym p. t. »*Bazar*«, wolnym, w przeciwieństwie do innych opowiadań jego, od rezonerstwa polityczno-społecznego. I właściwie brak tendencyjności, właściwej »młodej Ukrainie«, w kierunku idealizowania osób i czynów, jest nie tyle charakterystyczny dla Winniczenki, ile pozwala stwierdzić pewne otrzeźwienie, jakiemu nakoniec uległy umysły, dotąd zamroczone mrzonkami utopijnemi o stworzeniu królestwa Bożego na ziemi za pomocą trupów i dynamitu...

W słoneczny dzień majowy odbywa się na polance leśnej zgromadzenie terorystyczne. Zdala słyszeć się dają urywane frazy przemówienia, jakie wygłasza najdzielniejsza agitatorka partyjna Marusia, porywająca tłumy nie tyle siłą wywodów krasomówczych, ile nadzwyczajną urodą. Przewróciła w głowie już niejednemu dotąd. Rywalizacja o pozyskanie jej względów wre w całej pełni już z chwilą

rozpoczęcia się dramatu — pomiędzy dwoma prowodyrami, Trochimem i Leonidasem.

— »Nie mogę!... Nie mogę!... — oburza się Trochim. — Jej przemówienie jest wprost niemożliwe! Tak socjal-demokrata mówić nie może... To — socjal-rewolucjonizm, anarchizm, kadetyzm, co chcecie, tylko nie socjal-demokratyczne przemówienie... Jak wam się podoba! A dalej, cóż to za sposób przemawiania?! Cały czas nie spuszcza oka z Leonidasa. Ona do niego mówi, a nie do masy! Do djabła z takiemi przemówieniami! Ot co!...«

Rozumie doskonale przyczynę istotną tego, napozór świętego oburzenia, inny prowodyr, Markowicz. To też bez wahania się wyjaśnia:

— »Kochanku mój! Tyże sam teraz oburzasz się jedynie dlatego, że ona — ładna... Co nam do tego, przez co u masy oczy goreją. Nam trzeba, iżby one gorzały... U masy trzeba przedewszystkiem wydobyć z pod gruzu łzę socjalną! Samą wódką tego nie dokażesz... Przemawia ona nie tęgo, to prawda, i wiedzy u niej niewiele, i... chce być Joanną d' Arc, ale za to... piękność jej... Każdy ma swoje przymioty. A wy nie oburzajcie się... Popatrzcie, jak słuchają, choć ona i patrzy na tego djabelskiego Leonidasa... No?... Wielu widzieliście, żeby z tak rozwartemi gębami słuchali mówców... Spojrzyjcie... Jakby zamarli... Ustami słowa łowią... A ładna kanalja... Bo że ładna, to ładna!..«

I ten Trochim, w którego programie partyjnym widnieje na pierwszem miejscu wspólnota posiadania, z chwilą, w której chodzi o kobietę, sprzeniewierza się bez wahania dotychczas wyznawanym ideałom, a nawet odmawia wręcz wzięcia udziału w uwolnieniu uwięzionych »towarzyszy«. Zazdrosny o Marusię, obawia się utraty wolności, więc radzi, iżby kto inny, n. p. niejaki Michał, wziął na siebie

rzucenie bomby. Kiedy zaś tłumaczą mu, że ów Michał jest żonaty i ma troje dzieci, a zatem ryzykuje znacznie więcej od niego, kawalera, nie umie znaleźć mędrszego argumentu na swoje usprawiedliwienie, prócz pospolitego posłania całej sprawy do wszystkich djabłów...

W nie mniejszą rozterkę duchową popada również urocza Marusia, której nie tajne jest, że wszyscy słuchają ją nie dla słów, lecz dla piękności. Teraz dopiero czuje doskonale, iż piękność uczyniła z niej niewolnicę, a zarazem pozbawiła agitatorkę wiary w ludzi.

— »Nie widziałam dotąd ani jednego z nich, żeby nie spróbował zalecać się do mnie. Rewolucjonista także. Myślałam przedtem, że rewolucjoniści nie są tacy, ale... widzę« — konkluduje, jak gdyby rewolucjoniści byli z urodzenia ślepi na widok piękna!

Ostatecznie dzięki sprytowi kobiecemu Marusi udaje się chwilowo ułagodzić rozgoryczonego Trochima. Sprawa jest na dobrej drodze, jakkolwiek Trochim podejrzliwem okiem spogląda raz po raz na zaloty Leonidasa, który, jak przystało na anarchistę, rozszedł się już z żoną na zawsze. Wiadomość ta nie porusza bynajmniej »towarzyszki« Marusi. Sumienie jej pozostaje głuche wobec złamanego życia jakieś tam burżujki. Zresztą nie czas teraz na rozmyślania, gdyż właśnie Markowicz rozsnuwa plan wykonania zamachu na więzienie. Chodzi tylko jeszcze o uwiadomienie więźniów o terminie całego przedsięwzięcia.

Zresztą to już drobnostka, której uskutecznienia podejmuje się Marusia w akcie drugim, rozgrywającym się tuż obok gmachu więziennego. Poleciwszy dozorcy uwiadomić jednego z więźniów o chorobie matki, co w t zw. języku »ezopowskim« było najzupełniej zrozumiałe dla adresata, stara się

obecnie tylko o to, iżby chwilę oddania się Leonidasowi przesunąć poza projektowany zamach. To też oszpeca twarz swoją lekko kwasem siarkowym, i to — mści się na niej, bo gdy sama proponuje kochankowi, iżby przyszedł do niej najbliższej nocy »jak mąż« — Leonidas hamuje jej zapędy erotyczne słowami, zimniejszemi od lodu:

— »Nie trzeba, Marusiu!.. Potem! Sama powiedziałaś, iżby pójść czystymi« na wykonanie zamachu.

Marusi staje się w jednej sekundzie jasną zmiana w uczuciach Leonidasa i to doprowadza do katastrofy.

W akcie czwartym rewolucjoniści, a między nimi: Markowicz, Trochim i Marusia oczekują z bombami w rękach chwili wyznaczonej. Kiedy zatem dowiadują się, iż strażnik więzienny przy bramie został już ubezwładniony, zaczynają śpiewać piosnkę, mającą służyć więźniom za sygnał do podjęcia rozruchów wewnątrz gmachu i ucieczki następnie masowej. W chwili decydującej, gdy więźniowie polityczni wydostali się gromadą na wolność, Marusia rzuca bombę, ale z umysłu tak, iż zostaje wybuchem rozszarpana w kawałki. Ginie z własnej woli, kiedy przekonała się, iż Leonidas nie pragnie miłości, jeno jej ciała. Ponad jej trupem wionie tylko pieśń rewolucyjna:

»Ach sbjejtie okowy!
Dajtie mnie wolu!«

Wolności takiej pragnął też Leonidas w życiu rodzinnem. Do niej zastosować można doskonale słowa Trochima: »Bo wolność ta marzona nie była niczem innem, jak tylko pojęciem, wyrosłem z »d z i - k o ś c i p r a d z i a d ó w i n i e k u l t u r a l n o ś c i«...

Słowa ostatnie podkreślamy z umysłu, zarówno bowiem waga ich wielka, jak niemniej prawdziwość.

Bodaj, czy nie są one w stanie wytłumaczyć lepiej od wszelakich dowodzeń i rozumowań — przyczyn niepowodzenia ruchu rewolucyjnego rosyjskiego.

Dramat zaś Winniczenki, to jak gdyby żywa tego ilustracja.

Ci, co z takim zapałem wołali o zdjęcie, o rozkruszenie kajdan — sami najgorliwiej pracowali nad ich ukrzepieniem, zapominając, że pierwszym warunkiem do uzyskania wolności jest wyzbycie się historycznej »dzikości pradziadów«. Dzikość bowiem niczego dotąd w dziejach świata nie stworzyła — oprócz pustki i zniszczenia...

VII.

Naogół wziąwszy, »młoda Ukraina« apoteozując ruch anarchistyczny pokonstytucyjny, raczej go zohydziła — pomimo swojej chęci i woli. I bodaj czy winni byli temu twórcy, niejednokrotnie indywidualnie wybitni i zrównoważeni? Szukali ideałów w trzęsawiskach gnijących, a bohaterów wśród frazesowiczów — niedouczków, więc nie dziw, że nie mogli znaleźć typów tęgich charakterem i praktycznem zastosowaniem idei przez nich głoszonych, że typy te nieszczęsne budzą jedynie odrazę wraz z odrobiną litości, skoro się widzi, jak marni ludzie chcieli przewodzić tłumom, obałamuconym hasłami wolności bezwzględnej, nieograniczonej — i w rezultacie utopili tę wolność marzoną w brudzie zbrodni.

Do nielicznych wyjątków od tej reguły należy jeden jedyny dramat pięcioaktowy — p. Hnata Chotkiewicza p. n. »*Łycholitije*«, nazwany przez autora »kroniką początku XX stulecia«, jeden z najlepszych, jakie pojawiły się po roku 1900 w literaturze ruskiej, to też zasłużenie nagrodzony na pierw-

szem miejscu na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego.

Bohater dramatu Borys, syn lekarza prowincjonalnego, dostaje się do bojówki anarchistycznej. Kocha się w żydóweczce, takiejże samej jak on, anarchistce, bo — jak rozumuje — chociaż »religje nasze różnią się, ale wiara u nas jedna: to wiara człowieka w to, że on przestanie być zwierzęciem i sam zdobędzie dla siebie lepszą przyszłość«... Pospolite były te hasła w Rosji całej najmłodszej w okresie, jaki nastąpił tuż po wydaniu manifestu październikowego. »*Czełowiekolubstwo*« zresztą było i jest dotąd modne w pewnych sferach rosyjskich, nawet tych, które dopuszczają się najpotworniejszych bezprawi.

Dramat rozgrywa się w owym pamiętnym czasie najstraszniejszych wysiłków pseudorewolucji, która, zwłaszcza na prowincji, marzyła o republikach, milicji obywatelskiej i t. p. nieziszczalnych fantazjach, a której przeciwstawiono motłoch z pod ciemnej gwiazdy, osławioną »c z a r n ą s o t n i ę«.

Że wszystkich stron przynoszą dzienniki najokropniejsze wiadomości o pogromach, dokonywanych przez huliganów na inteligencji, studentach i Żydach. Ojciec Borysa, Mitrofan Iwanowicz, czytając o tych krwawych wypadkach, traci poprostu głowę, nie mogąc zrozumieć, do czego wszystko to zmierza? Na dobitkę w mieście krążą pogłoski trwożne, a groźne, jak trucizna. Wszystko to przyprawia żonę lekarza, Zofję Pawłównę, o lęk nieustanny. Spostrzega to jej mąż, więc radby, iżby tych wszystkich skrajnowców djabli wzięli. »Europa zachodnia — rozumuje słusznie, starając się żonę uspokoić — tyle wieków żyje życiem kulturalnem, tyle walczyła, cierpiała — a przecież tam ludzie nie mają tego, co my chcemy zdobyć dla siebie odrazu.

I czyliż to możliwe? Nie, ja z tem w żaden sposób nie mogę zgodzić się i niczem nie mogę usprawiedliwić przed sobą tej... niezgodliwości. Mojem zdaniem — to dzikie. Trząść całem państwem, rozluźniać gospodarkę ludową, finanse — a to wszystko dlaczego? Przecież dali trochę — to i dobrze. Rozwijać się, iść szlakiem walki parlamentarnej, bezkrwawej, niezabójczej. A toż przecie sił więcej nie starczy! Ot, żeby tylko wspomnieć o strejku kolejowym. Przecież to nie żarty — dziesięć miljonów strat codziennych. Niema dowozu żywności, niema dowozu węgla, niema poczty — niczego niema. I na kogoż to wreszcie spada całym ciężarem?... No, powiedzmy prawdę, co panu ministrowi z tego, że koleje żelazne nie były w ruchu przez dwa tygodnie? Nieprzyjemnie, jak zazwyczaj — i tyle. A ot już szewcowi Piotrowi i wdowie Oksanie z czworgiem dzieci — będzie to im ciężkie, kiedy za pud węgli trzeba zapłacić trzydzieści kopiejek, a za funt chleba sześć albo siedm. Nie — przecież — dzikie to wszystko... Dzikie i niekulturalne«...

Synowi tak tłumaczy niemożliwość zaprowadzenia w przemyśle rosyjskim ośmiogodzinnego dnia pracy: »Ależ wówczas nie wytrzymamy żadnej konkurencji! Ta rzecz, która kosztuje Anglika lub Niemca kopiejkę albo dwie, u nas wyniesie 15 kopiejek! Ależ majster angielski stoi za czterema warsztatami i od razu na nich wszystkich robi — no, to przy takiem naprężeniu powinien pracować ośm godzin. Ależ za to co za produktywność roboty jego! A cóż, kiedy nasza baba, siedząc za warsztatem i patrząc na jedną jedyną niteczkę, będzie także pracowała ośm godzin na dobę — to cóż z tego wyjdzie, co?

Borys postępowaniem swojem podkopał zdrowie matki, ale nawet córka lekarza bierze udział w zgro-

madzeniach studenckich, ojca zaś nazywa »*czarnosotieńcem*«. »Wybacz — powiada do koleżanki — że mam takiego ojca, ale jam temu ani troszeneczkę nie winna«. Takie było pokolenie Rosji konstytucyjnej!...

W akcie drugim przenosimy się do ostatniorzędnej szynkowni rosyjskiej, brudnej i wstrętnej. W izbie szynkowej gwar i hałas straszliwy. Są tu robotnicy pijani, włóczęgi, indiwidua złodziejskie, słowem elementy podejrzanej konduity. Obelgom i przekleństwom kładzie koniec przybycie rewirowego, który rozpuścił już pomiędzy zgromadzony tłum swoich agitatorów, opowiadających zręcznie o niebezpieczeństwie, jakie grozi carowi ze strony inteligencji, żydów i studentów. Kiedy tłum był już odpowiednio nastrojony alkoholem, zabrał głos główny mówca, kupiec Sjedow:

— »Bracia, prawosławni chrześcijanie! Co to takiego robi się dokoła nas i jak to wszystko trzeba rozumieć? Przez co człowiek rosyjski zaczął tak źle żyć na świecie? Kto mu stanął w poprzek drogi? Czemu to car nasz, *batiuszka*, niewesoły? Kto jego duszę zasmucił? A to skutkiem tego, bracia, wszystko skutkiem tego, *gałubczyki*, że na naszej ziemi chrześcijańskiej zebrało się wiele rozmaitego śmiecia. Ot, jak wszy napadną człowieka i gryzą i gryzą go, tak i na nas napadły wrogi nasze. Byliśmy bardzo dobrzy. Dobry jest człowiek rosyjski. Kto chce, niechaj do nas przyjdzie — dla wszystkich drzwi otwarte. Żyd, ty, Lach, Ormjanin — wszystko jedno. Przychodź do nas, jedz, pij razem z nami, bogać się na naszej ziemi. Przyjdzie on do Rosji bez spodni, z głodu mu żołądek spędziło, a popatrz po roku, po dwu — to już ty go gołą ręką nie dostaniesz. I gdybyż on wzbogacał się i pamiętał, że ja na swojej ziemi

jestem gospodarzem, a to nie. Przyjdzie tutaj, gad przebrzydły, wydobrzeje na naszym chlebie i jeszcze nam na szyję usiędzie... A my go nosimy na naszych plecach...«

Po takiem wezwaniu tłum na wpół pijany wyje w niebogłosy i postanawia zemstę na »*inorodcach*«.

Ale i rewolucjoniści nie czekali z założonemi rękoma. Z obalonych słupów telegraficznych urządzili barykady, ogrodzili je drutem kolczastym, umocnili płytami, wyrwanemi z chodników ulicznych.

Na barykadzie tłum różnorodny, gwar głosów zmieszanych, zapał gorączkowy. Agitatorzy podniecają zrewoltowanych. Za podszeptem fanatycznego Borysa mają wysłać deputację do generałgubernatora z żądaniem usunięcia wojska z miasta i utworzenia milicji obywatelskiej. Zupełnie tak, jak tego chciał ongiś »*sojuz raboczych dieputatów*« od ministra hr. W i t t e g o... Zrewoltowani robotnicy nie chcą jednak o tem nawet słyszeć i wogóle nie chcą traktować z władzami rządowemi: »My, naród rewolucyjny, powinniśmy sami dyktować warunki, a nie wdawać się w rokowania z opryszkami«. Fantazje te o wszechwładztwie proletarjatu przerywa brutalnie salwa karabinowa dragonów, na którą robotnicy z barykady odpowiadają pieśnią rewolucyjną, która miała ich zawieść tam, skąd niema już powrotu na ziemię...

Akt czwarty przenosi nas do izby żydowskiej, w której drży cały z przerażenia stary Mojżesz. Zdaje mu się, że lada chwila wpadnie tłum rozszalałych zbójów i rozpocznie rzeź dzieci niewinnych za przykładem Nalewajków czy Suworowów. Żyd to wierzący głęboko w wszechmoc Jehowy, którego wyobraża sobie podług Talmudu, jako mściciela straszliwego:

— »Boże! Boże Abrahama i Izaaka! Ześlij Ty na nich ślepotę, jaką na mnie zesłałeś, iżby oni nie zobaczyli domu mojego. Odwróć ich zło na nich samych i okaż litość nad synami Twymi!«

A kiedy dał przytułek chwilowy ciężko rannej przez »czarną sotnię« kursistce i jej dwu towarzyszkom, rozumuje:

— »Rozgniewał się On — i spuścił szał na ludzi. Ludzie zapomnieli, że byli kiedyś braćmi. Ludzie gryzą sobie nawzajem gardła i myją ręce w krwi swoich własnych dzieci. A duch Zła śmieje się, śmieje się — i śmiech jego gromem wybuchów rozchodzi się nad opętaną ziemią. I ludzie giną: Dusi jeden drugiego, padają i depczą się pod kopytami końskiemi. Tłum upija się krwią i dymem — rozszarpuje dziecko w kawałki i ze śmiechem rozrzuca jego rączki i nóżki po bruku«...

Tymczasem z ulicy słychać gwar rojnego tłumu, dzikie wycie i krzyki błagające o litość, a zarazem z dala dolatują tony dzwonów, wzywające do cerkwi na nabożeństwo, na modlitwę do Boga miłosierdzia i miłości. Żyd tedy klnie strasznie tych łotrów, co w zabijaniu innowierców upatrują czyn chwale Najwyższego miły:

— »Niech będzie przeklęty! I żeby dzieci jego do siódmego pokolenia nie zaznały spokoju, jak nie miały go dzieci nasze. I żeby wiatr szarpał jego odzienie, kiedy będzie biec z jednego miejsca na drugie. I żeby krył się jak pies, kiedy będzie gonić za nim i strzelać jemu w nogi, jako mnie strzelano. Biegłem, nie mogłem oddychać z powodu wściekłej gonitwy, a oni śmieli się i strzelali mnie w nogi.... I upadłem... i oni wyłupili mi oczy... Odebrali mi światło słoneczne, szczęście, odebrali mi możność oglądania rodzonych dzieci moich — a zostawili mi tylko życie... Życie pośród nich — i czyliż

może być coś gorszego? O, gdybym mógł nienawidzieć ich tysiąckroć więcej!«...

Rozpacz starca wzmaga to, co mówią obydwie kursistki. Stary Żyd bowiem nie wierzy w to, że niebawem zabraknie sędziów i prokuratorów, więzień i szubienic, w to, iż naród będzie wolny, ani w to, iż śmierć jednostek da szczęście drugim. Kursistki zaś te głoszą, co słowo niemal nienawiść taką, o jakiej wychowany na talmudzie starzec nie ma pojęcia! Wszakżeż zalecają matce dziatek drobnych, iżby przepoiła serca niewinnych istot żarem nienawiści i zemsty. »Naucz je — powiadają — wszystkiego, co tylko może odebrać i spokój i sen i szczęście tym katom i krwiopijcom«...

W zaburzeniach ulicznych padł trupem Borys. Ulicą przeciąga właśnie jego pogrzeb, w którym biorą udział tysiące osób. I w tej chwili bolesnej siostra nieboszczyka, co padł od miecza, jakim sam zapragnął wojować, filozofuje najspokojniej, starając się swojemi sofizmatami wyprowadzić zbolałą matkę z apatji i przygnębienia krańcowego:

— »Jeszcze długie wieki będą ludzie wychowywali się na obrazie śmierci, jeszcze długi czas prawdy święte będą wrzynały się w umysły mas krwią męczenników. I na to, ażeby przyspieszyć ów czas, w którym nie będzie już trzeba umierać za głoszenie własnego ideału — dlatego umarł, mamo, nasz Borys. Nie możemy, nie mamy w rękach danych, potrzebnych do obliczenia całej wielowartościowej korzyści z jego śmierci«... »Nie dzisiaj i nie jutro, ale przyjdzie taka chwila, w której ty ze łzami radości będziesz mówiła o Borysie i o jego szlachetnej śmierci«...

Pogrzeb przeciąga poprzed same okna, przez które bije nuta hymnu rewolucyjno-pogrzebowego

»*Wy żertwoj pali borby rokowoj*«. Suną, tysiące robotników, widać mnóstwo wieńców, chorągwie:

— »Oto on!... Oto lud wolny — mówi jakby w ekstazie siostra Borysa. Już idzie, idzie! I nikt go nie powstrzyma! Naprzód! Idź za swoimi przodownikami! Już wybiła ostatnia godzina! Już przybliża się jasna przyszłość! Naprzód — idź, naprzód!... Do światła, do słońca, do wolności!«

Poza niewątpliwą swoją wartością artystyczną posiada dramat ten, jakiemu podobnych rozegrały się w dobie dni wolnościowych rosyjskich tysiące, wartość dokumentu historycznego. Nie chodzi tutaj bynajmniej ani o bohatera i jego psychikę spaczoną, ani o świetną ilustrację, jak gdyby żywą, organizacji pogromów osławionych. Wszystko to bowiem niknie i rozwiewa się gdzieś w mrocznej dali na wspomnienie zawodnych nadziei, wyrażonych przez siostrę nieszczęsnego Borysa.

Krew jego poszła na marne. »Do światła, do słońca, do wolności« nie dojrzał jeszcze »naród« rosyjski...

Sunt lacrimae rerum!

A jednak!... Pomimo całkiem jawnej sympatji, jaką twórcy »Młodej Ukrainy« stale okazywali ruchowi anarchistycznemu, bohaterowie, przez nich wyprowadzeni na scenę, pomimo ognistego zapału, z jakim wygłaszają swoje teorje, nie są w stanie zyskać dla siebie współczucia osób, wyznających bodajby tylko podstawowe zasady etyki postępowania.

Ci ludzie, mieniący się być zwolennikami, jeżeli nie apostołami wolności, budzą wstręt właśnie brakiem zrozumienia wolności prawdziwej.

Rezonerstwo puste, frazeologja błyskotliwa, wyszły na jaw najplastyczniej w jednoaktowym dramacie Chodkiewicza p. n. »*Oni*«, chociaż auto-

rowi chodziło o zupełnie co innego, a mianowicie o skarykaturowanie t. zw. »burżuazji«, oraz o apoteozę proletarjatu.

Rzecz dzieje się w jednem z większych miast rosyjskich, w którem wybuchły zaburzenia uliczne. W salonie jednego z miejscowych bogaczy zgromadziło się zaproszone na obiad towarzystwo najrozmaitszych typów z generałem i profesorem na czele. Towarzystwo całe jest na punkcie zapatrywań politycznych prawie jednomyślne. Polityka zresztą przejadła się już wszystkim — jak trafnie zauważa gospodarz domu. Jedynie marszałek szlachty rezonuje z zapałem o znaczeniu klas wyższych: »My, szlachta, kwiat ziemi rosyjskiej... Każdy powiatowy marszałek szlachty — to bohater w zamku kresowym, bohater, który strzeże przed naporem dzikich, bezmyślnych ord świętości swoich zasad. Nami, tylko nami, trzyma się Rosję — i co my za to wszystko mamy?... Gdzież schował rząd swoje bagnety i armaty w tej chwili, w której tłumy dzikich zwierząt paliły moją zagrodę? Nie pytam was, czy było kiedykolwiek w historji więcej uniesamowolnione, więcej... nikczemne państwo? I czyż można pomyśleć, iżby rząd ogromnego państwa okazał tak haniebne niezdecydowanie i to właśnie wówczas, kiedy trzeba było siły, siły i siły!«

Marszałek mówi, jak najczystszej wody rewolucjonista z prawicy najskrajniejszej. Tyrada jego ożywia całe towarzystwo — i ono zaczyna rozważać sytuację bieżącą, poczem padają słowa znamienne o upadku Polski, która upadła — zdaniem jednego z gości — jedynie dlatego, że szlachta nie umiała korzystać ze swoich praw. Historjozofja wspaniała!...

Te polityczno-historjozoficzne rozmyślania przerywa przybyły z miasta Eugenjusz Stefanowicz, od którego dowiaduje się towarzystwo, iż rozmiary roz-

ruchów przybierają niepokojące formy. Na ulicach tłum zabrał się do stawiania barykad. Wojska ani śladu. Sądny dzień niejakoś zbliża się. Czego jednak ten zrewoltowany tłum żąda? Stary biurokrata zwala całą winę na socjalistów, profesor nie dziwi się bynajmniej wypadkom, jakich historja zna tysiące, inżynier wreszcie plwa na wszystko, gdyż — podług niego — »człowiek, to zwierzę i niczem innem być nie może«; to jest, trzeba jednego — żyć żyć i żyć, żeby to życie piszczało i trzepotało się w rękach. Niech żyje kobieta, symbol życia!...

Pomimo takiej alokucji wszyscy po trochę obawiają się zbuntowanego pospólstwa, a zwłaszcza panie. Otucha dopiero wstępuje w serca wszystkich na odgłos kroków żołnierskich. To też nastrój zmienia się w jednej chwili wśród okrzyków: »Vivat armja!« i fałszywie śpiewanej »*Dubinuszki*«, jeden zaś z młodzieży, wskoczywszy na krzesło, wygłasza siarczyste wezwanie: »Rzućmy precz spory partyjne! Złączmy się w silne szeregi i rzućmy się do boju. Do walki, towarzysze! sławnej i szlachetnej walki z armją flaszek! Niejeden z nas upadnie, konstatujemy to naprzód z bolem serca, ale kto będzie mógł, wytrzyma do końca. Naprzód-że naprzód:

»Na bój, na krwawy, święty a prawy
»Marsz, naprzód marsz, wesoły narodzie!« [1])

Jedyną osobą w całem tem towarzystwie, która traktuje wypadki chwili bieżącej poważnie, to chorowita córka gospodarstwa, Elza. Czego chcą ci zrewoltowani ludzie? Wszyscy mówią o krwi i o zemście, a sami boją się czegoś. Strzelać, strzelać, strzelać.... Trzeba rozstrzeliwać ich bez miłosierdzia...

---

[1]) W oryginale: »Na boj krowawyj, swiatoj i prawyj, marsz, marsz w pieriod, wiesiołyj narod!...

Kogo strzelać? Za co? Któż są ci ludzie, których tutaj z taką zimną krwią zasądzają na śmierć? Czego oni chcą? I jeżeli chcą prawdy, to któż i poco staje im w drodze?

Kwestję tę stara się jej oględnie rozjaśnić przyrodni brat Paweł:

— »Podług mnie, to poprostu ludzie z pomieszanymi przedmiotami swojej miłości i nienawiści. Mówią, że kochają to, co w rzeczywistości powinniby nienawidzić, i mówią, że nienawidzą to, co w rzeczy samej powinniby kochać. Powiadają, że nienawidzą kapitalizm, widzą w nim źródło całego współczesnego zła — ale tenże sam kapitalizm daje im życie duchowe, chroni ich przed martwym zastojem, rodzi im bohaterów, podczas gdy ideał ich osiągnięty uczyniłby z nich samolubów... Głoszą wolność — i nie masz ludzi więcej nietoleranckich od nich; chcą przynieść ludziom spokój — i używają broni; na ich sztandarze napisane: burżuazyjne szczęście dla nas... Ich śmierć można nazwać naprawdę piękną — a nawet więcej — wielką, ale cóż z tego? I podli ludzie umieli umierać heroicznie...«

Do Elzy jednak nie przemawiają takie rozumowania. Ona bowiem rządzi się nie refleksją, tylko uczuciami, podniecanem i przez nowoczesną guwernantkę, która mieszkała razem z rewolucjonistami, razem z nimi cierpiała niedostatek, razem z nimi ukrywała się przed pościgami policji. Rewolucjoniści wzrośli w jej wyobraźni do posągowych kształtów, tak, że nie waha się bluźnierczego wyrzec porównania:

— »Dwa tysiące lat temu umarł Chrystus, pomęczywszy się kilka godzin na krzyżu, a ja znam setki takich Chrystusów, którzy całe życie swoje męczyli się w kazamatach, twierdzach, na Sybirze, w Szlisselburgu i umierali tysiąc razy straszniejszą śmiercią. I kiedy Chrystusa czci cała ziemia, kiedy

przez dwa tysiące lat upadamy codziennie przed jego obrazem i jeszcze przez wiele tysięcy lat nie zaginie pośród ludzi pamięć o tym bogu, to i cóż powinniśmy odczuwać wobec nich, wobec tych nieznanych bohaterów, których kośćmi zasiana cała ziemia, a nazwiska ich nikt nie zna?«

W tej chwili dają się słyszeć salwy wystrzałów karabinowych ku uciesze generała, któryby »tych chamów, występujących przeciwko własnemu rządowi... tych podpalaczy cudzych majątków, którzy z za węgła strzelają do sług swego władcy« — ćwiartować kazał, gdyby to było możliwe. Podług niego »każdy oficer powinien mieć prawo zastrzelenia każdego, kto okaże nieposłuch wobec władzy, jak psa«... Za to dostaje generał od jednego ze studentów w twarz. I kto wie, czem skończyłaby się ta awantura, gdyby właśnie w tej chwili nie byli przemocą wnieśli do sieni robotnicy ranionego wystrzałem karabinowym »towarzysza«.

Teraz dopiero przychodzi do sceny. Jeden bowiem z tych »uświadomionych proletarjuszów« zaczyna tyradę ognistą, naszpikowaną frazesami, jakich nasłuchał się zapewne na meetingach partyjnych do woli:

— »Eh! wy »kulturalni« ludzie! Ileż to sił ludowych stracono, ażeby dać wam wszystko to, te wszystkie głupstwa i drobiazgi porcelanowe? Ile wyście zjedli naszego zdrowia, ile łez naszych wypili?... Opamiętajcie się! Nad czyją mogiłą ucztujecie? Zaglądnijcie tylko do tego kubka, który podnosicie do ust. Nie wino w nim! Tam krew!... Truciznę wy wlewacie w organizm ludowy swojem podłem życiem, swoją niewolniczą myślą. Wy — czeraki na ciele ludowem, paskudne liszaje, które trzeba pozdzierać dla ogólnego uzdrowienia! Dopókiż będziecie tuczyć się krwią naszą — podli!«...

Po takich i tym podobnych frazesach robotnicy opuszczają mury »burżujów«:

— »Chodźmy na ulicę — powiada jeden z nich. — Stamtąd przyjdzie może nowe słowo«.

Oto — gdzie sferom oświeconym szukać prawdy i wskazań życiowych, zdaniem autora tego dramatu. Na ulicy!...

* * *

Dawniejsza literatura ruska apoteozowała rozmaite dusze zbrodnicze o krwiożerczych instynktach, żeby tylko wymienić takich jak: Chmielnicki, Gonta, Nalewajko, czy Żeleźniak Obecnie najmłodsza generacja rozpętała takie instynkty, że zamiast piękno i dobro krzewić, szarga swe talenty w błocie...

Głos zagrobowy chłopa poety Szewczenki, który, ocknąwszy się w nieprawościach swoich, błagał o miłość bratnią — przypomina się napróżno wołaniem serdecznem:

»Schamenites!... bud'te lude,
Bo łycho wam bude«.

Grudzień 1910 r.

KONIEC TOMU II.

Spis treści tomu II.